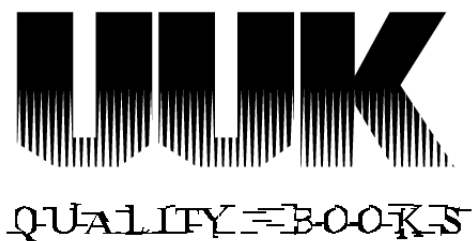


# ANDREW HARMAN

## Leningrad

Przełożyli: Agnieszka Fulińska, Jakub Janicki





*Dla Jenny,  
bez której... miłość  
pozostałaby tajemnicą.*

**Middin**

W półmroku zasiadły cztery postaci.

Knuły plany w ciemności rozświetlanej tylko przez nieliczne, migoczące w przeciągu płomyki świec.

W sali tej pokolenia królów wymyślały szalone intrygi, złowieszcze fortele i kompleksowe, rabunkowe plany podatkowe, mające napełniać po brzegi królewskie spiżarnie i utrzymywać lud żelazną ręką władcy. Była to Sala Konferencyjna zamku Rhyngill i z założenia nie miała służyć dostarczaniu rozrywki. Chyba że było się osobą potrafiącą wynaleźć trzydzieści dwa sposoby na zabawę przy użyciu zgniataczy kciuków, dostającą rumieńców podniecenia podczas puszczenia z dymem małych wiosek i wpadającą w stan euforycznej, rozkosznej ekscytacji po złożeniu ostatniego podpisu pod rażąco oszukańczym aktem wymuszenia.

Wielki dębowy stół przez stulecia zasiedziały się w środku komnaty. To na nim rozrysowywano niezliczone plany, łamano porozumienia, to w niego wreszcie uderzano pięścią z frustracji, względnie gniewu. Zza stołu wyłaniał się wysoki, czarny, monolityczny tron, którego surowość i prostota emanowały gęstymi falami bezlitosnego okrucieństwa. Wyglądał, jakby był wyciosany z litego bloku czarnego granitu. W rzeczy samej, był.

Mury Sali Konferencyjnej promieniowały, w zbójcekiej komitywie z tronem, takim samym okrucieństwem. Narzędzia tortur ułożono w ponure geometryczne wzory, a broń niosąca ból i zniszczenie nonszalancko wisiała rzędami wzdłuż przeciwległej ściany. Miecze sąsiadowały z kopiami, łańcuchy od piętnastofuntowych kiścieni ocierały się o drzewce włóczni, a kusze pozostawały gotowe do miotania bełtów w bitewne zbroje stojące w rogach sali. Ogólny efekt był jednocześnie mroczny, gustownie ponury i bardzo, bardzo wyrazisty. Ujmijmy to tak: jeśliby szalony mongolski wódz, psychopatyczny morderca mający słabość do zasłonek od przysznica i wiktoriański zabójca prostytutek wertowali drobne ogłoszenia w poszukiwaniu czegoś wspólnego do wynajęcia, to pomieszczenie nadawałoby się idealnie.

Podczas wyboru wystroju Sali Konferencyjnej król Stigg, pierwszy i jak dotychczas najokrutniejszy władca Rhyngill, odpowiedział na sugestię dekoratora wnętrza: „Gobeliny? GOBELINY!?! Ha! To dobre dla dziewcząt!”. W chwilę potem dekorator dostał wymówienie. Na zawsze i od wszystkiego. Obecnie zaś, wieki później, cztery postaci siedziały zagłębione w dyskusji, a wokół nich Sala Konferencyjna niemal szemrała stuleciami nagromadzonej podłości.

— A gdybyśmy tak opodatkowali jedzenie, sire? — zaproponował Bartosz, członek Czarnej Straży zamku Rhyngill, w nagłym, rzadkim przypiływie inteligencji.

— Już to zrobiliśmy!

— Że co? — spytał Bartosz, powracając do normalniejszego poziomu aktywności umysłowej. Działanie komnaty przemijało.

— Już opodatkowaliśmy żywność, jełopie! — odparł lord kanclerz Snydewinder, który nie miał cierpliwości do niemrawego pałacowego wykidajły.

— O! — wyartykułował Bartosz, nieco zmieszany tym, że jego pomysł, jego świetny pomysł, został we wstępnej fazie rozwoju potraktowany tak ostro.

W sali zaległa gęsta cisza.

Nagle, jak gdyby komnata nie zamierzała poddać się tak łatwo, w głowie Bartosza zaczęło dziać się coś dziwnego. Tak jak niektóre sale koncertowe wydobywają z występujących w nich muzyków wirtuozerskie popisy, czy niektóre obiekty sportowe zawsze zapewniają rekordowe czasy i odległości, tak dawna, osobliwa magia Sali Konferencyjnej działała na strażnika. Jego oczy otwały się szerzej, pozwalając promykowi słońca wślizgnąć się pod ciężkie powieki. Palec wskazujący prawej dłoni drgnął i wyprostował się. Ręka zadrżała, a oczy uniosły się, ciągnąc za sobą ciężką głowę. Semafor wstrzymujący pociąg jego myśli podniósł się i pomysł napędzany wyścigowymi silnikami natchnienia popędził z hukiem w dół, nieostroźnie i poza wszelką kontrolą. Wyraz paniki przemknął po karmazynowej twarzy. Krople potu pojawiły się na potężnym czole. Wargi zadrżały.

Snydewinder spojrział znad oprawionej w czarną skórę księgi.

Panowała cisza (jeśli nie liczyć drobnego szumu szaleństwa, o natężeniu mniej więcej 50 imbecyli).

Bartosz drgnął, gdy natchnienie objęło całkowitą kontrolę nad jego prawą ręką, która wzniosła się ku niebiosom.

— Wiem...

Było to niczym wybuch pary z ogromnego wulkanicznego gejzeru.

Wszystkie pięcioro oczu wlepione było w strażnika... Czekano.

— Mmm... oglibyśmy — męczył się nieprzyzwyczajony do potęgi natchnienia.

Pełna oczekiwania cisza przykuła pozostałą trójkę.

— Moglibyśmy, moglibyśmy o... opo... opoda... opodatkować jedzenie bardziej! — wyrzucił z siebie, słabnąc pod wpływem wysiłku umysłowego.

— O rany! — wyszeptał Matusz, drugi z członków Czarnej Straży.

— Tiaa, wielka szkoda — powiedział Król

— Ostrzegałem go przed zbyt intensywnym myśleniem — szyderczo zauważył Snydewinder. — Szkodzi mu, nie urodził się, żeby myśleć!

Bartosz jęknął.

— Mnie się zdaje, że to dobry pomysł — Matusz nieśmiało wsparł kolegę.

— Zamknij się!

— Ale...

— Zamknij się! — powtórzył Snydewinder, znacząco machając swymi okutymi żelazem buciorami.

— Ale... auuuć!

Matusz dostał ostrzeżenie. Siedział teraz i rozcierał paskudny siniak na gołeni, wynik nieprzyjemnego, szybkiego dźgnięcia butem Snydewindera. Pod nosem mamrotał nieprzyzwoite wyrazy. Obuwie lorda kanclerza było zabójcze.

— Snydewinder! — warknął król. — Jaki jest obecny poziom podatku od żywności?

— Mógłby pan sprecyzować, sire?

— Co?

— Cóż, sire, czy ma pan na myśli Podatek Warzywny — 1. Zewnętrzny i jego podpunkty: a) od hodowli, b) od nawożenia czy c) od żniw? A może Podatek Warzywny — 2. Wewnętrzny z podpunktami: a) od czyszczenia, b) od obierania i skrobania, c) od przygotowania lub d) od konsumpcji? Czy być może Podatek Mięсны — 1. Drobiowy, podpunkty: a) od ferm kurzych, b) od dowolnego...

— Dosyć!

— Sire?

— Ogólna wysokość opodatkowania żywności?

— Globalnie, sire?

— Tak, dolny pułap.

— Włącznie z ZUS-em<sup>1</sup>, sire?

— Tak.

— Z regulacjami sezonowymi i klimatycznymi, sire?

— TAK!

— I z Dodatkiem za Zbiory z Trudnych Terenów, sire?

— Po prostu mi powiedz! — zagrział król.

— Hmm... Ogólna wysokość opodatkowania żywności, ustanowiona przez waszą wysokość króla Rhyngill 14 stycznia 1038 OG<sup>2</sup>, zgodnie z Królewskimi Prawami wprowadzonymi przez Wasz...

Później odkryto, że zmiany w czasie zachodzące pod wpływem grawitacji są tak śmiesznie małe, że niemal, choć nie całkowicie, nieistotne. Przyciąganie ziemskie szybko zostało usunięte z wszystkich obliczeń czasowych, a skala czasu była odtąd, na cześć filozofa, znana jako Czas Grinuitsch.

— POWIEDZ MI NATYCHMIAST!!!

---

<sup>1</sup>Zarobić – Uićić – Spożywać.

<sup>2</sup>OG – Oryginalnej Grawitacji. Ten system kalendarzowy wynalazł filozof Grinuitsch, kierując się następującym tokiem rozumowania. Jeśli nieożywiony obiekt, na przykład cegłę, wystawi się za okno wysokiego budynku i upuści, staną się dwie rzeczy: po pierwsze, obiekt zacznie spadać; po drugie, będzie przyspieszać. Obie te rzeczy, twierdził, mają przyczynę w grawitacji. Przyspieszenie wyjaśnił następująco: „... i tak cegła, byt bez przyczyny, nie może napędzać się sama i staje się ofiarą wszechwładnej siły przyciągania ziemskiego. Przyspieszenie jest zmianą prędkości w czasie. Cegła nie może zmienić prędkości z własnej woli. Jak z tego wynika, grawitacja nie pozostaje bez wpływu na czas. Odtąd więc przy odmierzaniu czasu używana musi być stała przyciągania ziemskiego, wszelkie pomiary zaś winny być porównywane z tymiż, dokonanyimi na poziomie morza w słoneczny dzień. Zasada ta będzie od dziś znana jako Oryginalna Grawitacja”.

- Siedemdziesiąt cztery procent, sire.
- Dziękuję.
- Ależ proszę, wasza niszczycielskość, sire.
- Przestań mi się narzucać.
- Wedle rozkazu, wasza królewska wysokość, sire.
- Sza!
- Sire. . . — wyszeptał jeszcze Snydewinder.

Bartosz usiadł, ale wciąż był blady i zmieszany. Wysiętek umysłowy wykończył go. Matusz w dalszym ciągu masował siniec na gołeni i pod nosem podawał w wątpliwość pochodzenie lorda kanclerza.

- Siedemdziesiąt cztery procent podatku od żywności. . . — zadumał się król.
- Bartosz spojrzął nań wyczekująco.
- Cóż, sądzę, że siedemdziesiąt pięć procent nieco ułatwiłoby rachunek.
- Tak, sire.

Strażnik podrapał się po głowie

- Niech i tak będzie! — zdecydował władca.

— Tak, sire. — Snydewinder dobył gęsiego pióra i włożył na głowę kapelusz doradcy podatkowego. — Mądra decyzja, sire — sięgnął po atrament — doprawdy błyskotliwa ocena sytuacji, jeśli wolno mi się tak wyrazić, sire.

- Zrób to, z łaski swojej, ekspresowo!
- Tak, sire!

Matusz potarł nogę i spojrzął spode łba na Snydewindera. Lord kanclerz otworzył olbrzymią, oprawną w skórę księgę Rozporządzeń Ekspresowych, poprawił czarną, skórzaną opaskę na oku, głośno wyłamał palce i rozpoczął pisanie.

Bartosz uśmiechnął się, słysząc skrzypienie pióra sunącego po chropowatym pergaminie.

Jego pomysł znalazł się w księdze.

\* \* \*

Wczesnym popołudniem późnegojesiennego dnia młody chłopiec dostrzegł szansę, której oczekiwał. Bez chwili wahania chwycił Leśną Nimfę Ździebełko, potężną ręką ujmując jej drobne ciało. Bez wysiłku, brutalnie podniósł ku niebu bezbronną istotę. Ździebełko nie walczyła. Nie mogła walczyć.

Leśna Nimfa nieuchronnie trafiła do ręki Firkina, dołączając do swych sióstr, Muszki i Wikliny. Firkin miał już trzy, potrzebował jeszcze jednej. Pozbył się Pasterza Murriona, odrzucając go niedbałym ruchem nadgarstka.



Beczka obserwował upadającego powoli i lądującego na obszarpanym prześcieradle Pasterza. Spojrzał spode łba na Firkina, obejrzał się w lewo i stracił swoją turę.

Jutrzenka sięgnęła i podniosła Pasterza z lekkim uśmiechem. Zsunęła go z pozostałymi trzema, odrzuciła Tkacza Thruma, i pokazała komplet Pasterzy swojemu bratu i jego najlepszemu przyjacielowi.

— Wygrałam — oświadczyła i silnie zakaszła. Kolory odpłynęły jej z policzków, kiedy zgięła się wpół na łóżku.

Firkin, nie mogąc pomóc, patrzył ze współczuciem na siostrę. Obejrzał jej karty i na nich skupił rozgoryczenie.

— Byłem tak blisko! Jeszcze jedna cholerna Leśna Nimfa i . . .

— Tak . . . ale to ja wygrałam! — odparła, na chwilę opanowując kaszel.

— Gramy jeszcze raz — zaskomlał Beczka, desperacko pragnąc wygrać partię. — Ja rozdaję.

Zaczął gorliwie zbierać karty z łóżka Jutrzenki.

— Nie, przepraszam, ale mam dość na dziś — powiedziała słabo. — Może później, co?

Beczka, podnosząc Czarnego Strażnika i parę Trefnisiów, wzruszył ramionami.

— Chodź — powiedział Firkin, wyprowadzając przyjaciela — Jutrzenka potrzebuje teraz odpoczynku.

W odpowiedzi dał się słyszeć atak żałośnie słabego kaszlu.

\* \* \*

Jutrzenka była najnowszą ofiarą choroby rozprzestrzeniającej się wśród małej społeczności Middin, osady położonej wysoko w Górach Talpejskich. Większość pozostałych dzieci i niektórzy starsi już jej ulegli.

Choroba nie była nieuleczalna, nic z tych rzeczy. Wystarczało tylko dobre odżywianie i — w dużym skrócie — na tym właśnie polegał problem. Nowe, podwyższone stawki podatkowe wprowadzone przez króla Rhyngill poważnie wypaczyły życie w wiosce. Wystarczająco trudno było wyhodować tyle, żeby starczyło na przeżycie, szczególnie w tych jałowych, usłanych wrzosami górach — konieczność wysyłania w doliny trzech czwartych zbiorów jako królewskiej dziesięciny stawała się wyjątkowo nieśmieszna. Używano słowa „dziesięcina” przez wzgląd na tradycję i ponieważ brzmiało lepiej niż „podatek”. Poza tym opłaty zaczęły się od właściwej dziesięciny, ale wiele lat temu przekroczyły już oficjalne dziesięć procent. Nazwy nie zmieniono, po części, żeby wprowadzić zamieszanie,

ale głównie dlatego, że straż miała problemy z wymówieniem „pięćdziesięcina” lub „trzypięćscina” przez groźnie zaciśnięte zęby. Jedzenia, w ogóle żywności, bardzo teraz w wiosce brakowało, większość mieszkańców nie miała w ustach przyzwoitego posiłku od tygodni, nawet miesięcy. I zaczynało to być widoczne.

\* \* \*

Dwaj chłopcy, zazdrośnie obserwowani przez Jutrzenkę, biegli przez malutką talpejską miejscowość Middin.

Właściwie „miejscowość” to określenie trochę na wyrost; nędzne zbiorowisko prostych, drewnianych chatek przycupniętych wysoko na talpejskich hałach kojarzyło się raczej z pozostałościami po jakimś marnym pikniku na skraju drogi — i nie wahałbym się przed tym porównaniem, gdyby nie zostało już wcześniej literacko wyeksploatowane. Zresztą nawet ono byłoby zdecydowanie zbyt pompatyczne. Gdyby można było obejrzeć Middin z lotu ptaka, miałyby się wrażenie, że wielki i wyjątkowo nieudolny kruk próbował tu kilkakrotnie zbudować swoje gniazdo. Bezskutecznie.

„Główną ulicę” Middin stanowiło pasmo ziemi wolne od zalegającego gruzu. Nie było ono rezultatem celowych działań inżynierskich w dziedzinie budowy szos; wręcz przeciwnie — kawałkiem, do którego nikt się jeszcze nie zabrał. W tej chwili nawierzchnia była znośna, ale kiedy padało... cóż, określenie błotnista byłoby eufemizmem.

Po obu stronach „ulicy” wznosiły się „domy”. W większości wyglądały, jak gdyby skądś spadły, a nie zostały wzniesione, zresztą jest w tym przypuszczeniu sporo prawdy. Jednym z najlepszych przykładów ukochanego przez wszystkich mieszkańców stylu architektonicznego Stos Drewna Ustawiony Pośpieszenie Po Przejściu Huraganu była stanowiąca cel wędrówki chłopców chata Francka.

Otworzywszy jednym pchnięciem chybotałiwe drzwi chaty, trzymające się głównie za sprawą szczęścia, dwaj przyjaciele weszli do ciemnego i ponurego pomieszczenia. Zamrugali w ciemności. Tajemnicze butelki stały rzędami na chybotałiwych półkach, a mózdzierz wypełniony dziwnie pachnącym proszkiem wraz z tłuczkiem balansował niepewnie na skraju nadjedzonego przez korniki kredensu. Były tu wszystkie utensylia czarodziejskiego fachu. Szklane słoje, oznaczone dziwnymi nazwami wykaligrafowanymi dziwnym pismem, zawierające jeszcze dziwniej wyglądające, zapeklowane i zakonserwowane stworzenia, których los przypieczętowany został dawno temu (w odróżnieniu od niektórych słoików — na ściankach starzej wyglądających naczyń zastygały plamy lepkiej cieczy). W rogach stały tajemnicze metalowe konstrukcje, których przeznaczenia chłopcy

mogli się jedynie domyślić: teodolity, sekstans, dwie rozgałęzione różdżki i jeden przyrząd, który wyglądał jakby został wykonany z dwóch denek od zielonych butelek po piwie i kilku metrów drutu. Kawałek krzemienia błyskał złotawą iskierką; kolorowe proszki tliły się w płytkich naczyniach ustawionych na większości płaskich powierzchni, wydzielając gęsty, oleisty dym, jak zawsze dławiący obu przyjaciół. Krótko mówiąc, całe pomieszczenie było tajemnicze i przyćmione. Swoją drogą, ciężko powiedzieć, jak głupia lub szalona musiałaby być ćma, choćby przelotnie rozważająca ewentualność bliższego zetknięcia się z czymś nawet w najmniejszym stopniu związanym z chatą Francka.

W najodleglejszym rogu czarodziejskiej chaty znajdował się stos burych szmat, najwyraźniej narzuconych na stół i udrapowanych nad podłogą. Chłopcy zakastali wśród gęstej, suchej atmosfery, przerywając ponurą, głuchą ciszę.

— Eeee... Co, co, co?

— Cześć, Franek — rzucił Firkin, rozglądając się w poszukiwaniu źródła głosu.

— Eeee... Co — co, co to?

— Cześć, Franek? — odezwał się Beczka.

— Eeee... c... co, co to za dźwięk? — powtórzył stos szmat, powodując pojawienie się małej chmurki kurzu.

— Cześć, Franek, to ja, Firkin.

— Co? ... eee... o! ... więc wejdź.

— Już weszliśmy.

— Gdzie?

— Tu.

— Aha!

Cisza. Nic się nie poruszyło.

Wnętrze chaty przypominało szybko schnący obraz olejny — martwą naturę z chłopcami stojącymi w oczekiwaniu na Francka.

Beczka uległ atmosferze i zaniósł się potężnym, rozrywającym gardło kaszlem.

— O nie, nie następny... eee... aaa. Aaa! — zajęczały szmaty, sztywno unosząc się w chmurze kurzu i odsłaniając czarodzieja Francka, wymachującego szaleńczo rękami w celu opędzenia się od tysięcy opadających go we śnie istot.

— Kto kaszle? — zapytał.

— Wybacz, to Beczka — powiedział Firkin.

— Beczka... czegoonco? — odparł Franek, przecierając zaspane oczy.

— Przyszedł ze mną.

— Czegoocicie? — Starzec ziewnął imponująco.

— Przyszliśmy się z tobą zobaczyć.

— Aha... Po co? — spytał Franek, ostatecznie otwierając oczy.

— Myśleliśmy, że opowiesz nam historię.

— Pozwólcie mi się obudzić i...

— „Nie następny”, co? — przerwał Beczka, w końcu opanowując atak kaszlu.

— Hmm?

— Powiedziałeś „nie następny” i wtedy wstałeś.

— O, tak? — Franek najwyraźniej nie łapał, o co chodzi. Kilka kłaków chaotycznie sterczało mu z niechlujnej brody. „Nie następny”? Zmrużył oczy, usiłując przywołać z powrotem sen. Setki żółtawych gryzoni, o oczach lśniących w dzikim uniesieniu, cisnęły się w jego stronę w krótkim nawrocie koszmaru, powodując wystąpienie zimnego potu na starczym czole.

— No... Nie. Nie mam pojęcia — skłamał. — Zabawne.

— A czy to był magiczny sen? — drążył Beczka.

— He? — Franek i Firkin odezwali się jednocześnie, patrząc na małego, pulchnego chłopca podskakującego z podniecenia.

— Sen, magiczny sen, sen o magii, z magią... Lubię magię, magia jest pasjonująca. Firkin nie wierzy w magię. Ja tak, czy to był magiczny sen? Hej, czy to był... Auu!

Firkin kopnął Beczkę w goleń, tym samym uciszając bełkoczącego głaba.

Tak naprawdę, „Beczka” było tylko przezwiskiem. Billy Hopwood, na swoje nieszczęście, po prostu niezwykle przypominał niewielką, przysadziłą baryłkę.

— Co jest, Firkin?

— Eee... z czym, Franek?

— Z tobą i magią.

— Eee... cóż...

— On nie wierzy w magię — oznajmił Beczka, pocierając nogę i pokazując Firkinowi język. — Tak mi dzisiaj powiedział.

— Czy to prawda? — Franek bawił się swoimi okularami.

— Tak — oświadczył stanowczo Firkin. — Nigdy żadnej nie widziałem i w nią nie wierzę!

Franek pochylił się nad stołem, patrzył na chłopca i słuchał.

— ...A wszystkie te historyjki zawierające magię są głupie i pozwalają bohaterom wydostać się tarapatów dzięki machnięciu czarodziejskiej różdżki. To wszystko androny. Koszałki-opałki. Bzdury. Czary-mary. MAGIA NIE ISTNIEJE!

— Skończyłeś? — spytał Franek, spoglądając na poczerwieniałego młodzieńca.

— Tak.

— Pozwól, że opowiem ci o magii.

— O nie! — jęknął Firkin. — Chcę usłyszeć coś prawdziwego. Opowiedz nam o... eee... o... Och, o czymkolwiek, byle bez magii.

Beczka potrząsnął głową z niedowierzaniem. Franek był dobry w zmyślaniu historii, ale bez magii byłyby nudne. Nic ciekawego nigdy się nie działo bez jej udziału.

— ...i — ciągnął Firkin — nie chcę niczego wymyślonego. Chcę prawdy. Faktów.

Beczka wstrzymał oddech.

— O jejku, jejku — westchnął Franek. — Faktów, co? Czy to oznacza, że Firkin dorasta? — spytał retorycznie. — Czy dobrze rozumiem, że moje historie o rycerzach, magach, smokach i damach są już niepotrzebne?

— Nie... — zaczął Beczka.

— ...że opowieści, które przedłem, stają się stare i zużyte...

— Nie! — Oczy Beczki były szeroko otwarte. Uwielbiał, jak Franek opowiada swoje historie.

— ...że nie mam już tak gorliwych słuchaczy...?

— Nie, Franek — powiedział Firkin. — Lubię twoje opowieści. Po prostu potrzebuję czegoś bardziej... hm... bardziej...

— ...prawdziwego! — zakończył za niego czarodziej.

— Tak — przytaknął chłopiec.

— Niech i tak będzie — westchnął Franek, udając pokonanego.

Obaj przyjaciele usadowili się w oczekiwaniu na opowieść.

— To tajemnica. Nikt poza mną nie zna prawdy o małżeństwie księcia Chandon. — Gdyby Franek potrafił przyćmiewać światła, odgrywać cichą, złowieszczą muzykę i produkować spowijającą wszystko mroźną mgłę, moment byłby idealny. — Oto historia barzo cudna: o przygodach, o losie, o rozmyarach obuwia.

Źrenice chłopców się rozszerzyły. Czarodziej popadł w pseudostaroświecką manierę, co zazwyczaj oznaczało, że będzie nieźle.

Przez chwilę spoglądał na chłopców, żeby wzmóc nieco oczekiwanie, wziął głęboki oddech i rozpoczął w uświęcony tradycją sposób.

— Dawno, dawno temu, za siedmioma górami...

\* \* \*

Kroki króla Klaytha odbijały się echem od pustego korytarza. Brzmiało to jak echo w pustym korytarzu, bo taki właśnie był. Pusty.

W zamku Rhyngill były setki mil takich korytarzy.

Puste kamienne podłogi odgradzały puste, ciągnące się milami kamienne ściany, okazjnie przerywane drzwiami prowadzącymi do pustych pomieszczeń, lub krzyżujące się z innym korytarzem. . . tak, pustym.

Całe to miejsce było puste.

Było takie, odkąd naprawdę coś pamiętał.

Kiedyś musiało być zupełnie inne.

Potrafił nawet przywołać mgliste wspomnienia z czasów, kiedy cała ta przestrzeń tętniła życiem. Żyło tu ponad trzy i pół tysiąca osób, wszelkich kształtów i rozmiarów: od małych kominiarczyków, zawsze szarych od sadzy, przez pokojówki, kucharzy, służących, aż po gromadę zarośniętych, odzianych w czerń strażników zamkowych.

Stał teraz w pustym korytarzu i nasłuchiwał. Cisza. Gęsta, głęboka, absolutna cisza. Cisza jak makiem zasiał. Cisza przed burzą w słoneczny dzień. We wspaniałych dniach jego dzieciństwa nigdy nie było tak cicho. Martwa cisza. Tam gdzie są żywi ludzie, trudno mówić o martwej ciszy. Nawet w samym środku nocy musi brzmieć szum życia. Ponad trzy i pół tysiąca ludzi nigdy nie może być całkowicie cicho. Zawsze pojawi się jakiś dźwięk: łagodny, zadowolony oddech młodej dziewczyny stłumiony przez wonne poduszki; niespokojne oddechy śniącego, który walczy ze smokiem na szczycie góry; wreszcie przywodzące na myśl miech silnika parowego chrapanie kucharza — ciągły, jednostajny szum.

Za dnia hałas bywał zapewne ogłuszający, gdy każdy zajęty był swymi dziennymi zadaniami, zbyt licznymi, by je wymieniść, nieodzownymi dla gładkiego funkcjonowania zamku.

Ostatnie dni mobilizacji do wojny z sąsiednim królestwem Cranachanu musiały być imponujące. Ludzie biegający, gromadzący się, sprawdzający — przygotowywali się. Oczywiście, Klayth nie umiał wtedy nawet przeliterować słowa „wojna”, nie wspominając nawet o braku wiedzy, co słowo to oznacza. Ludzie odjeżdżali, i tyle. Był zbyt młody, żeby wiedzieć dlaczego. Jak przez mgłę pamiętał, jak w cichej konsternacji kroczył wśród wrzawy, blisko, ale poza nią, jak jesienny liść na powierzchni strumyka. To podniecenie, elektryczne napięcie w powietrzu — jakby jakiś wielki bóg potarł całym zamkiem o monstualny wełniany pulower i próbował przyczepić go do sufitu. Ale to było inne od całej reszty — to było dogłębne podniecenie. Ostateczne podniecenie. Podniecenie marynowane tygodniami w delikatnej mieszance smutku, rozpacz i prostego, staromodnego strachu.

I nagle wszystko ucichło. W roku 1025 OG mężczyźni odeszli. Kobiety pozostały jeszcze przez parę dni, nie mając co z sobą zrobić po zakończeniu gorączkowych przygotowań. Małe ich grupki znajdowano szlochające po kątach. Stopniowo wszystkie odeszły, zostawiając tylko kilka do zajmowania się zamkiem i bezpieczeństwem króla. Stało się to trzynaście lat temu, gdy Klayth miał niewiele ponad cztery latka. Potem nie ruszył się stąd przez wszystkie te lata, gdy zamek pustoszał, aż w rezydencji zbudowanej dla czterech tysięcy osób pozostała

tylko szóstka. Nic więc dziwnego, że przez większość czasu większa część zamku była, w rzeczy samej, w większości pusta.

Teraz stał na środku jednego z setek położonych wyżej korytarzy i rozmyślał o ludziach, z którymi go pozostawiono. Dwaj ochroniarze, Bartosz i Matusz, prawdopodobnie mieli dość siły fizycznej, ale brakowało im predyspozycji umysłowych, by ustrzec go przed jakimkolwiek chętnym i zdolnym zamachowcem. Mimo to byli wierni. Oddani Klaythowi i gotowi za niego umrzeć. Ale wierzył, że mają nadzieję, iż do tego nie dojdzie. On zresztą też.

Był ponadto kucharz, Val Jambon, którego widywał przy rzadkich okazjach i który zawsze dostarczał najwspanialsze potrawy i przekąski. Kucharz miał córkę, Cukinię, młodą i o wstrząsająco rudych włosach. Klayth prawie nigdy nie spotkał się z nią twarzą w twarz, ale czasami szpiegował ją, gdy wykradała się do pobliskiego lasu.

No i był jeszcze lord kanclerz, Snyderwinder.

Pełnił on następujące, podane tu bez szczególnego porządku, funkcje: głównego doradcy strategicznego, głównego księgowego, szefa rachunkowości, lorda kanclerza, doradcy podatkowego, nauczyciela. . . lista wydawała się nie mieć końca, jednak Klayth sądził, że to właśnie wchodzi w zakres obowiązków lordów kanclerzy.

Wzruszywszy ramionami, ruszył pustym korytarzem w stronę biblioteki.

\* \* \*

„- Ta, której uda się umieścić stopę w tym oto sandale, jest prawowitą panią mego królestwa — oznajmił na całe gardło książę Chandon.

Wszyscy goście przybyli na bal ruszyli do przodu, domagając się jego uwagi. Książę był najlepszą partią w całym królestwie. Wysoki — górował nad większością mężczyzn nawet bez butów turniejowych; Ciemny — grzywy czarnych włosów zazdrościli mu wszyscy mężczyźni, zarówno rycerze i ludzie z gminu, jak i spory odsetek dam dworu; Bohaterski — mistrzem turniejów, który mógł w uczciwym pojedynku pokonać każdego. Śpiewano pieśni o jego wyczynach na polach bitewnych.

Książę Chandon nachmurzył się i szepnął coś do ucha dowódcy straży. Wówczas nadeszli strażnicy, pokrzykując, popychając i szturchając, aż wszyscy mężczyźni zostali odsunięci na bok.

— Niechaj każda z was, kobiet, przymierzy ten sandał, a ta, której będzie pasował, moją żoną zostanie — zakrzyknął książę, olśniewający w swej paradnej zbroi.

Wszyscy nie posiadali się z radości i podniecenia, a dwie damy zemdlały. Lecz wkrótce...”.

— Dlaczego? — zapytał Beczka.

— Co? — odparł Franek.

— Dlaczego zemdlały?

— Miały za ciasno zasnurowane gorsety. A teraz nie przerywaj mi, bo przestanę opowiadać. Zaraz, na czym to ja stanąłem? — Oczy zaszyły mu mgłą, mocno pociągnął swoją brodę. — Ach, tak. „Lecz wkrótce każda stopa została umieszczona w sandale. Na żadną nie pasował. Nawet na męzkatki. Książę nasrożył się i...”.

— Co to znaczy? — szepnął Beczka.

— Był wściekły — cicho odpowiedział Firkin.

Franek nie przerywał:

„... tak więc posłał do czarodzieja Merlota zarządzenie, by tu i teraz stawił się u niego. Dwaj strażnicy wyruszyli z rozkazem, by czarodziej dopomógł usychającemu z miłości księciu”.

— Wydaje mi się, że powiedziałaś, że nie będzie w tym żadnej magii — przerwał Firkin.

— Nno... no... tak, ale... — Franek wpadł w panikę.

— Zawsze to robisz! Zawsze wprowadzasz Merlota, żeby wymagał bohatera z kłopotu albo znalazł ukryty skarb czy coś takiego. To oszustwo. Nie ma czegoś takiego jak magia. To nieprawda!

— Firkin, to tylko historia, podoba mi się, pozwól więc Franekowi dokończyć — powiedział Beczka, zdenerwowany protestami przyjaciela.

— W porządku, założę się, że i tak wiem, jak się kończy — odparł Firkin, krzyżując ramiona i robiąc nadąsaną minę.

— Magia jest prawdziwsza, niż ci się wydaje, młody Firkinie! — Głos Francika dziwnie spoważniał, a czarodziej przenikliwie wpatrywał się w oczy chłopca. — Przekonasz się już niedługo. Jest wszędzie wokół ciebie. Zobaczysz ją, jeśli się rozejrzysz. A teraz powiedz mi, jak się skończy opowieść? — dodał lżejszym tonem.

— Cóż — Firkin zaczął zrozumiąłą odpowiedź — Merlot przybywa i używając swojej magicznej mocy, znajduje dziewczynę, na którą pasuje sandał, książę się z nią żeni i żyją długo i szczęśliwie.

— A kim jest ta dziewczyna? — spytał Beczka.

— Proste! To ta, która musiała zostać w domu i wyczyścić kominek! — Chłopiec wyszczerzył zęby i zadowolony z siebie usiadł z powrotem.

Franek pogładził się po podbródku i rzekł:

— Powiedz mi, Firkin, jak myślisz — jak interesująca wyda się przyszłemu królowi, którego umiejętności rycerskie i myśliwskie są legendarne, dziewczyna,



która spędza życie na czyszczeniu kominków, cerowaniu skarpet i ściereczek do naczyń? No?

— Cóż... tego... prawdopodobnie, niezbyt...

— Aha! Tak więc nie będą żyli szczęśliwie, czyż nie?

— Tego... chyba nie.

— Więc twoje zakończenie jest niewłaściwe, a może nie jest?

— Hmm... chyba nie. — Firkin wyglądał na zakłopotanego.

— A jakie jest odpowiednie zakończenie, Franek? — spytał Beczka, chcąc wiedzieć więcej. — Proszę, powiedz mi!

— Pamiętacie zarządzenie wysłane do Merlota?

— Tak — powiedział Beczka.

— Tak — przytaknął Firkin podejrzliwie, zastanawiając się, co tym razem ma zamiar wymyślić Franek.

— Wiecie, co w nim napisał książę?

— Nie, nie powiedziałaś nam — szybko odparł Firkin.

— Zawierało wiadomość i pogrózkę. Merlot przybył na dwór książęcy i był posłuszny, gdyż lubił uszczęśliwiać ludzi. Wyjątkowo gruba i zachłanna kobieta podarła sandał, bo próbowała trzykrotnie wcisnąć weń swoją stopę. Merlot naprawił go tak, żeby idealnie pasował na stopę księżniczki Daviny, którą książę kochał, ponieważ była piękna, inteligentna i bogata, a jej tata posiadał najlepszy plac turniejowy w okolicy. Pobrali się i urządzili wielkie przyjęcie dla wszystkich.

— A co się stało z tą drugą dziewczyną?

— Eee... no... ona... była druhną.

Firkin popatrzył na Francka i potrząsnął głową.

— Nie potrafisz, prawda? Nie potrafisz opowiedzieć historii bez magii. Nie potrzebowałaś w niej magii. Krawiec mógł naprawić sandał. Jak już powiedziałem, nie wierzę w magię i wiele by trzeba, żeby mnie przekonać.

Franek skrzyżował ręce, rozsiadł się na swoim krześle i uśmiechnął szeroko do samego siebie.

— Zobaczmy — mruknął — zobaczmy.

O dziwo, Firkin poczuł się nieswojo.

\* \* \*

Później tego samego dnia, po tym jak Franek opowiedział im jeszcze kilka historii o zmiennym stopniu prawdopodobieństwa, Firkin pchnął drzwi chaty, w której mieszkał, i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach gulaszu z rzepy.

— Cześć, mammo! — zawołał.

— O, cześć, kochanie! Gdzie byłeś?  
— U Francka.  
— Umyj ręce, kochanie, obiad gotowy.  
— Opowiadał nam o wampirach, o tym, że nie mogą wychodzić na światło dzienne i że nie lubią czosnku. . .  
— No już, pośpiesz się. To gulasz z rzepy, twój ulubiony.  
— . . . i że wysysają ludziom krew z szyi i latają jak nietoperze, i. . .  
— No chodź. Umyłeś już ręce? Jedzenie gotowe.  
— W porządku — powiedział bez specjalnego entuzjazmu. — Jak się ma dzisiaj Jutrzenka?

— Niezbyt dobrze, kochanie. Mówiąc szczerze, tak jak wczoraj.

Jego matka wolnym ruchem zamieszała w garnku. Zawiesisty gulasz z rzepy bulgotał na płycie piecyka, w którym przez cały dzień buzował ogień. Shurl, mama Firkina, nie była specjalnie pomyslową kucharką, ale z drugiej strony, w Mid-din nie było szczególnie dużego wyboru produktów spożywczych.

— Zaraz pójde się z nią zobaczyć.

— Już prawie gotowe. Wołaj tatę.

Firkin chciał spytać: „Jak mam go wołać?”, ale wiedział, że matka nie zwróciłaby na to uwagi. W tej chwili jej świat ograniczał się do rondla, w którym gotował się gulasz z rzepy, i planów rozdystrybuowania posiłku wśród członków rodziny. Niewiele poza tym się liczyło. Na razie.

Firkin wyszedł przez drugie drzwi i wkroczył do ogrodu.

— Cześć, tato. Mama kazała mi zawołać cię na obiad.

— Uff, ech! W sam raz jesteś. Podasz mi rękę? Albo lepiej nie. Odrobina ogrodnictwa, tego ci trzeba. Zrobiłoby to z ciebie mężczyznę.

Jego ojciec był zawsze taki sam, kiedy przebywał w ogrodzie. Frustrację wynikającą z przerzucania kilku ton lepkiej, czarnej ziemi, uparcie odmawiającej rodzenia czegokolwiek poza cienką warstwą mulistej pleśni, często wyładowywał na Firkinie. Wyllf, ojciec chłopca, uporczywie trzymał się myśli, że to coś na tyłach ich chaty jest glebą. Znajdowało się na ziemi, można było po tym chodzić. Nie był to dywan, więc musiała to być gleba. Miewał jednakże wątpliwości. Czasem wydawało mu się, że osiągnąłby większy botaniczny sukces, próbując uprawiać kawałek dobrze nawodnionej włochatej wykładziny podłogowej średniej jakości.

— Przyszedłem po prezent dla Jutrzenki.

— Brać, brać, brać! Tylko to potraficie! Co byś powiedział na odrobinę potu i trudu? Och, nie! Nawet raz. Kiedy ja byłem w twoim wieku, musieliśmy. . .

Ojciec kontynuował w tym samym stylu, kiedy Firkin, chlupocząc, przeszedł przez zagon lepkiego błocka. Już to wszystko słyszał: że nie budują już nic trwałego, że wszystko dzieje się w zbyt dużym pośpiechu i że w kielbaskach jest dzisiaj

mniej mięsa. Pozornie wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu w ciemnym błocie zakwitły dwa przebiśniegi. Były piękne. Chłopiec czuł, że powinien potraktować je jako symbol, ale nie mógł. Na razie. Wiedział, że spodobają się Jutrzence. Sięgnął w dół, zerwał je i ostrożnie wniósł do środka. Kwiaty na urodziny siostrzyczki. Wiedział, że jej się spodobają, ale jednocześnie chciał dać jej coś więcej. Żeby tylko poczuła się lepiej.

Zapukał do drzwi Jutrzenki i cicho wszedł.

— Cześć, jak się czujesz?

— Błeeee! — odpowiedziała wymownie.

— Przyniosłem ci to. Wszystkiego najlepszego — powiedział i wręczył jej dwa niepozorne kwiatuszki. Czuł, że to niezbyt wiele.

— Och, Firkin, są śliczne! Dziękuję.

Miał w palcach koszulę i patrzył na gołą podłogę.

— Tylko to znalazłem... Chciałem przynieść ci więcej... ale... cóż... przepraszam — skończył beładnie, wzruszając ramionami.

Jego młodsza siostra uśmiechnęła się słabo.

— W porządku — zachrypiała. — Rozumiem.

Firkin spoglądał na nią ze smutkiem. Tak bardzo chciał jej pomóc, powstrzymać chorobę. Tęsknił za Jutrzenką Włazącą Na Drzewa, Jutrzenką Wbiegającą Na Wzgórze i nawet trochę za Jutrzenką Śmiejącą Się Histerycznie Podczas Zbiegania Ze Wzgórza. Brakowało mu wspólnych zabaw.

Chciał, żeby wydobrzała.

Chciał móc jej pomóc. Potrzebowała tylko kilku dobrych posiłków, żeby ozdrowieć. Co więcej, całe Middin potrzebowało tylko kilku dobrych posiłków. Mieli tak niewiele, a większość tego i tak wędrowała do króla. Ten król! Ten król!

Gniew wygrał pojedynek na ręce z melancholią i działał destrukcyjnie na emocje Firkina. To wszystko było winą króla. Nienawidził króla. Obrazy tłoczyły mu się w głowie. Tłusta, nalana twarz, gęba opychająca się winogronami, podczas gdy reszta kraju głoduje. Olbrzymie stopy żywności strzeżone zazdrośnie za niewzruszonymi murami. Nienawidził króla. Co on robi? Po co tu jest? Szkodnik!

Gniew zszedł ze sceny, w świetle reflektorów zostawiając frustrację i niemoc, wspólnym, chóralnym głosem zadające swoje ulubione pytanie: „Cóż my możemy na to poradzić?”.

Firkin czuł się bezużyteczny.

Wiedział, czego chce. Marzył o grupie ludzi pod wodzą lśniącego rycerza, wyzwalającej kraj od tyranii. Marzył o lepszych czasach. Ale co on mógł zrobić? Co mógł zrobić?

Uśmiechnął się słabo do siostry i wyszedł z pokoju.

Co mógł zrobić?

\* \* \*

Wysoko pośród niższego pogórza Gór Talpejskich złodziej przyglądał się w skupieniu swojej upatrzonej ofierze. Obserwował ją już od jakiegoś czasu. Przykucnął za skałą i czekał na właściwy moment. Długo przemykał za omszałymi kamieniami, następnie czołgał się na brzuchu w długiej trawie, aż dotarł do tego miejsca. Ostatni krok zawsze był najgorszy. Całe nagromadzone napięcie i podniecenie uwalniało się w jednym, szalonym susie do przodu w stronę łupu. Ale dopiero gdy nadejdzie właściwy czas, nie teraz, jeszcze nie.

Nogi bolały go od kucania. Musiał wkrótce ruszyć. Gdyby tylko ofiara spojrzała w inną stronę, mógłby wybiec, wyrwać i uciec.

Ofiara stanęła i gapiła się na dolinkę, niemal zupełnie bez ruchu.

Złodziej zmienił nieco niewygodną pozycję. Ofiara obróciła się i spojrzała w tył. Tylko na to czekał. Już! Wstał i pobiegł szybko przez wrzosa, schylił się, chwycił łup i już mknął co sił w nogach, zanim ofiara w ogóle zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

— Mam, mam! — krzyczał złodziej, zbiegając z góry. Obejrzał się przez ramię, spodziewając się ujrzeć za sobą ścigającą go postać. Nie było jej. Nicco sobie odpuścił, następnie zaś mocno się zmieształ.

Dlaczego mnie nie ściga? — myślał. Zatrzymał się i popatrzył w górę. To było nie w porządku. Zawsze go ścigano. Stał chwilę, po czym zawrócił powoli pod górę. Badawczo wyjrzał zza głazu. Postać wciąż stała, patrząc na dolinę. Nie poruszyła się.

Musiał mnie zauważyć. Dlaczego mnie nie ściga? — zastanawiał się złodziej. Wstał i ruszył w stronę ofiary.

— Dlaczego się nie bawisz?

— Hm? — spytał Firkin marzycielsko.

— Mam łup. Wygrałem — powiedział Beczka, podrzucając w rękę lśniące kamyczki.

— Och... dobra robota — odparł Firkin obojętnie.

— Co się stało? Nie cierpisz, kiedy wygrywam.

— Wybacz, nie mam nastroju do zabawy.

— Dlaczego?

— To przez Jutrzenkę. Przykro mi patrzeć na nią w takim stanie. Chcę jej jakoś pomóc, ale nie wiem jak.

Usiadł ciężko na kamieniu i ścisnął kolana. Beczka zamyślił się głęboko.

— Co zrobiłby książę Chandon? — spytał po kilku minutach.

— To poważna sprawa — zdenerwował się Firkin. — Moja siostra, podobnie jak większość mieszkańców wioski, jest chora, a ty myślisz o bajkach!

— Ja tylko spytałem. . . myślałem, że to nam pomoże myśleć. . . to znaczy, on zawsze ratuje Damy w Opresji. . . a myślę, że twoja siostra ma niezłą. . . tego. . . opresję. . . i jestem pewien, że łapie się jako dama. Nie wiem dokładnie, jakie warunki trzeba spełniać dla prawdziwej damowatości, ale. . .

— Zamknij się z łaski swojej. . . ja myślę.

— Och!

— Tak. . .

Beczka niemal słyszał zgrzytanie kół zębnych w umyśle przyjaciela. Najwyraźniej układał plan.

— Tak. To może zadziałać! — powiedział do siebie Firkin. — Może zadziałać. Ha!

Wstał i zbiegł w dół wzgórza. Beczka popatrzył za nim, podniósł się krzyknął: — Firkin?. . . Hej, zaczekaj na mnie!

\* \* \*

— Jesteś całkowicie pewny, że to się uda?

— Oczywiście, że jestem — odpowiedział Firkin ochryłym szeptem kilka minut później. — Kiedy wóz już stąd odjeżdża, nikt go nie sprawdza.

— Skąd wiesz?

— To logiczne, nie?

— A co będzie, jeśli król się dowie? Wyśle tu Czarną Straż i wszyscy będziemy. . . — Beczka urwał, a jego szept przeszedł w pisk.

— Król nigdy nie zauważy, bo nie wezmę dużo. Poza tym to i tak jest nasze! Chodź.

Firkin skradał się naprzód, trzymając się blisko tyłu szopy pełniacej niegdyś funkcję suszarni i wypatrując obluzowanej deski, o której wiedział, że gdzieś tu się znajduje.

Trzydzieści lat przymusowego zaniedbania obluzowało wiele desek, ale Firkin wiedział tylko o tej tuż przy ziemi. Większość dzieci z Middin bawiła się w szopie do czasu, gdy ogłoszono ją strefą zakazaną. Oficjalna decyzja głosiła, że miejsce to jest „niebezpieczne i nikt, powtarzam, nikt, z wyjątkiem dostarczających dziecięciny, nie ma tam prawa wstępu”. Ale jak ze wszystkim, co zakazane, szopa stała się przez to tylko atrakcyjniejsza dla najmłodszych mieszkańców wioski.

Firkin ostrożnie przesunął deskę i wślizgnął się przez otwór do ciemnego wnętrza. Za nim wszedł Beczka, zaraz potem umieścił deskę z powrotem na miejscu. Chłopcy poczekali, aż ich oczy przywykną do ciemności. Snopy światła wpadały do środka przez dziury w dachu i pyłki kurzu lśniły chwilę, gdy przypadkowo je

poruszyli. Ściany szopy pokrywały liczne rzędy wiszących półek, a w przeciwnym końcu widać było resztki pieca. Większość jego części została rozgrabiona do remontowania pieców w okolicznych chatach.

Firkin i Beczka już to wszystko widzieli, więc przyglądali się bez zainteresowania. Ich oczy zwrócone były na wóz stojący pośrodku szopy.

Spora płachta, pewnie przymocowana do boków wozu, przykrywała ładunek. Tył był wciąż otwarty i część dziesięciny znajdowała się na zewnątrz.

Nagle strumień jasnego światła wlał się do środka przez otwarte drzwi frontowe. Do szopy weszły trzy postaci. Firkin rozpoznał sylwetki.

— ... W porządku — powiedział woźnica Angus — po prostu dajcie to na tył. Mam nadzieję, że tym razem są czyste!

Spojrzał na spis i odfajkował coś na kawałku pergaminu, spełniając swe oficjalne obowiązki.

Dwaj inni wieśniacy umieścili swoją dziesięcinę pod ciężką płachtą i odeszli, zrzedząc. Angus obliczył odfajkowane pozycje.

— Czterdzieści trzy! — mruknął do siebie. — Nie mogliby lepiej składować rzepy?! Fee! — Strzepnął kilka tuzinów maciupkich owadów żywiących się rzepą, miażdżąc przy okazji niektóre, następnie zaś odszedł po swojego konia.

Gdy drzwi się zamknęły i trzasnęła kłódka, Firkin ruszył przed siebie. Poszperał pod płachtą, wyciągnął skrzynkę i odbiegł.

— Nie podoba mi się to — wyszeptał Beczka. — To kradzież.

— Jasne. A jak nazwiesz dziesięcinę?

— No... tego...

— Jak wzięcie czegoś, co od początku było nasze, może być kradzieżą, co? Chodź.

Gdy Angus po raz kolejny otworzył drzwi i wszedł do nieużywanej suszarni ze swoim starym, zmęczonym koniem, dwie postaci wydostały się na zewnątrz, mając przy sobie więcej, niż gdy tu wchodziły.

\* \* \*

Oczy Jutrzenki otworzyły się szeroko z podniecenia i zaskoczenia, kiedy Firkin zasłonił jej ręką usta i położył sobie palec na wargach. Dawał jej znak, żeby była cicho. Ostrożnie położył skrzynkę na łóżku i zdjął rękę z ust dziewczynki.

Jutrzenka spojrzała na pudełko, potem na Firkina, i wydała z siebie ciche.

— Coo?... .

— Wszystkiego najlepszego — wyszeptał chłopiec i uśmiechnął się.

— Ale...

- To dla ciebie.
- Jak?... gdzie?...
- Nie zadawaj tyle pytań, bo pomyślę, że nie chcesz.
- Och, chcę, chcę, chcę.

Kurczowo ścisnęła pudełko, zanosząc się atakiem kaszlu.

— W takim razie pośpiesz się i otwórz — namawiał Beczka, nerwowo spoglądając na drzwi. Był temu wszystkiemu przeciwny, ale kiedy już się zaczęło, paliła go piekielna ciekawość, co się stanie. Miało to chyba coś wspólnego z pierwszym stopniem do nieba (czy gdzie tam indziej).

Twarz Jutrzenki lśniła od wzrastającego zniecierpliwienia, gdy dziewczynka zaglądała do skrzynki. Jej mały palec wślizgnął się do środka i zanurzył w małym garnuszku, a następnie powrócił z ładunkiem pianistej białej masy na czubku.

— Czy to jest?... — spytała dziewczynka ze źrenicami rozszerzonymi ze zdumienia i wzrastającej ekscytacji.

Firkin wzruszył ramionami.

— Myślę, że to jest... Och, Firkin! — wyszeptała i wetknęła sobie palec do buzi.

To był.

Promieniejąca radością Jutrzenka z powrotem sięgnęła palcem do garnuszka. To był jej ulubiony pudding, miejscowy przysmak przyrządzany z mleka tutejszych gryzoni z dodatkiem mało znanych ziół i wrzosów do smaku. Potrawa ta była niezwykle rzadka z powodu trudności, jakich nastęczało zdobycie mleka. Paluszek dziewczynki niósł trzecią porcję Lemingowego Musu w stronę jej szeroko roześmianych ust.

\* \* \*

Kilka dni później król Rhyngill siedział bez ruchu w Sali Konferencyjnej. Jego nabijane ćwiekami czarne szaty połyskiwały, gdy słuchał swego doradcy, lorda Snydewindera.

— Sire, czyż nie warto byłoby uczynić tego dla przykładu? Czyż nie byłoby mądrze zgnieść nieposłuszeństwo w zarodku? Zmiażdżyć. Stłumić!

— Jesteś pewien, że zrobili to umyślnie?

— Tak, wasza cesarska wysokość.

— Ale całą wioskę?

— Zachowanie kontroli jest koniecznością. Jeśli w innych wioskach dowiedzą się, że uszło im to na sucho, wtedy dopiero się zaczną. Gdzie będzie koniec? Nasze spichlerze opustoszeją. Zacniemy głodować!

Królewskie szaty zaskrzypiały, gdy ich właściciel pochylił się do przodu.

— Zatem co sugerujesz, lordzie Snydewinderze?

— Puścić wioskę z dymem! — wykrzyczał odpowiedź doradca, uderzając jednocześnie pięściami w ciężki dębowy stół. — Puścić z dymem wiele wiosek!

— Nie ma innego wyjścia?

— Moglibyśmy, moglibyśmy o... opo... opoda... opodatkować ich bardziej!

— eksplodował Bartosz, wciąż pozostający pod wrażeniem swojego poprzedniego sukcesu.

— Zamknij się! — wrzasnął lord Kanclerz, zgrabnie manewrując butem. Olbrzymi strażnik zawył gniewnie.

— Snydewinder, ile mamy jeszcze czasu, zanim zaczniemy głodować?

— Mógłby pan sprecyzować, sire?

— Co?

— Cóż, czy ma pan na myśli...

— O nie, tylko nie to! Powiedz mi, ile mamy żywności w naszych spichlerzach.

— Włącznie z warzywami, sire?

— Wszystkiego?

— Wliczając ubytek naturalny i wędnięcie?

— Tak — westchnął król ze znużeniem. — Po prostu odpowiedz mi, w porządku?

— 434 tony warzyw, na co składają się: 34 tony rzepy, 27 ton marchwi, 14 ton każdego typu ziemniaków, 6 ton...

— Wystarczy! — Król wznosił znużone oczy ku niebu.

— Sire?

— Po prostu powiedz mi, na jak długo całej żywności w naszych spichlerzach

— wszystkie warzywa, żywy inwentarz, kurczaki, WSZYSTKO — na jak długo nam wystarczy?

— Nam wszystkim?

— Całej załodze zamku.

— Włącznie ze służbą kuchenną?

— Tak.

— Obojgiem?

— Tak! — Echo głosu króla rozniosło się po komnacie.

Snydewinder ucichł i zaczął z zapalem gryzmolić na kawałku pergaminu. Bartosz mruzczał pod nosem obsceniczności. Większość dotyczyła naruszania nietykalności osobistej, wszystkie zaś dotyczyły Snydewindera. Po kilku minutach pisanina ustała i lord kanclerz podniósł wzrok.

— Sire, już mam. Cała żywność w naszych spichlerzach, konsumowana na obecnym poziomie przez obecnych tu, oraz przez służbę kuchenną (nieobecną),



wystarczy w przybliżeniu na sześćset czterdzieści siedem lat, osiem miesięcy i dwa dni, sire.

— CO!?!?

— Sześćs...

— Tak, tak słyshałem. Po prostu jestem zaskoczony.

— Jeśli wasza wysokość sądzi, że to za mało...

— Nie... nie... hmm... daj mi pomyśleć. — Zapadła cisza. — Twierdzisz, że wystarczy nam żywności na ponad sześćset lat...

— Sześćset czterdzieści osiem, sire — przerwał Snydewinder.

— ...my właśnie znów podnieśliśmy podatki, a ty chcesz, żebym spalił całą wioskę, bo jej dziesięcina była niepełna!?

— To był cały garnek Lemingowego Musu, sire — po raz kolejny poprawił doradca.

— Wiem, wiem.

— Jeden z pańskich przysmaków, sire. — I moich, dodał w myślach.

— Tak, wiem, ale...

— Musi pan coś w tej sprawie zrobić, sire. Utrzymanie porządku leży w naszym żywotnym interesie. Jak już wspomniałem, jeśli jednej wiosce coś takiego ujdzie na sucho, kto wie, czym się to skończy!

— Nie rozkażę spalić całej wioski tylko dlatego, że dziesięcina była ciut za mała. Rozumiemy się, prawda?

Zdrowe oko Snydewindera zaiskrzyło, ostro kontrastując z czarną opaską na drugim.

— Czy pan przypadkiem nie łagodnieje, sire? — Lord kanclerz stracił nad sobą panowanie.

— ŁAGODNIEJE!?! Jak śmiesz tak mówić? — zagrzemiał król.

Bartosz uśmiechnął się. Lubił, jak król denerwował się na Snydewindera.

— Cóż, sire, w czasach Twych Przodków wioska i trzy inne, najbliższe, spłonęłyby, gdyby w dziesięcinie brakowało choć jednej marchewki! Czy wystąpisz, panie, przeciw starej tradycji swego Ojca?

— Nie potrzebujemy żywności. Mamy jej tony...

— Pański Ojciec nigdy by czegoś takiego nie powiedział!

— Ja... my... — Król zaczął się płatać. As z rękawa Snydewindera znów zadziałał. Klayth w odróżnieniu od niego nigdy naprawdę nie znał swojego Ojca. Stary Król Khardeen... wyruszył na bitwę trzynaście lat temu wraz ze wszystkimi mężczyznami wystarczająco silnymi i chętnymi, żeby walczyć przeciwko królestwu Cranachanu. Pozostawił swego syna na tronie, dwóch ochroniarzy, Bartosza i Matusza, oraz strupieszalą służbę kuchenną. Mężczyźni nie wrócili.

Tajemnicą pozostało, dokąd odeszli.

Tajemnicą pozostało, dlaczego wróg nigdy nie najechał kraju.

Wszystko to rzuciło na młode barki Klaytha ciężar władzy.

Musiał utrzymywać pozory — był królem.  
Musiał sprawować rządy terroru — był królem Rhyngill.  
Musiał panować żelazną ręką — to właśnie robili królowie Rhyngill!  
Tak w każdym razie utrzymywał Snyderwinder.  
— Okaż mi, że jesteś jego synem! Defraudujących dziesięć trzeba ukarać!  
Natychmiast! — Piskliwy głos tego wysokiego, kościstego, szczupłego mężczyzny brutalnie przywrócił Klaytha na ziemię. — Co zamierzasz zrobić? — pisał Snyderwinder.  
— Spalić ich — wyszczerzył się Matusz.  
— Tak, spalić! — przytaknął Bartosz.  
— Natychmiast! — poparł ich Snyderwinder, śmiało wpatrując się w króla.  
— Płoń, płoń, płoń, hej! — zachichotał Matusz, zaczynając czuć bluesa. — Płoń, płoń, płoń, hej! Pł...  
Król uderzył pięścią w stół i zerwał się, dygocząc z gniewu.  
— Nie, nie, nie! Nie zgodzę się na bezsensowne puszczanie z dymem! — Jego skórzany strój wściekle skrzypiał.  
Bartosz zamknął usta.  
— Co więc pan rozkaże... sire? — Snyderwinder uśmiechnął się szyderczo, niemal wypluwając ostatnie słowo.  
— Ty! — Król drżącym palcem odzianym w skórzaną rękawicę wskazał okolicę nosa doradcy. — Wydasz dekret grożący, że wioska zostanie spalona, jeśli dziesięć jeszcze raz będzie niepełna. Groźba — rozumiesz!?  
— Rozumiem, sire.  
— To dobrze.  
— Uważam to tylko za nieco słabe, biorąc pod uwagę...  
— Co?! — krzyknął król.  
Bartosz nieśmiało bawił się zbroją. Król potrafił krzyczeć bardzo głośno.  
— ... biorąc pod uwagę politykę „żelaznej ręki” pańskiego Ojca, sire.  
— Ja jestem królem! Ty — dekret — w tej chwili! — Klayth podkreślał kolejne wykrzykiwane słowa uderzeniami pięści w stół.  
Snyderwinder przybrał czerwony odcień, głośno przełknął i powiedziawszy: „Tak, sire”, opuścił królewską komnatę.  
Są chwile — myślał Klayth — kiedy nie ma wyboru i trzeba pomiatać ludźmi, wykorzystując swoje stanowisko. A jeśli to nie zadziała, dużo krzyżeć.  
Bartosz i Matusz stali cicho w rogu, nie wiedząc, co począć, i licząc na to, że być może są niewidzialni.  
— A co do was dwóch... Jestem zniesmaczony. „Płoń, płoń, płoń, hej!?”. Co wy sobie wyobrażacie?!  
— Przepraszam... — wydusił z siebie Matusz.  
— Przepraszamy... sire — poparł go nieco pewniej Bartosz.  
— Posiedzenie jest odroczone. Zostawcie mnie samego.

W komnacie szybko zapadła cisza. Król, skrzypiąc ubraniem, wstał zza stołu i wolno ruszył w głąb Sali Konferencyjnej. Minął gustowną ozdobę z kopii i wyszedł małymi, ukrytymi głęboko za tronem drzwiczkami.

— Posiedzenie odroczone — mrucał do siebie znużony.

\* \* \*

„Firkin chciałby dobrze zjeść. Obrót.  
Zechce znów, podskok, teraz chce. Obrót.  
Pasztet mój. Podskok.  
Pasztet twój. Obrót.  
Pasztetniku, daj mi...”.

Firkin zatrzymał się w połowie podskoku na jednej nodze i zachwiał niepewnie.

Beczka podniósł wzrok znad białych kamieni ułożonych w dziesięć zgrabnych prostokątnych pól i spojrział zezem w stronę źródła dźwięku.

Niewielka grupka ludzi, którzy zebrali się, by popatrzeć na słup ogłoszeniowy, rozpychała się, wskazywała coś i podnosiła głosy w tonie skrzywdzonych niewińców. Słup był to wysoki, cienki patyk, pewnie osadzony w błocie, służący jako niezwykle wydajna forma komunikacji. Każdy, kto chciał przesłać wiadomość całej wiosce, przyczepiał kartkę do słupa ogłoszeniowego, a następnie tupaniem zwoływał ludzi, żeby przeczytali. Oczywiście, w tych czasach słup był praktycznie zbyteczny — w Middin zostało tak niewiele osób, że szybsza okazywała się komunikacja ustna. Słup ogłoszeniowy był także miejscem, gdzie informacje z zewnątrz, jak by to powiedzieć... ogłaszano.

Firkin opuścił nogę i zrobił krok do przodu. Ciekawość przywiodła go do słupa.

Grupka stała ciasno zbita i wpatrywała się w żółtawy kawałek pergaminu falujący delikatnie na chłodnym, górskim wietrzyku. Pergamin w tajemniczy sposób pojawił się nocą. Na dole znajdował się złowieszczy ślad czerwonego wosku i błękitna wstążka — pieczęć króla Rhyngill.

Firkin wyłapywał urywki rozmów krążących nad jego głową.

— ...ja swoje załadowałem...

— ...to niesprawiedliwe...

Był zbyt mały, żeby ze swojego miejsca przeczytać obwieszczenie.

— ...nie moja wina. Moja była pełna — zapytajcie sołtysa...

— ...spróbuj to powiedzieć Czarnej Straży...

— ... albo królowi...

Firkin wwiercał się w gęstą masę ciał.

— ... urznom ci łeb, jak ciem ino zoczom...

Wpatrywał się w dekret i cicho czytał. Wokół niego dyskusja rozgorzała na całego.

— ... ale zawsze płaciliśmy wszystko...

— ... mamy wszyscy cierpieć za jednego...

— ... a jeżeli król źle policzył?

— ... nie. Może jest surowy... ale sprawiedliwy...

— Nie, nie jest. To ma być decyzja sprawiedliwego króla?

— ... to tylko groźba spalenia wioski...

— ... aha, i dlatego jest w porządku? Tylko groźba?

Firkin skończył czytać i pobladł. Nikt nie zauważył, jak przetyka ślinę, zaciska pięści i powoli zawraca. Sprzeczka trwała, kiedy torował sobie drogę do czekającego nań Beczki.

— I jak? — spytał przyjaciel zaciekawiony.

— Niedobrze — odparł słabo Firkin.

— Co tam napisali?

— Zauważył.

— Kto... co?

— Król... dziesięcinę.

— Aha... ojoj — zakończył Beczka.

Firkin oszołomiony ruszył w kierunku swojej chaty, bezmyślnie wpatrując się w ziemię. W kilka minut cały jego świat wywrócono do góry nogami, wytrząśnięto, trzymając za kostki, i rzucono w kąt pokoju. I to z jego winy. Drobnie wykroczenie zachwiało życiem innych ludzi. Jego winy. Czuł się chory. Oczy zasły mu mgłą i napełniły się łzami.

Był przestępcą.

Nosił w sobie tajemnicę winy, która dotyczyła całej wioski.

Nie mógł tego znieść...

Beczka obserwował bezradnie, jak Firkin nieobecny ruchem wyciera oczy i ucieka.

\* \* \*

Jedną z ostatnich rzeczy, jakich spodziewamy się w środku nocy, jest nagłe, brutalne przywrócenie do świadomości przez złowrogą dłoń zamykającą nam

usta, by zapobiec krzykom, i przyciśnięcie naszej ręki do łóżka, unieruchomienie przez jakiegoś dzikiego, szalonego, obłąkanego intruza.

Panował środek nocy, kiedy Beczkę, ktoś nagle gwałtownie i brutalnie wyrwał ze snu. Z niepokojącą sprawnością został przygwożdżony do łóżka, niezdolny do ruchu, ani krzyku. Wpatrywał się w twarz szalonego intruza, znajdującą się kilka cali od jego własnej. Wpadł w panikę, miotającą nim jak tsunami żółwiami wodnymi. Pot wystąpił mu na czoło, fala arktycznego zimna przelała się przez jego drżący ze strachu kręgosłup, setki pytań dotyczących nieuchronnej przyszłości przepychały się na pierwszą linię w jego umyśle w nadziei, że znajdzie się na nie odpowiedź. Myśli pełne długich, cienkich sztyletów, olbrzymich dawek bólu, tortur i...

— Leż spokojnie, głupku! — zabrzmiał warkotliwy szept napastnika. — Prze stań się wiercić!

— Mmfflgh! — Była to najlepsza odpowiedź, na jaką było go stać.

— I siedź cicho!

— ...! — odparł Beczka.

— Słuchaj, nie chciałem cię budzić, ale muszę powiedzieć ci prosto w oczy...

Dłoń puściła jego usta i postać intruza wyprostowała się w padającym przez okno świetle księżycy.

— Nie mogłem tak cię zostawić, żebyś rano znalazł wiadomość. Już dłużej tego nie wytrzymam. Nie teraz. — Firkin usiłował kontrolować emocje w swoim głosie.

— Co ty wyrabiasz, tak na mnie wskakując?

— Informuję cię.

— O czym?

— Nie mam wyboru. To wszystko wyrwało się spod kontroli. Nic innego nie mogę już zrobić.

— Eee... co?

Firkin przełknął ślinę i kontynuował roztrzęsionym szeptem.

— Jest tylko jedna odpowiedź. Jeden sposób wyrwania się z tego. Długo i intensywnie nad tym myślałem. Nie próbuj mnie powstrzymać. To wszystko moja wina, wiem. Och... to straszne, że muszę... odejść... w taki sposób. Mam jej tyle do powiedzenia. Tak wiele chciałbym jej powiedzieć. Zanim... To tchórzostwo, wiem. Sam w środku nocy. Powiedzą, że zrobiłem to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale inaczej będą usiłowali mnie powstrzymać, rozumiesz, nie mam wyboru. Złamię jej serce, wiem. Nienawidzę sprawiać jej przykrości, ale nie ma innego wyjścia. Nie rozumiesz? Nie mam wyboru. Nie mam wyboru.

Wstał i szybko wyszedł, powstrzymując morze łez. Zatrzymał się na progu, odwrócił i wyszeptał:

— Powiedz jej, że ja... że ja... — Odwrócił się i wybiegł.

— Co mam jej powiedzieć... dlaczego?

Pytanie dotarło do skrawka księżycowego światła padającego na miejsce, gdzie przed chwilą stał Firkin. Czy Beczka się obudził? Czy Firkin naprawdę to wszystko powiedział? Skąd ten czas przeszedł? To było zbyt realne jak na sen. Bolało go ramię.

Nagle przez gąszcz zakłopotanych myśli w jego głowie przedarła się jedna, ostra i cienka. Czy miał na myśli to, co Beczka myślał, że miał na myśli? „... już dłużej nie dam rady... nie mam wyboru... tchórzostwo... powiedz jej, że ja... że ja...”. Rozległo się bicie alarmowych dzwonów, zagłuszając ostatnie słowa Firkina.

Beczka wyskoczył z łóżka, narzucił kurtkę, wciągnął buty i pobiegł do chaty przyjaciela. Po paru chwilach oglądał przez okno puste łóżko i schludny pokój. A więc to prawda. Zamierzał to zrobić.

Musi go znaleźć. I to szybko. Firkin nie powinien być sam w takiej chwili. Rozmyślając, Beczka rozglądał się wokół. Gdzie mógł pójść? Gdzie!?

Spanikowany Beczka biegł tak szybko, jak tylko potrafił.

Miał nadzieję, że ma rację.

Miał nadzieję, że uda mu się dorwać przyjaciela...

\* \* \*

Następnego ranka Jutrzenka powoli wstała z łóżka.

Z trudem wyszła z pokoju, kurczowo ściskając znaleziony pod poduszką skrawek papieru. Hektolitry łez oczekiwały w pełnej gotowości za jej powiekami.

— Wyllf, kochanie, widziałeś dziś rano Firkina? — spytała Shurl, zmywając po śniadaniu.

— Nie.

Jutrzenka przystanęła i słuchała przy drzwiach, próbując się uspokoić. Usiłowała nie wierzyć.

— Nie był na śniadaniu, a jego łóżko jest posłane.

— Och!- burknął Wyllf.

— To bardzo dziwne.

— Najpewniej znów siedzi u tego całego Francka. Stary bez wątplenia napycha mu głowę bzdurami.

— Ale on nigdy nie wychodzi bez śniadania.

— Shurl, nie wiem, gdzie jest nasz syn. Ale wiem, gdzie go nie ma. W ogrodzie, pomagającego mi. Nigdy nie ma go w ogrodzie pomagającego mi.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do kuchni wpadła jak trąba powietrzna pulchna, czerwona na twarzy kobieta.

— To ma być dowcip? — pisnęła, wymachując małym niechlujnym kawałkiem papieru. — Dowcip to ma być?

— Dzień dobry, pani Hopwood! Jak się pani miewa? — spytała Shurl.

— Co to ma znaczyć? Nigdy nie czytałam czegoś w podobnie złym guście! Niesmaczny dowcip! Niesmaczny!

— Dzieńdoberek — burknął Wyllf.

— To się skończy kłopotami, zobaczą państwo!

— Czemu ona się tak gorączkuje? — zapytał Wyllf.

— Pozwólmy się jej uspokoić, to nam powie. — Shurl wzruszyła ramionami.

— Jeśli straż się o tym dowie, będzie po nas!

— Pani Hopwood, proszę się uspokoić i wytłumaczyć nam, o co chodzi — powiedziała Shurl tak kojąco, jak tylko potrafiła.

— O to!!! Państwa syn sprowadza mojego Billy'ego na złą drogę! — krzyczała matka Beczki, nadal wymachując skrawkiem papieru.

— Proszę zaczekać, nie przeczytamy, co tam jest napisane, jeżeli nie przestanie pani wymachiwać tym po całej kuchni.

Pani Hopwood rzuciła kartkę na stół.

Wszyscy troje wpatrywali się w świstek papieru.

Była to krótka, odřejna wiadomość.

O co w niej chodziło?

Brzmiała:

Mamo i Tato,  
Poszłem szukać Firkina  
Wkrutce wruce.

Kocham was,  
Billy

Wszyscy troje patrzyli po sobie w milczeniu.

— No i co to ma znaczyć! — krzyknęła pani Hopwood.

— A skąd, do ciężkiej cholery, mam niby wiedzieć!?! — okazał pomoc Wyllf.

— Mmm, uważaj na język! — syknęła Shurl.

— Ona zawsze oskarża naszego Firkinika o wyprawianie niestworzonych rzeczy...

— On sprowadza mojego Billy'ego na złą drogę! — piszczła pani Hopwood.

— Sama się sprowadź!...

Jutrzenka dość już usłyszała. Nie obchodziło ich, gdzie są Firkin i Beczka, tylko czyja to wina. Ona wiedziała. Firkin odszedł, a ona wiedziała, czyja to była wina. Odwróciła się od drzwi i powoli, z wysiłkiem wróciła do łóżka.

Mocno przyciskała do siebie notatkę. Ostatnią, jaką napisał Firkin.

Pojedyncza łza spłynęła jej cicho po policzku, kiedy przypomniała sobie o przebiśnięgach.

Tam gdzie powinien być Firkin, panowała w chacie wielka pustka. Jej ramiona zaczęły się trząść. Nie było go tak krótko, a już bardzo za nim tęskniła. To był dla Jutrzenki wielki wstrząs. Pociągnęła nosem, kiedy kolejna łza wymknęła się jej z oka. Myśl zrodziła się nieproszona wśród wezbranych uczuć małej dziewczynki. W każdej innej chwili sprawiłaby jej wielką przyjemność, ale teraz zwiększała tylko ból: w ostatnich chwilach, kiedy pisał wiadomość, Firkin w desperacji myślał przede wszystkim o niej. Dolna warga dziewczynki poczęła się trząść.

Nieuchronnie, powolutku i bardzo, bardzo cicho, Jutrzenka się załamała.



# **Góry Talpejskie**

Piętnaście lat wcześniej, trzysta pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym leżała, szlochając, Jutrzenka, pośrodku opustoszałej doliny położonej wysoko w Górach Talpejskich wznosił się stos szmat. Zimny wiatr wiejący w dolinie sprawiał, że wrzosa i niskie, przysadziste drzewa zdawały się szaleńczo, botanicznie podniecone. Szmaty poruszyły się nieznacznie.

Duży, czarny, niezidentyfikowany ptak wzbil się wysoko nad pobliski grzbiet górski, prowokując kilka żółtawych gryzoni do biegu w poszukiwaniu kryjówki. Szmaty, targane przez chłodny wiatr, znów się poruszyły.

Połączenie nieprzebranych zasobów wyobraźni i wiary iście biblijnych rozmiarów mogłoby dopuścić myśl (i tylko myśl), że stos szmat pełni w gruncie rzeczy funkcję namiotu. Był to namiot trzymający pion mniej więcej tak samo, jak pijany śpiewak ludowy utrzymuje poziom linii melodycznej: w przybliżeniu, niepewnie i bardziej z przyzwyczajenia niż z idealnego wyczucia.

Wiatr zamarł na moment, użyczając małej talpejskiej dolince chwili niebiańskiego spokoju. Namiot na krótko stanął nieruchomo, a z jego wnętrza powoli, niczym macka dociekliwej ośmiornicy, wypełzła ręka i poczęła obmacywać skały. Dłoń dotykała porośniętej powierzchni według określonego wzoru, w regularnych odstępach. Szukała.

Kilka cali na prawo od niej leżało małe, dziwaczne urządzenie, pomysłowo sklecone z kawałków drutu i dwóch denek z zielonych butelek po piwie. Dłoń dotknęła go i błyskawicznie porwała ze skały, gdzie zostało niezdarnie upuszczone poprzedniego wieczora. Wiatr zawiął ponownie. Wewnątrz namiotu coś z niezwykłym wysiłkiem poruszyło się i po bolesnej, artretycznej walce namiot z trudem wypłuł ze swoich wnętrzności małego, niezwykle obdartego człowieczka, łypiącego zza pary dwóch ciemnozielonych szkieł. Zaspany człowieczek podrapał się po głowie i ziewnął, mrugając w świetle poranka. Wepchnął dłonie głęboko w niechlujne kieszenie i westchnął westchnieniem starego, zmęczonego poszukiwacza, który spędził całe życie na bezskutecznym szukaniu złota. Pogrzebał w kieszeni i wy dobył z niej wszystko, co miał do jedzenia. Ponuro spojrzął na suchą skórkę od chleba o konsystencji pumeksu i zateśnił za boczkiem. Kruchym, smażonym boczkiem i jajkami. Rozejrzał się wokół po posępnej dolince i splunął.

— Jeszcze jeden dzień, to wszystko! Tylko jeden. Mam dość! — wykrzyczał, spoglądając ku niebiosom.

Sukces zawsze czekał na Poszukiwacza tuż za następnym wzgórzem, zaraz za tym głazem albo o tu, w tym strumieniu. Nigdy na końcu jego kilofa.

Z wyjątkiem jednego razu.

Musiało minąć już ponad dwadzieścia lat, odkąd ujrzał je kątem oka. W pobliskich górach naprawdę natrafił na złoto. Pokład kwarcu biegł ukośnie wzdłuż ściany klifu, błyszcząc i iskrząc się ku niemu srebrem i bielą, gdy go mijał. Do momentu gdy Poszukiwacz nagle przestał go mijać. Jeden srebrnobiały błysk nie był. Nie był srebrno-biały, ma się rozumieć. Utrzymując stopy w miejscu, odchylił

się do tyłu i obserwował srebrnobiałe błyski, licząc je: srebrnobiały, srebrnobiały, złoty! Zapamiętał miejsce złotej iskierki, chwycił kilof i ruszył biegiem w kierunku wielkiej ściany klifu. Przez głowę przebiegały mu myśli o żyle złota ciągnącej się milami wewnątrz skały, o tonach kruszcu, które mógł wydobywać, o wielkich bogactwach!

Wstrzymał oddech, uniósł kilof i uderzył. Odrobina złota odpadła od klifu wraz z kawałkiem kwarcu wielkości dłoni. Poszukiwacz popatrzył z niedowierzaniem, uszczypnął się, przetarł oczy, dla efektu raz czy dwa przeklął i spojrzał ponownie.

Tu, w jego ręce, znajdował się pierwiastek, którego poszukiwał, złote runo jego dobrowolnej wyprawy, materia jego snów. Powinien być szczęśliwy. Co tam szczęśliwy, upojony dojmującą radością!

W głębi duszy był. Ale byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby znalazł choć odrobinę więcej. Niewiele, nie był chciwy. W obecnym stanie rzeczy to, co wydobył, całe jego złoto, nadawało się w sam raz do przetopienia na jeden, góra dwa pierścionki. Dla nowo poślubionej ameby.

Obrócił kwarc w ręce i porzucił marzenia.

Przez lata ten kawałek złota, nie większy niż łuska motylego skrzydła, stał się jego maskotką. Raz znalazł złoto. Może mu się to przydarzyć ponownie.

Ta myśl napędzała go.

Aż do dzisiaj.

Lata zrobiły swoje. Był zmęczony, miał dość, a teraz poczuł się bardzo, bardzo stary. Ostrożnie wsunął maskotkę do niechlujnej kieszeni obdartego płaszcza, złożył namiot, po raz ostatni zarzucił na ramię kilof wraz z plecakiem i wyruszył na ostatni dzień poszukiwań.

\* \* \*

Trzy pary czarnych, oleistych oczu, osadzonych w żółtawych pyszczkach, odbijało sześć małych zachodów słońca. Srebrne mgiełki wąsów drgały nerwowo na każdym puszystym policzku.

Coś poruszało się między nimi.

Coś niespokojnego.

Delikatny szelest wrzosów oznajmiał przybycie kolejnych czterech żółtawych gryzoni. Zaraz za nimi nadeszły dwa następne, poprzedzały następną małą grupkę. I kolejne, i...

Przebyły wiele mil, by zebrać się na klifie. Coś je tu ściągnęło. Coś niematerialnego niczym dym i nieodpartego niczym żądza. Wszystkie, które usłyszały zew, były mu posłuszne.

Gdy słońce błysnęło ostatnimi fotonami dnia i utonęło za horyzontem, stary i niechlujny osobnik zawrócił do dolinki. Znalazł odpowiednie miejsce, zdjął plecak i zaczął ustawiać chybotliwą konstrukcję z patyków i nadgryzionej zębiskami czasu płachty, która służyła mu za namiot. Setki oczu przyglądały się temu z wysoka z niemrugliwą ciekawością właściwą gryzoniom.

Czuwały, obserwując, jak lodowaty, srebrzysty księżyc cicho wschodzi na niebo i pozostaje tam całą noc. Czeakały. Obserwowały. Jedynym ruchem było gorączkowe drganie mnóstwa wąsików i — ponad główkami gryzoni — ciągle przemieszczanie się po ciemnym, atlasowym niebie ciał niebieskich popychanych orbitalnymi silnikami.

\* \* \*

Noc minęła szybko, nie znajdując powodów do dalszego pałętania się po świecie.

Obserwowana przez gryzonie niewyraźna sugestia pomarańczy bez żadnych fanfar wstydliwie wychynęła zza horyzontu. Przez oczekujący tłum przebiegł szmer ekscytacji. Gryzonie bezustannie przestępowały z jednej małej łapki na drugą. Jak na komendę, przesunęły się kilka kroków do przodu. Pomarańcz bladła, ale świeciła coraz mocniej. Urwisko klifu było kuszące.

Bez słowa (ani pisku) polecenia gryzonie niemal jednocześnie ruszyły do przodu. Żółtawy dywan przesuwał się w stronę ostrego urwiska, najpierw powoli, a następnie przyspieszając kroku.

W spokojnym, mroźnym świetle poranka, jakich wiele, wysoko w Talpach, nieprzeliczone zastępy — prawdziwy grad — lemingów radośnie zeskakiwały z urwiska wprost w objęcia nieświadomości. . .

\* \* \*

Łup. . . szuusst.

Wewnątrz namiotu Poszukiwacz drgnął przez sen.

Łup. . . szuusst.

Mruknął i przewrócił się na drugi bok.

Łup... szuusst.

Zaskoczony otworzył oczy i jał nasłuchiwać.

Było już jasno, ale czuł, że jest wcześniej. Zgadywał, że tuż po świcie. Podrapał się po zapuszczonej brodzie i zmarszczył brwi. Coś mu przeszkodziło, to pewne. Ale co?

Łup... szuusst.

Z ciekawością przepchnął się do przodu i wyjrzał przez podartą klapę. Wszystko wyglądało normalnie. Wytknął rozczochraną głowę na zewnątrz i rozejrzał się. Żółtawa smuga przemknęła kilka cali od jego nosa. Skoczył jak oparzony do środka, wydając krótki okrzyk. Przez chwilę siedział bez ruchu, przecierając oczy, w końcu nałożył swoje szkła i zaryzykował drugie podejście. Wszystko wyglądało lepiej w znajomym odcieniu zieleni.

Zdenerwowany znów wysunął głowę i rozejrzał się. Samotny kruk wykrakiwał swój poranny lament. W małej dolince nic się nie poruszało.

Ociężałe wygramolił się z namiotu, wstał i przeciągnął się, obolały po kolejnej nocy spędzonej na kamieniach. Głośno ziewnął i otworzył oczy. Przez chwilę nawet nie drgnął. Stał, mrugając, wciąż z wyciągniętymi ramionami, i próbował pojąć to, co ukazało się jego oczom.

W przeszłości zdarzało mu się widzieć góry i doliny zmieniające kolor w ciągu jednej nocy, więc ogólnie to, na co patrzył teraz, nie było niczym nadzwyczajnym. Jedne i drugie stawały się czasem białe, ale tylko za sprawą śniegu. Małe trawiaste dolinki bywały srebrne, ale tylko mocno oszronione. Nigdy natomiast nie widział ani nie słyszał o dolinie zmieniającej się w złoto! To był cud! I wszystko to dla niego!

— Dziękuję! — wykrzyczał, patrząc w niebo i śmiejąc się.

W odpowiedzi kolejna bryłka z głośnym „łup... szuusst” spadła z góry wprost na jego namiot. Kiedy bryłka zsunęła się po dachu namiotu, otrząsnęła i z piskiem ulgi rzuciła do ucieczki, na twarzy Poszukiwacza pojawił się wyraz dezorientacji przechodzącej w zakłopotanie.

Nagle stał się podejrzliwy. W zamyśleniu zmarszczył gniewnie czoło, podszedł do złota i podniósł jedną bryłkę. Momentalnie upuścił ją, upadł na kolana i jał krzyczeć, ze złości waląc pięściami w kamienie.

Podczas wielu lat poszukiwań nigdy nie natknął się na takie złoto.

Wielu ludzi próbowało odnaleźć złoto z wielu różnych powodów, ale nigdy, powtarzał sobie, przenigdy nie słyszał o kimś wyrażającym zainteresowanie kruszcem ze względu na jego ciepłko.

Albo futerko.

\* \* \*

Spakowanie dobytku nie zajęło mu wiele czasu. Upchnął szmatławy namiot do równie szmatławego plecaka i przeklinając po raz piętnasty, wyruszył w dół. Byle dalej od gór. Idąc, zrzedził pod nosem. Rozważał niesprawiedliwość całej sytuacji, był wściekły na wszystko, wszystko! Kopnął średniej wielkości kamień, uprzednio nabrawszy doń niechęci tylko dlatego, że znalazł się na jego drodze. Patrzył, jak przelatuje łukiem nad małym wąwozem i trafia w niewielkie osypisko, wznosząc chmurę kurzu i powodując małą lawinę. Poszukiwacz, którego słownik przekleństw obejmował już kilkaset pozycji, kopnął następny kamień. Obserwował go, myśląc o lemingach.

— Dobrze im tak! — krzyczał w przestrzeń. — Nienawidzę tych małych, wstrętnych stworzeń! Tak skakać z klifu wprost na mnie! Nienawidzę ich, nienawidzę!

Większość życia spędził w Talpach, poszukując złota. Zaczął już niemal postrzegać góry jako przyjaciół, ale teraz kiedy zrzuciły na niego setki nieperspektywicznych finansowo gryzoni...! Tego już za wiele. Nastąpił koniec pięknej, aczkolwiek jednostronnej przyjaźni.

Przybył tu tylko po to, by znaleźć złoto i wzbogacić się.

W geście rozpaczy machnął ręką na cały łańcuch górski, zwiększył zasób przekleństw do tysięcy, odwrócił się i ponuro powlókł w dół.

W złości kopnął kolejny kamień i krzyknął. Przeklinając, spojrzał na swój but — czerwony, rwący bólem paluch wзираł ku niemu z dziury na czubku.

Powoli zaczął nabierać przekonania, że to „jeden z tych poranków”. W gruncie rzeczy, kiedy się nad tym zastanowił, „jeden z tych poranków” w porównaniu z obecną sytuacją przypominałby święto państwowe.

— I nawet nie wyprawiają porządnie skór zwierzęcych! Ja bym to lepiej robił!

Przeklął po raz kolejny i pokuśtykał w dalszą drogę, mamrocząc.

Nagle stanął jak wryty. Jego oczy zaszyły mgłą, przypominając apatyczne żółwie pływające za zielonym szkłem. Ręka drgnęła. W głowie Poszukiwacza działo się coś dziwnego. Jego procesy myślowe zmieniały bieg, jak gdyby złowrogi chochlik wpadł do centrali telefonicznej i garściami wrywał kolorowe kable, żeby powtykać je losowo do niewłaściwych gniazdek. Zaiskrzyło. Część bezpieczników spaliła się, inne zachwiały na krawędzi zwarcia. Chochlik piszczał przeraźliwie, na chybił trafił krzyżując tuziny kabli w radosnym uniesieniu.

Błysnęła oślepiająca białoniebieska błyskawica, huknął neuronowy grzmot i rozszedł się lekki zapach ozonu. Chochlik przepięł o jeden kabel za dużo, pojawiła się zupełnie nowa sieć połączeń. Gdyby to była kreskówka, dwa poprzednie

akapity spokojnie można by zastąpić małym, nieudolnym rysunczkiem żarówki nonszalancko unoszącej się nad głową Poszukiwacza.

Uśmiechnął się i zawrócił do dolinki. Uśmiechał się uśmiechem człowieka, który nagle wie, co robi.

Praktycznie przez całe życie pragnął być bogaty. Wiedział, że ludzie kupowali złoto, tak więc posiadanie złota wzbogacało. Oczyma duszy dostrzegł niegdys drogowskaz, który przywiódł go w góry. Dewiza „Chcę być bogaty” zmieniała się w „Potrzebuję złota”.

Ale to należało już do przeszłości.

Bieg jego myśli wyglądał mniej więcej tak: Przez stulecia ludzie robili płaszcz z koziej skóry, spodnie z krecich futerek, nawet torebki z węży. Ludzie lubią rzeczy zrobione z innych zwierząt i, co najważniejsze, kupują rzeczy zrobione z innych zwierząt. Czemu nie miałbym wprowadzić lukratywnego obrotu futrami skórek lemingów? No właśnie, czemu nie!

Im więcej o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało.

Przemyślał wszystkie zalety:

1. Łatwa dostępność, same do ciebie przychodzą.
2. Zbiory wymagają minimalnych nakładów energii. Nie ma konieczności ponoszenia dużych kosztów w związku z drogimi urządzeniami typu „pułapka”. Wystarczy pozbierać małe szkodniki!
3. Brak kłopotów ze strony obrońców praw zwierząt. Jeśli lemingom zależy na wykończeniu się, kim jestem, by stawać na ich drodze? Tak chce Natura!
4. W gruncie rzeczy to nie jest taka zła dolinka.

Tak oto w kilka sekund pojawiły w jego głowie nasiona mające szybko wykiełkować w pierwszą firmę Wyprawa z Leminga Spółka z o.o.

\* \* \*

Kiełkowanie zajęło jednak nieco więcej czasu. Dokładnie cztery tygodnie więcej. W tym czasie Poszukiwacz oskórował, oczyścił i osuszył dosłownie setki małych, żółtawych gryzoni. Wybudował niewielki piec do suszenia, mogący naraz pomieścić trzydzieści do czterdziestu skórek, i nawet zaczął go używać. Pierwsze zanotowane użycie skóry leminga zdarzyła się w roku 1023 OG, kiedy to Poszukiwacz wykorzystał ją do załatania dziury w bucie.

Śmiał się cicho do siebie, mijając Wąwóz Natchnienia, i przez wzgląd na dawne czasy wkopał do niego kamień. Ostatnie kilka tygodni było najpracowitsze w jego życiu. Nowy plecak ze skórek lemingów na jego ramionach zawierał tylko niewielki procent wykonanej roboty, resztę ukrył w małej jaskini w skałach.

Schodził z gór z poczuciem spełnienia. Był nie tylko niezmiernie dumny z tego, co osiągnął — pomysłu, pracy nad nim i końcowego produktu — nawet jeśli powtarzał sobie, że wspaniałego końcowego produktu — był także śmiertelnie przerażony. Teraz na jego barkach leżał ciężar zaznajomienia niczego niespodziewającego się świata ze skórkami lemingów.

Myśl ta towarzyszyła mu przez ostatnie tygodnie, próbował więc wykonać krótką, chwytliwą nazwę, przykuwającą i rozpalającą ludzką wyobraźnię. Z początku najbardziej podobało mu się Talpejskie Przedsiębiorstwo Skórzanych Akcesoriów, ale nie był zadowolony ze skrótu. Rozważał zmianę nazwy na Talpinus i planował nawet w ramach promocji urządzenie pokazów w domach, ale ostatecznie stanęło na Wyprawa z Leminga Spółka z o.o. Widząc taką nazwę, wiesz, z czym masz do czynienia.

Niepotrzebnie się martwił. W ciągu kilku miesięcy skórki z lemingów zostały zaadaptowane i dopasowane do setek różnych części garderoby i akcesoriów. Lemingi były ostatnim krzykiem mody. Punkty sprzedaży detalicznej rozpleniły się po całym znanym świecie, dostarczając ciepłej bielizny zastraszonej członkom plemion na mroźnych pustkowiach Angstarktyki, bojowych bikini uciekinierom przemierzającym na tratwach Morze Chłodne na Dalekim Wschodzie, ocieplanych nakolanników Spółdzielczym Mnichom z górskiego łańcucha Minalajów, czy wreszcie mocnych butów o delikatnych podszewkach Tańczącym Derwiszom z Yeehpa! Yeehpa! — by wymienić tylko niektórych. Każdy, kto był kimś, miał coś lemingowego. Nawet ci, którzy nikim nie byli, mieli coś lemingowego. Każdy chciał mieć coś lemingowego. Ceny rosły, a pieniądze zapełniały kasę, podobnie jak ubrani w oszałamiające lemingowe fezy lotniarze na lemingowych paralotniach zapełniali klify Północnych Pustkowi Thkk.

Wkrótce ludzie wprowadzili się do dolinki i w oczekiwaniu na drugi sezon wybudowali małą wioskę. Poszukiwacz zatrudnił pracowników. Był szczęśliwszy niż kiedykolwiek, miał stały dom, przyzwoite łóżko i cel w życiu.

Wreszcie, po latach starań, do czegoś doszedł.

Postawił na swoim.

\* \* \*

Przyjemnego letniego talpejskiego wieczora Poszukiwacz siedział w swoim ulubionym miejscu, wysoko na odsłoniętej skale naprzeciw klifu, z widokiem na dolinkę i jej mieszkańców. Wziął kolejny łyk swojego nowego ulubionego kok-



tajlu, Zakręconego Leminga<sup>3</sup>. Jeszcze tylko kilka minut, powiedział sobie, i zejść na dół.

Kawał pod nim, w małej, świeżo odmalowanej wiosce, skrytej w cieniu olbrzymiego klifu ekscytacja sięgała zenitu. Całe miejsce przypominało scenę — jakby ludzie oczekiwali na podniesienie kurtyny w wieczór premiery, z tą różnicą, że oczekiwane tutaj wydarzenie miało być ukierunkowane zdecydowanie ku dołowi. Przygotowania zostały ukończone, piece w suszarniach rozpalone, wszystko sprawdzono przynajmniej trzy razy, i teraz wszyscy mogli już tylko czekać, wpatrując się wytrwale w szczytową linię klifu.

Wszyscy, z wyjątkiem wysokiego, szczupłego, odzianego w czerń osobnika, powoli okrążającego wioskę. Jego oczy poruszały się spokojnie w oczodołach, zaglądając za rogi, pod pokrywy, przez otwarte drzwi. Szukając informacji, gromadząc je.

Gdyby ktoś widział go wcześniej tego wieczora, z ciekawością zaobserwowałby, jak wyciąga z kieszeni mały mosiężny przyrząd z precyzyjnie ustawioną podziałką noniusza i malutkim wizjerem. Ciekawość obserwatora wzrosłaby, gdyby zobaczył, jak osobnik ten podnosi sekstans, patrzy przez niego na klif, przerywa, porównuje wyniki z małym kompasem i mapą nieba, a następnie zapisuje coś w małej czarnej, książeczce. Obserwator mógłby odnieść nieprzyjemne wrażenie, że w momencie gdy wysoki, szczupły osobnik zaciera swoje odziane w czarne, skórzane rękawice dłonie, na jego twarzy maluje się wyraz satysfakcji i częściowo skrywanej chciwości.

Zdarzyło się to kilka godzin temu, teraz zaś pierwsze wątle promyki mroźnego, porannego światła pojawiały się już nieśmiało na horyzoncie. Poszukiwacz wraz z wieśniakami oczekiwał w dolince, wstrzymując oddech i przesywając wzrokiem urwisko klifu wysoko nad ich głowami. Scena zdawała się mieć wymiar niemal religijny, tłum wszak oczekiwał powtórnego nadejścia. Jego motywy nie miały jednakże nic wspólnego ze świętością.

Nagle jakaś ręka wysunęła się i coś wskazała. Ludzie, wypuszczając powietrze, obserwowali małego, żółtawego gryzonia lecącego łagodnie ku ziemi. Za nim pojawił się następny, bezradnie wymachując łapkami w powietrzu. Za nim następny.

Za nim... łup... szuusst!

Zaczęło się.

---

<sup>3</sup>Miejscowy drink, zawierający około trzydziestu naturalnych, „botanicznych” składników, takich jak owoce jałowca, kolendra, chinina, oraz niepokojąco dużą dawkę alkoholu. Wśród miejscowych legendarna była zdolność tego napoju do powodowania natychmiastowej i zupełnej nietrzeźwości wśród osób niezdających sobie sprawy z gładkości, z jaką przechodzi on przez gardło. Zakręcony Leming powinien być przechowywany w ciemnym, chłodnym miejscu, najlepiej pod warstwą oleju.

Korzystając z tego, że uwagę wieśniaków przykuł grad gryzoni, wysoki, szczupły osobnik po cichu oddalił się i splądrował mały magazyn.

\* \* \*

Następnego dnia, trzydzieści osiem mil za Górami Talpejskimi, w Królewskim Sektorze Cesarskiego Pałacu Fortecznego Cranachanu, wysoki, szczupły osobnik śpieszył długim korytarzem. Jego kroki odbijały się krótkim echem, gdy szybko mijał odcinek gołych ścian, by ponownie zamilknąć, kiedy dźwięk pochłaniały mile gobelinów. Hektary kolorowych tkanin przedstawiały dawne wydarzenia kulturalne, zainicjowane przez wcześniejszych władców w celu scementowania stosunków między królestwami. Młody mężczyzna mijał oblężenia, bitwy i grabieże minionych dni, nie zwracając na nie uwagi, biegł, ściskając kurczowo zawiniątko z żółtawych ubrań. Głęboko w jego oczach lśniła iskierka szaleństwa.

Był on szefem Cranachańskich Spraw Wewnętrznych, najmłodszym w historii piastującym to stanowisko, osiągnięte staroświeckimi i uświęconymi tradycją środkami: ciężką pracą, przekupstwem, szantażem i czystą żądzą władzy. Rzecz dziwna, obejmując to stanowisko, nie otrzymał dokładnego opisu swojej pracy, co stanowiło poważny błąd ze strony departamentu do spraw personalnych. Trzymając się przesłanki „Niejasna definicja to elastyczna definicja”, pewnie zakorzenionej w każdej jego rodzącej się myśli, szybko i bezwzględnie przystąpił do rozszerzania swoich wpływów. Każde stanowisko o pewnych uprawnieniach niemające wystarczającego zaplecza, jakkolwiek małe, było bezlitośnie inkorporowane przez jego błyskawicznie rozrastające się imperium. Nieprzezorni dyrektorzy byli wysadzani z siodła, głowy usuwane z niemal chirurgiczną precyzją, a on sam nigdy nie miał dość.

Raz jeszcze, gdy spojrzął ukradkiem na niesione przez siebie ubrania, na twarz wystąpił mu uśmiezek wyższości. Przed nim stało bez ruchu dwóch olbrzymich strażników cesarskich, halabardami blokując dostęp do masywnych podwójnych drzwi dębowych. Kiedy odziana w czerń postać zmierzała w stronę drzwi i odbywającej się w środku narady, strażnicy nerwowo dotknęli drzewców. Gdy szef Spraw Wewnętrznych wpadł do Izby Handlowej niczym mała, choć zabójcza trąba powietrzna, dyskretnie odprawił ich machnięciem czarnej rękawicy.

Król spojrzął z wysokiego krzesła stojącego przy końcu masywnego dębowego stołu. Trzy inne głowy odwróciły się i wpatrzyły w nieco zdyszanego osobnika.

— Spóźniłeś się, Fisk! — zagrzmiał jego cesarska mość król Cranachanu.

— Tak, sire, niechaj wolno mi będzie złożyć najbardziej bluźniercze i nieprzyzwoite przeprosiny oraz splunąć na groby tych, którzy chodzili twymi królewskimi śladami — odparł wielusetletnią formułą młody mężczyzna.

— Lepiej dla ciebie, żebyś miał cholernie dobry powód spóźnienia.

— Tak, sire, oczywiście, sire. — Głos Fiska był nad wyraz spokojny. W jego wnętrznościach jednakże stało wiadro pełne węgorki, którym pokazano galaretę i ocet.

— Usiądź, później się tobą zajmimy.

— Tak, sire.

Król odwrócił się i wskazał pulchnego mężczyznę po lewej stronie. Ten usta miał wciąż otwarte, a jego ciężka brew połyskiwała kropelkami potu.

— Patafian! — krzyknął król. — Kontynuuj, nie mamy całego dnia.

Skryba Handlu i Przemysłu zamknął buzię, przełknął ślinę i ciągnął, przecierając brew.

— Hmm, hmm. Jak więc mówiłem, zanim mi tak niegrzecznie przerwano — Patafian patrzył z wściekłością, jak Fisk hałaśliwie przerzuca papiery i siada na miejsce — potrzebujemy pełnych dwóch lat, ale bez wsparcia Dwuletni Plan Ustepowania Gór Talpejskich zawiedzie i zbiory rosnącej na dużych wysokościach kukurydzy będą o wiele mniejsze od zamierzonych. . .

— Mam dość wysłuchiwanie twoich jęków. Nie potrzebujemy własnych upraw! — zagrmiał minister Bezpieczeństwa i Wojen.

— Och, to co w takim razie sugerujesz? — krzyknął Patafian, odwracając wzrok w kierunku Wielce Gniewnego Eutanazjusza Hekatomba.

— Dobrze wiesz. Krzycz: „Na pohybel!”, i licz łupy! — warknął ten w odpowiedzi.

— Trochę opanowania! — skarcił ministra skryba.

— Opanowanie? Lubię opanowanie — odparł Eutanazjusz Hekatomb. — Opanować to królestwo, opanować tamto królestwo. Cha, cha, cha! — Minister Bezpieczeństwa i Wojen odrzucił krótko ostrzyżoną głowę i śmiał się w głos.

Patafian jęknął ze złością. Fisk patrzył na to wszystko i na jego twarzy pojawił się żądny władzy uśmiech.

— Frundle, co ty na to? — błagał Patafian. — Od tego szaleńca nie wydobędziemy nic rozsądnego.

Lord kanclerz królestwa Cranachanu otworzył sporą księgę i rozważał pozycje. Pogłaskał się po długim nosie i głęboko zamyślił.

— No, Frundle, co ty na to? — powtórzył, ocierając brwi, Patafian.

Lord kanclerz spojrział znad półkolistych okularów osadzonych niepewnie na czubku nosa.

— Dwa lata?

— Tak właśnie mówiłem — odparł z irytacją Patafian.

— W porządku, możesz powiedzieć rolnikom, że pieniądze będą. . .

— Dziękuję. — Skryba Handlu i Przemysłu odetchnął z uczuciem ulgi.  
Hekatomb warknął gniewnie.

— ... musieli dostarczyć — kontynuował Frundle. — Że praca jest wykonywana i stopy obrodzą w ciągu dwóch lat. Inaczej nasz Wielce Gniewny Przyjaciel może... hmm... podjąć kroki wedle własnego uznania.

Patafian przełknął głośno, gdy Hekatomb przesunął palcem po gardle i wybuchnął śmiechem.

— Tak więc postanowione — zdecydował król. — Jeszcze jakieś sprawy?

Nadeszła chwila, na którą czekał szef Spraw Wewnętrznych. Cicho uniósł dłoń w czarnej rękawicy.

— Fisk, udzielam ci głosu — wykrzyczał król, a potem ciszej dodał: — I przypominam, że lepiej niech będzie to coś niezłego.

— Dziękuję, sire, nie zapomniałem.

Fisk podniósł parę leżących koło niego na stole żółtawych spodni. Miały połysk naturalnego futra. Odkaszlnął, głównie dla efektu.

— Mój panie, członkowie rady, ufam, iż wiecie, co to jest?

Cisza.

— A to? — Uniósł wykonaną z tego samego materiału parę rękawiczek.

— A to?

— Podkoszulek.

— A to?

— Kapelusz.

— A to?

— Pantofle.

— To? To? Jedno z tych? — Wkrótce na stole wyrosła spora sterta żółtawej odzieży.

Hekatomb bębnił palcami po blacie w oczywistej irytacji.

— No i co z tego? — wrzasnął.

— Co mają ze sobą wspólnego? — spytał Fisk łagodnie.

— Są żółte — odparł drwiąco minister Bezpieczeństwa i Wojen. — Musimy wysłuchiwać tych bzdur?

— Wszystkie wykonane są ze skórek lemingów — wtrącił się Patafian. — Słyszałem o nich, ale nigdy ich nie widziałem. Skąd je wzięłeś?

— Powiedzmy, że nabyłem. Ale czy ktoś wie, skąd pochodzą? — zapytał z satysfakcją Fisk.

— Z lemingów! — udzielił ociekającej szyderstwem odpowiedzi Hekatomb.

— Tuż zza wschodniej granicy, z Rhyngill — szybko powiedział usiłujący zachować twarz Patafian.

— Tam są suszone i szyje się z nich ubrania. Ale pytam ponownie, skąd pochodzą? Gdzie rosną?

— Fisk! — krzyknął król. — Wszyscy wiemy, że rosną na grzbietach lemingów. To nie jest lekcja historii naturalnej i nie jest do końca jasne, co to ma bezpośrednio wspólnego ze Sprawami Wewnętrznymi. Byłbym więc wdzięczny, gdybyś raczył podzielić się z nami znaczeniem puenty, której nie dajesz rady nam wyłożyć, gdyż z zatrwającą szybkością tracę cierpliwość.

— Z całym szacunkiem, sire, to jest sprawa wewnętrzna.

Ta wypowiedź Fiska zaowocowała gęstą ciszą i czterema zdumionymi twarzami. Miał ich.

— Wyjaśnię. Te ubrania wykonano ze skórek lemingów, które to stworzonka z przez siebie znanych powodów licznymi gromadami skaczą z klifów. Ich ulubiony klif jest usytuowany zaraz za granicą, w pobliżu małej wioski w Rhyngill. Tam suszone są wszystkie skórki. Tam napływają pieniądze. Hekatomby, czy sprawdzałeś ostatnio stan naszej wschodniej granicy?

— Nie, wymaga niewielkiego nadzoru. To naturalna granica, żadna armia nie wspięłaby się po tych skałach.

— Patafian — zapytał Fisk — jaki jest status naszych uzgodnień z Rhyngill w kwestii eksportu żywego inwentarza?

— Nie ma takiego. — Skryba wyglądał na zadumanego.

— Frundle — kontynuował zapytania Fisk — czy nieautoryzowany eksport cranachańskiego żywego inwentarza jest równoznaczny z bydłokradytstwem i karany śmiercią?

Oczy Hekatomby zajaśniały.

— Tak. Czy mam z tego rozumieć, że lemingi, z których produkuje się tę odzież i które przynoszą takie dochody, nie żyją w Rhyngill?

— Dobrze ujęte, lordzie kanclerzu. Żyją po cranachańskiej stronie Talp. Zgodnie z prawem, wszystkie skórki lemingów hodowane w tym regionie i nielegalnie eksportowane z terenu Cranachanu są wciąż naszą własnością. W związku z tym wszystkie dochody z ich sprzedaży są także nasze. Panowie, oni kradną nasze pieniądze!

— To poważny problem, Fisk — powiedział ostatecznie król, podpierając podbródek. — Co proponujesz w tej sprawie zrobić?

— Cóż, sire, mam pewien pomysł. . .

\* \* \*

Noc w mieście była ciepła, a na ulicach wrzało. Ludzie krzątali się i falowali, jak to krzątający się i falujący ludzie, jedynie troszkę bardziej czujnie. Mieszkańcy fortu Knumm objawiali, krzątając się i falując, dwa rodzaje czujności: typ czuj-

ności ludzi wypatrujących niechcianych złodziejskich rąk, zagarniających znaczną część ich bogactw, oraz typ czujności ludzi niewypatrujących niechcianych złodziejskich rąk, zagarniających znaczną część ich bogactw. Ci drudzy byli zazwyczaj posiadaczami złodziejskich rąk, choć traktowali je raczej jako narzędzia służące ułatwieniu szybkiej i uczciwej redystrybucji dóbr. W ich kierunku.

Wysoko nad nimi księżyc w pełni jaśniał nad odrapanymi dachami, a miliony gwiazd prowadziły, niemal zupełnie nie mrugając, obserwację, jednakże nie tak ostrożnie jak ludzie poniżej. Zbliżała się jesień roku 1024 OG, ale dla większości mieszkańców fortu drobiazgi w rodzaju pór roku czy lat nie miały większego znaczenia. Szczegóły takie jak natura, zmiany pór roku lub pór dnia były dla nich nieistotne. Jeśli nie można zobaczyć, co natura czyni z florą i fauną w trakcie roku, co za różnica, czy jest wiosna, czy zima? Nie żeby mieszkańcy i goście fortu byli wrogami natury, po prostu nie było jej tu tyle, by ktoś zawracał sobie nią głowę.

Nie zrozumcie mnie źle, w forcie istniały oprócz ludzi inne formy życia. Po ulicach biegały hordy bezpańskich kotów, szczurów i dziwny bezpański pies, balansujący na krawędzi wścieklizny. Ludzie utrzymywali małe menażerie i nieliczne świny na nędznych podwórkach na tyłach domów, powodowani niekłamanym i pełnym poświęceń zamiłowaniem do wykwintnej kuchni. Większość budynków pełniła funkcję domu dla jednej lub dwóch kolonii stonóg i kilku gatunków karaluchów. Jednakże obserwując codzienne życie stworzeń, trudno byłoby wyrobić sobie właściwe wyobrażenie o sezonowych zmianach w zachowaniu zwierząt.

Stonogi, na przykład, nie są znane z dorocznych, długodystansowych, wiosennych migracji.

Co więcej, dla mieszkańców fortu Knumm mniej więcej równie nieważne było następstwo dnia i nocy. Budynki wychylały się do przodu tak bardzo i były tak bardzo ścieśnione, że niebo zaglądało przez malutką szparkę, która przepuszczała w mrok bardzo niewiele światła. Nawet w południe najbardziej słonecznego ze słonecznych dni jedynie najodważniejsze lub najbardziej ryzykanckie fotony ośmielały się wdrzeć do świata pod dachami. A i wtedy tylko w zorganizowanych watahach. Mieszkańcy fortu Knumm żyli w ciągłym półmroku, a przy braku odmierzających czas słońca i księżyca życie toczyło się tu na pełnych obrotach właściwie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kupcy zatrzymywali się w tym mieście zazwyczaj jedynie przejazdem, a jednym z bardzo, bardzo niewielu, który wracał tu regularnie i z własnej woli, był niejaki wielmożny pan Vlad Langschwein. Nikt naprawdę nie wiedział, na czym polegają jego interesy, ale z dokładnością zegarka raz w miesiącu przybywał tu na nocne szaleństwa. Robił to od lat, odkąd ktokolwiek pamiętał. Tamtej nocy — gdyż na zewnątrz fortu Knumm raczej na pewno panowała noc — zgarbiony osobnik ukradkowo przemykał się nędznymi uliczkami, mijając setki otwartych drzwi, szukając wśród nich tych jednych, właściwych. Instynktownie trzymał się cienia i wzbraniał przed wejściem w naprawdę jasne światło. W końcu uwagę Vlada

przykuła jaskraworóżowa framuga w kształcie serca, wkroczył więc z mrocznej ulicy w jeszcze mroczniejsze wnętrze „Salonu Rozkoszy Daisy i Maisy”. Wszedł na sięgający kostek dywan, odszukał mały dzwoneczek i dał znać o swojej obecności. Z różowej ciemności wyglądały ku niemu obrazki skąpo odzianych ciał kobiecych, baraszkujące w pozycjach wielce wydumanych, które miały ukazywać w najdrobniejszym szczególe ich zmysłową naturę. Vlad z uznaniem oblizał zimne wargi. Tupot butów na ostrych szpilkach zasygnalizował pojawienie się młodej kobiety, dyskretnie wzdychającej na sposób, który wydawał jej się ciepły i kuszący:

— Tia, ciem mogiem służyć?

Vlad pochylił się do przodu i z całych sił starając się pozbawić swój głos charakterystycznego akcentu, wyszeptał:

— Uszszszszanowanie, czy Maissssy jessst... hmm... dosssstępna?

\* \* \*

Pięć dni szaleńczego cięcia, krojenia, czyszczenia i umieszczania w piecach suszących szybko dobiegało końca. Grupa wieśniaków pracowała praktycznie bez przerw, żeby przygotować skórki lemingów tak szybko, jak to tylko możliwe. Panował straszliwy bałagan. Porządki potrwałyby zapewne kolejne pięć dni — i to przy dużej dozie szczęścia.

Obecnie jednak wieśniacy nie zastanawiali się nad tym. Oczy wszystkich utkwione były w jednym, zbliżającym się wielkimi krokami punkcie — miękkim, puszystym podbrzuszu ostatniego leminga sezonu.

Poszukiwacz miał samozwańczo dostąpić zaszczytu uśmiercenia tego ostatniego gryzonia i myśl o tym sprawiała mu wielką przyjemność. Bawił urzeczoną, zafascynowaną publiczność, podrzucając nóż, udając, że odcina sobie palec, symulując żal z odejścia kolejnego futrzanego żyjątko do wielkiego kółka do biegania w niebie. Publika była zachwycona.

Prawdziwa owacja wybuchnęła, gdy Poszukiwacz zakończył ostatnie cięcie i uniósł wysoko połyskującą żółtawą skórę. Rytuał ten miał odwieczny charakter. Praca skończyła się i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Szeregi tłumu przerwały się i ludzie popędzili w różnych kierunkach, szybko ustawiając stoły, przygotowując miejsce i wykładając rozmaite wielokolorowe sosy wraz z długimi paskami jarzyn. W cudowny sposób w kilka minut wioska przygotowała się do świętowania.

Z jednej z najbliższych chat wyciągnięto niepewnie wielką misę, którą następnie ustawiono ostrożnie na długim stole na kozłach. Rychło napełniono wszystkim

szklanice, Poszukiwacz wygłosił krótką mowę, a każdy mieszkaniec wioski wypił za swego sąsiada i wspólne powodzenie pełną szklanekę Zakręconego Leminga. Rozpoczęło się przyjęcie.

Cały zespół, cała wioska, jednocześnie odprężył się, świętując ukończenie okupionego dosłowną krwawizną — gryzoni — tygodnia ciężkiej pracy, i teraz wszyscy kolektywnie radowali się, że metaforyczny kamień metaforycznie spadł im z metaforycznego serca. Wszystko szło w jak najlepszą stronę. W krótkim czasie nikt nie był już do końca trzeźwy. Rzępolenie muzyków pozostało niezauważone, skoncentrowano się na naruszaniu kolejnych beczek pianistego piwa. Nie po raz pierwszy Poszukiwacz rozparł się w swoim krześle i szeroko uśmiechnął. Był ot tak, po prostu, bardzo dumnym i szczęśliwym człowiekiem. Skórki zostały zdjęte i umieszczone w piecach, odszpuntowane piwo lało się równo do wszystkich gardeł z wyjątkiem tych najbardziej purytańskich, każdy bawił się doskonale. Cóż, spytał Poszukiwacz samego siebie, mogłoby pójść źle?

Niemal natychmiast, z wycuciem czasu właściwym tego typu wyzywającym los wypowiedziom, Poszukiwacz pożałował, że zadał sobie to pytanie. Zgodnie z tradycją zapoczątkowaną przez złośliwą górę lodową i „niezatapialny” statek, jego nieuważne i pełne samozadowolenia myśli w jakiś sposób przechyliły delikatną szalę losu na przeciwną mu stronę. Pełna powagi cisza zapadła nad biesiadującym tłumem, na brodatej twarzy Poszukiwacza uśmiech zamarł niczym ptasi trel w obliczu głodnego kocura. Muzyka prychnęła i umilkła, piwo przestało się lać, a biesiadnicy przestali biesiadować. Mieszkańcy wioski obrócili się twarzami w stronę nadciągającego niebezpieczeństwa i powoli, niczym pojedyncza zmarszczka na gigantycznej plamie ropy, rozsunęli przed zbliżającymi się środkami ulicy przybyszami. Grupa czterech ubranych na czarno jeźdźców znacząco dotykała broni, jadąc wolno i złowieszczo przez tłum. Metalowe ćwieki błyskały na maskach jeźdźców i uprzężach ich koni. Średnica półkola ludzi rosła, aż przerwała się z nieuchronnością właściwą rozciągniętej gumce. Oddział konnych zatrzymał się dopiero przed niskim stołem, po którego przeciwnej stronie siedział niski, starszy człowiek. Samotna postać Poszukiwacza znalazła się twarzą w twarz z jeźdźcami bez twarzy. Coś się działo, a on usilnie pragnął, by przestało.

Dłoń w rękawicy sięgnęła w dół i rzuciła przed Poszukiwacza zwój pergaminu. Stanowiące całość z ręką usta zamaskowanej twarzy otworzyły się i szczękęły.

— Masz jeden dzień!!!

Skórzana rękawica wycofała się.

Słowa ze złowróżbną nieodwołalnością rozniosły się echem po dolince. Grupa konnych zawróciła ze swobodną, wojskową precyzją i odjechała otoczona grobą, morderczą ciszą.

Poszukiwacz popatrzył na leżący przed nim niewinnie zwój pergaminu i nagle zrobiło mu się bardzo niedobrze.



\* \* \*

Różowe atlasowe prześcieradła okrywające łoże w kształcie serca zaszeleściły, gdy Maisy odchyliła kołdrę. Uśmiechnęła się z bezosobową zmysłowością i zaczęła nieśmiało bawić górnymi guzikami bluzki. Tak wyglądał początek profesjonalnie amatorskiego uwodzenia.

Vlad rozsunął ciemne zasłony i spojrzał na zimny, srebrny księżyc wiszący w pełni nad fortem Knumm. Księżycowe światło napłynęło do środka i oświetliło jego wysokie czoło, podkreślając rzadką i cofniętą linię włosów. Jego skóra miała blady, niebieskawy odcień, silnie kontrastujący z wysokim kołnierzem długiej, czarnej peleryny, zwisającym na przygarbione ramiona niczym para strudzonych skórzanych skrzydeł. Obrócił się powoli, złożył ręce jak do pacierza, długim, szarym paznokciem dotykając długiego, szarego paznokcia. Blade, wodniste oczy wyjrzały z mrocznych oczodołów i przesunęły się po młodym, jędrnym ciele Maisy. Brwi uniosły się z podziwem.

Maisy stała skromnie przed łóżkiem i usiłowała wyglądać kusząco dziewczęco. Kosztowało ją to wiele pracy. Zsunęła miękkie ramiączko i wydeła wilgotne we właściwym stopniu, wyczekujące wargi, zamieniające dorosłych mężczyzn w zdesperowane, zaślinione wraki. Po dywanie w ramach nocnej podróży, o jej samej tylko wiadomym celu, sunęła stonoga. But Vlada zmiażdżył ją cicho, kiedy jego właściciel podchodził, by ująć Maisy za nagie ramiona. Gdy wzmożił uścisk długie, szare paznokcie zatonęły w jędrnym ciele. Maisy wzdrygnęła się ze wstrętem.

— Rany, ale masz zimne ręce.

— Ja, w sssam razzz do tszszszymania cię — wyszeptał Vlad, uśmiechając się w księżycowej poświacie.

Bez trudu dźwignął młodą kobietę i poniosł ją w stronę łóżka. Zatonęła w miękkim, ciepłym puchowym materacu, ostrożnie i fachowo zmieniając tempo oddechu. Była profesjonalistką.

Vlad rozpiął małą klamrę na szyi i zamaszystym gestem zrzucił pelerynę. Stał naprzeciw Maisy strojny tylko w złowieszczy uśmiech, pełny strój wieczorowy i kamasze. Z kieszonki na piersi zwiślała mu starannie złożona chusteczka. Pochylił się do przodu i piekielnym wzrokiem wejrzał w duże, brązowe oczy Maisy.

— Rany, ale masz wielkie oczy!

— Ja, w sssam razzz do ssspoglądania na ciebie!

Vlad odgarnął włosy z szyi dziewczyny i złowrogo, niecierpliwie oblizał zimne wargi.

— Rany, ale masz wielkie zęb. . . auuu!

Zimne, niebieskie światło księżycy błysnęło na dwóch ostrych jak brzytwy kłach, wyłaniających się zza rybiego uśmiechu przytrzymującej dziewczynę istoty.

— Zzzrelaksssuj się, kochanie, nie zzzaboli.

Dla Maisy, podobnie jak dla setek innych dziewczyn uprawiających ten zawód, nagle stało się za późno...

\* \* \*

Wesoła atmosfera skurczyła się i zdechła jak stary balon. Gęsta zasłona ciszy okryła wioskę, zmieniając święto w stypę. Zmartwiony Poszukiwacz powoli sunął wzrokiem po zwoju pergaminu. Z początku miał nadzieję, że to tylko żart, i czytał, spodziewając się dowcipnej puenty. Nic z tego. Zamiast niej widniały niepodlegające dyskusji podpis i pieczęć króla Cranachanu Grimzyna. Kiedy skończył czytać, zwinął wargi i wybuchnął szalonym śmiechem. Walczył z realnością tej sytuacji. Przecież to musi być fałszywe pismo, czyż nie? Poskrobał pieczęć: palce zanurzyły się w czerwonym laku. Podpis uparcie nie dawał się rozmazać. To go przekonało. Pismo było prawdziwe. Twarz mu zmarkotniała, obserwujący go wieśniacy wiercili się nerwowo. Nie mógł dobyć z siebie głosu. Nie mógł w to uwierzyć.

Oczyma duszy widział swoją przyszłość, trwanie w skręcającym żołądek pikowaniu, z zablokowanym drążkiem sterowniczym, drącymi się silnikami i ziemią, która zbliżała się do niego wielka i przerażająco twarda. Drżącymi dłońmi spróbował powstrzymać przyśpieszającą ziemię, chwytając drążek dłonią ze zbielełymi od strachu knykциями. Wrzeszcząc głośno wewnątrz cichych synaps, mocno pociągnął do siebie. Lotki inspiracji podnosiły się, walcząc z holownikiem wpędzającej w panikę depresji. Pociągnął raz jeszcze, mocniej. Ziemia przed nim nieznacznie się obniżyła. Znów pociągnął i trzymał. Zwarł mocno zęby, napinając w wysiłku mięśnie szczęk. Powoli, na przekór przeciwnościom, na przekór dźwiękowi nadmiernie obciążonego metalu dzwoniącego w uszach jego duszy, wyciągnął i ustabilizował lot. Smuga czystego niebieskiego geniuszu zajaśniała nad nim, odsuwając ciemne chmury zagłady. Nastawił szczękę, wymierzył w środek geniuszu i przyspieszył.

— Nie uda im się! — krzyknął. — Nic z tego!

Zadziwieni wieśniacy jak jeden mąż wpatrywali się w starego Poszukiwacza gniewnie pokrzykującego do samego siebie.

— Nic z tego. Są bez szans. Co im się, u diabła, wydaje? Moje skórki leminarów. Ja je znalazłem. Moje! Nie ich!

W stanie głębokiego wzburzenia wstał, nałożył butelkowe, zielone szkła na czubek nosa i ruszył ku suszarniom.

— Nie stójcie tak! — krzyknął przez ramię. — Czeka nas sporo roboty!

\* \* \*

Daleko od górskiej dolinki, jedną z niezliczonych uliczek fortu Knumm kroczyła w księżycowej poświacie blada, przygarbiona postać. Usiłowała kopnąć psa, który zatoczył się przed nią, lecz zakłęła, nie trafiwszy. Mocniej naciągnęła na siebie długą, czarną pelerynę i spojrzała na księżyc.

Der kssienzic, pomyślała. Razzz na miesiąc podążam za ksssienzicem. Razzz na miesiąc zatschyna sssię pragnienie i razzz na miesiąc zzza nim podążam. To sssamo zza każdym razzzem. Die dzieftschyna inna, ja, ale to sssamo za każdym razzzem. Exsssstaza igrassschek, schybkie ugryzienie, potem chfila pschjemośści, to ciepłe, lepkie utschucie... I co potem? „Fybatsch, zzzłotko, musszę lecieć”. Co ja ssssobą repressentuję? Mussi być coś fienczej w życiu nisz to... w poschątku, może nie jessstem żywy w dosssłofnym znatscheniu, ale co to kogo opchoci? To potsstaffa, wiecie, jakośść ży... eee... ożyfieńsstfa.

Był środek nocy, a Vladowi zaburczało w brzuchu. Potrzebował czegoś konkretnego. Niepocieszony skierował się ku mrugającemu neonowi niewielkiej kafejki.

\* \* \*

Kilka ulic dalej Maisy, członkini elitarniej grupy profesjonalistek znanych jako Pracujące Dziewice z fortu Knumm, rzucała się niespokojnie w płytkim śnie. Różowe prześcieradła szeleściły dyskretnie, gdy przewracała się z boku na bok. Jak pamiątki po ostatnim nocnym gościu, do szyi przylegały jej dwie kropelki zakrzepłej krwi.

Nad ranem będzie czuła się nieco bardziej zmęczona niż zwykle, troszkę przygazsona, odrobinę apatyczna i bardzo, bardzo głodna, ale to szybko minie.

Nie będzie też, tak jak pozostałe, pamiętała o Vladzie Langschweinie.

\* \* \*

Wcześniej następnego ranka wicekapitan Barak z Cranachańskiej Straży Cesarskiej (Dywizja F) siedział na koniu, który z kolei stał na wschodniej granicy, i wpatrywał się w Sektor Rhyngill. Barak zaciągnął się świeżym talpejskim powietrzem i głośno odkaszlnął, jego koń zaś przeżuwał kolejny gryz rosnącej tu w rzadkich kępach trawy.

— Żołdak! — zawołał wicekapitan, przerywając ciszę. — Co ci mówiłem o paleniu na służbie? Zgaś to!

Kapral Żołdak rozejrzał się zdziwiony.

— Ogłuchłeś? — warknął Barak. — Zgaś. Już!

— Ależ, sir, ja nie palę.

— Ktoś pali, i to nie jestem ja. Gdybym to był ja, wiedziałbym o tym, prawda, Żołdak? — Barak odwrócił się i zlustrował wzrokiem Dywizję F Straży Cesar-  
skiej.

— Tak, sir! — odpowiedział Żołdak. Oto wicekapitan Barak w pełnej okaza-  
łości, pomyślał, z tym jego ciętym językiem.

— W porządku, panowie! — krzyknął Barak. — Przyznajcie się, to odpusz-  
czę. Znacie zasady. Który z was pali na służbie?

Oglądał ich po kolei, usiłując dojrzeć strużkę dymu ulatującą z pośpiesznie  
ukrytego papierosa. Panowała cisza.

— Tylko pogarszacie swoją sytuację.

Cisza. Dywizja F przełykała głośno ślinę.

— No już, przyznać się. — Barak szybko tracił odrobinę cierpliwości, jaką  
zazwyczaj dysponował. — Przyznać się, bo stanę się niemiły, wicie — rozumiecie?

Z tyłu szeregów ktoś nerwowo podniósł rękę. Barak zszedł z konia i gniewnie,  
ciężkim krokiem ruszył naprzód. Dywizja F rozstała się. Lata służby i kulenia  
się pod tym wyjątkowo niskim, łysiejącym wicekapitanem nauczyły ich unikać  
„Barakowania”.

— Ach, szeregowy Fosset — wyszeptał Barak głosem, który roztopiłby granit.  
— Czy mam rozumieć, że podnieśliście rękę, by prosić o pozwolenie udania się do  
ustępu, czy też — wziął głęboki oddech, popatrzył Fossetowi w twarz i wrzasnął:  
— POWIECIE MI, KTO TU PALI? HEJ?

Fosset przygładził rozwiane włosy.

— Tak — wyszeptał.

— TAK... CO?!? — kontynuował Barak, czerwieniejąc na twarzy i zbliżając  
baryłkowatą klatkę piersiową do drżącego brzucha szeregowca.

— Tak... eee, sir.

— Co wy usiłujecie powiedzieć? Namyślcie się dobrze, zanim odpowiecie. MOGĘ się ciut ZDENERWOWAĆ! — Dla zilustrowania tych słów oblicze wicekapitana ochoczo przybrało odcień gustownego karmazynu.

— Tak, sir.

— Zamieniam się w słuch, szeregowy... a jeśli mi nie powiecie, TO TAK SKOŃCZYCIE! — Wicekapitan wyszczerzył się w krokodylim uśmiechu, pieszcząc dopiero co wyciągnięty nóż.

— To... — Fosset dygotał. — To... żaden z nas, sir.

— Co? Nie pogarszajcie swojej sytuacji. Potrafię wyczuć dym, a kiedy czuje dym, to znaczy, że KTOŚ PALI. Nie spotyka się strużek dymu ot tak, bez powodu szybujących po górach. Nie wmówicie mi, że wczesnym rankiem urządzają piesze wycieczki w góry, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Słuchajcie, Fosset...

Dygoczący szeregowiec przełknął ślinę, czując, że może to być ostatnie przełykanie śliny w jego życiu.

— ... spytam jeszcze raz, i spytam spokojnie. KTO PALI?

— Ż... Ż... Ż... Żaden z nas...

Twarz Baraka przybrała odcień czerwieni, który, gdyby wicekapitan był penią, przyniósłby mu pierwsze miejsce na dowolnej wystawie kwiatów, sięgnął w górę, i serdecznie potrząsnął gardłem Fosseta.

— SIR! On ma rację, sir! — krzyknął nagle Żołdak, wskazując w stronę klifu. — Proszę spojrzeć, sir!

Barak odwrócił się i spojrzał, wciąż ściskając krztuszącego się szeregowca. Obłok dymu unosił się nad wioską leżącą w odległej dolince.

Coś się paliło.

— O kur... — Barak zwolnił uchwyt, naraz zapominając o Fossecie, i ponownie dosiadł spokojnie pasącego się konia.

— Za mną, żołnierze! — zakomenderował, ruszając z kopyta i kierując się wąską, niemal niewidoczną ścieżką, wiodącą w dół stromym, granicznym klifem.

Fosset powlókł się bezwładnie wzdłuż szczytu skały, żałując, że nie nauczył się szlachetnej sztuki trzymania gęby na kłódkę.

\* \* \*

— Co ma znaczyć „żadnych nie ma”? — warknął wicekapitan Barak kilka minut później, kiedy zatrzymali się w małej, spowitej dymem wiosce.

— Żadnego. Wszystkie sobie poszły. Fiuuu! — Poszukiwacz wykonał gest sugerujący, że coś właśnie eksplodowało.

— Co ma znaczyć „fiuuu”? Mówimy o lemingach, nie o ptaszkach.

— Fiuuu... jak gdyby przypadkowo wylano na nie dużą ilość łatwopalnej cieczy, nieostrożnie rzucono żarzący się patyk i... Fiuuu! Samozapłon. To naprawdę godne ubolewania.

— Ale co z wiadomością na zwoju pergaminu? Wczoraj...? Nie mów, daj mi zgadnąć... Fiuuu?

Poszukiwacz przytaknął, niczym mędrzec w swych butelkowo-zielonych szklach.

Barak wpadał w panikę. Sprawy nie toczyły się właściwym torem.

— Ale nie wolno wam było! Mam rozkazy. Rozkaz to rozkaz. — W jego głos wdarła się żalosa nuta.

Poszukiwacz patrzył współczująco na czubek głowy wicekapitana.

W głębi duszy zacierał ręce, wszystko szło jak po maśle.

— Jakie, dokładnie, dostał pan rozkazy? — zapytał.

Barak oderwał oczy od znajdującej się przed nim ziemi, którą na próżno namawiał, by otworzyła się i pochłonęła go. Oczy załśniły mu, gdy zaczynał czytać to, co tkwiło mu wewnątrz głowy.

— Odebrać i dostarczyć wszystkie produkty końcowe powstałe z nielegalnie importowanego żywego inwentarza — otwórz nawias gryzonie zamknij nawias.

— W porządku. Od razu tak trzeba było. — Poszukiwacz się uśmiechnął.

— Co to ma znaczyć? — dopytywał się zdesperowany Barak.

— Że nie ma się pan czym martwić. Jeśli tylko zaczeka pan kilka godzin, trzy, może cztery — dopóki ostatecznie nie wygaśnie — może pan wziąć. Wziąć wszystko.

Twarz Baraka pokraśniała.

— Tak po prostu? Bez walki?

— Najwyraźniej. — Poszukiwacz uśmiechnął się, pozorując porażkę. — Jest nas znacznie mniej. Miał narazić się na rozlew krwi i niemal pewną rzeź z waszych rąk, składamy na ręce potężniejszej siły dżentelmeński akt kapitulacji.

Pierś Baraka zafalowała, gdy przytakiwał ze zrozumieniem.

— Akceptujemy. Jak dobrze, że zachowaliście rozsądek. Mądra decyzja.

— Czy oczekując na ostateczne dogaśnięcie ognia, zechce pan skorzystać z gościnności naszej skromnej wioski?

— Cóż, ja...

— Ma pan ochotę na drinka, wicekapitanie?

— Cóż... hmm, hmm... normalnie nigdy bym... ale... eee... w tych okolicznościach...

— A pańscy ludzie?

— Nie wiem, w czym mogłoby to przeszkodzić. Będę zobowiązany.

Poszukiwacz objął ramieniem wicekapitana i poprowadził go ku długiemu i bardzo dogłębniemu zapoznawaniu się z miejscowym koktajlem.

\* \* \*

Następnego dnia, z powrotem w Cranachanie, Barak czuł się jak śmierć na chorągwi. Powiedzieć, że bolała go głowa, byłoby niczym określenie mianem drobnej niedogodności w pełni dojrzałego tropikalnego huraganu, szalejącego wśród małych wiosek na wybrzeżu i niszczącego wszystko w promieniu dziesięciu mil od swojego centrum. Był także wyczerpany powrotną podróżą, która przypadła na najgorszą część nocy. Nie powinna zająć nawet w przybliżeniu tyle czasu, ile zajęła, choćby jechali tyłem, ale w pewnym momencie Fossett stwierdził, że wie, gdzie są, i że jeżeli pojedą tu w dół, za to wzgórze, tą małą dolinką, to po drugiej stronie będzie ta skała, z której widać już pałac, i w ten sposób oszczędzą wiele mil. Na nieszczęście, w stanie zbiorowego pijaństwa uznali to za niezwykle dobry pomysł. Znacznie lepszy, niż okazał się w rzeczywistości. Zgubili się w kilka minut; w kilka godzin zgubili się kompletnie i, co gorsza, zaczęli trzeźwieć. Koniec końców, wyszwendawszy się kilka godzin po górach i przeszedłszy w stan lekkiego już tylko upojenia alkoholowego, Żołdak naprawdę zorientował się, gdzie są, i poprowadził ich do pałacu. Na końcu kolumny włókł się z trudem Fossett, objuczony sakwami pełnymi produktów z lemingów.

To było wczoraj. Obecnie, po zdecydowanie zbyt krótkim śnie i kilku filizankach mocnej, czarnej kawy, wicekapitan Barak z Cranachańskiej Straży Cesarskiej (Dywizja F) zapukał zakłopotany do masywnych dębowych drzwi prowadzących do Izby Handlu. Policzył do trzech, pchnął wielkie mosiężne koła i wślizgnął się do środka, prowadząc za sobą resztę Dywizji F. Nieczęsto Dywizja F miewała osobiste audiencje u króla Grimzyna we własnej osobie, twarzą w twarz. Wszyscy jej członkowie woleliby, żeby ten zaszczyt nie spotkał ich właśnie dzisiaj.

Jeśli audiencja miała potoczyć się tak, jak obawiał się tego Barak, bez wątpienia byłaby ostatnia.

— Wasza wysokość, członkowie gabinetu — wyszeptał Wicekapitan poprzez coś w rodzaju psychicznej i fizycznej mgły, tej samej, która zamieniła dwutygodniowe podchody w niezłą zabawę. — Jest moim obowiązkiem zakomunikować, że moja misja została, hmm, wypełniona.

Ostatnie słowo wyszeptał nawet ciszej niż całą resztę. Żołnierze z Dywizji F jednocześnie ostrożnie złożyli swój ładunek na błyszczącej marmurowej podłodze. Z sakw uniosła się złowieszczą czarna, gęsta mgiełka.

— Wszystkie produkty końcowe uzyskane z nielegalnie importowanego żywego inwentarza — otwórz nawias gryzoń zamknij nawias — odzyskano i dostarczono, sire. — Wicekapitan zasalutował bezwładnie królowi oraz ministrowi

Bezpieczeństwa i Wojen. Żołądek Baraka rozpoczął rażny metaforyczny marsz ku gardłu, sprawiając, że jego właścicielowi zrobiło się niewyobrażalnie niedobrze.

— Doskonale — oznajmił król, wychylając się do przodu, żeby lepiej przypatrzyć się zdobyczy.

— Napotkaliście opór? — warknął wielce gniewny Eutanazjusz Hekatomb.

— Nie, sir. — Barak ciężko przełknął.

— Nie było nawet maciupciego, ślicznego starciątka?

— Nawet takiego, sir.

Barak wpatrywał się w punkt trzy cale nad głową ministra. Na zewnątrz widoczna była tylko jedna oznaka przerażenia wicekapitana — pulsująca rytmicznie żyła na czole. Gdyby mógł cofnąć czas, wróciłby do momentu wcześniej tego ranka, kiedy Żołdak zasugerował: „To tylko takie spostrzeżenie, sir, ale czy nie sądzi pan, że rozkazy, które otrzymaliśmy, odnoszą się do nienaruszonych produktów uzyskanych z nielegalnie importowanego żywego inwentarza — otwórz nawias gryzoń zamknij nawias, sir? Sir? Dobrze się pan czuje, sir? Strasznie pan pობladł”. Coś mogłoby przynajmniej przeszkodzić Żołdakowi albo zranić go, albo zabić, lub cokolwiek; kapral nie uczyniłby spostrzeżenia i Barak stałby przed Radą Cranachanu w błogiej nieświadomości monumentalnej różnicy pomiędzy oczekiwaniami rady, a przerażającą rzeczywistością zawartości sakw.

Hekatomb był zachwycony łatwym zwycięstwem.

— Zdaje się, wasza wysokość, że te nędzne stworzenia, które rozpanoszyły się w Rhyngill, w końcu uznały potężniejszą siłę. — Odwrócił się do Baraka i szeptem dodał: — Dobra robota, stary. Możesz spodziewać się nagrody.

Barak wrzasnął i pędem wybiegł z sali, szaleńczo wymachując rękami nad głową. Przynajmniej jego umysł tak zrobił. On sam, śmiertelnie przerażony, pozwoli przełknąć ślinę w sposób, w jaki przełknąłby ją mężczyzna, dowiedziawszy się, że w jego spodniach tkwi kilka funtów trotylu.

Żyła na czole wicekapitana pulsowała teraz w znacznie żywszym tempie.

Szef Spraw Wewnętrznych dyskretnie chciwie zatarł ręce.

— Sire — zaczął tonem, jaki przybierają ludzie, którym wydaje się, że rozpoczynają historyczną mowę. — Wewnątrz tych skromnych, leżących przed nami sakw znajduje się roczny uzysk skórek lemingów, zwrócony prawowitym właścicielom. Oto jesteśmy świadkami historycznego faktu: tu i teraz, od tej chwili, odtąd, Cranachan dzierży klucze sił podaży i popytu. Kontrolujemy teraz cały rynek całego znanego świata. . .

— Hmm. . . proszę wybaczyć, że pytam — odezwał się Patafian, skryba Handlu i Przemysłu — ale w rzeczywistości nie wydaje się tego znowuż tak wiele.

Fisk, niezwykle przejęty i całą swą uwagę kierujący na przemówienie, nie dosłyszał słów Patafiana.

— . . . i tak oto możemy ustanowić kompletny i totalny monopol na skórki lemingów. Monopol, w którym to my ustalamy ceny, kontrolujemy. . .



— Cały rok... tutaj? — rozważał Frundle, cicho drapiąc się po nosie.

— ... w którym to my rozdajemy karty, mogąc podnosić przychody i dostarczać paliwa naszej maszynie wojennej...

— ... w pięciu torbach?

— ... co da nam finansową swobodę w odnowieniu pałacu i jego otoczenia...  
Wszyscy w komnacie usiłowali ignorować drącego się Fiska.

— Muszę przyznać — oświadczył król Frundle'owi — że spodziewałem się nieco większej, hmm, objętości.

Fisk wciąż pozostawał nieświadomy kielkujących szybko wokół niego ziaren zwątpienia.

— ... i kapitał na doinwestowanie każdego inżynierskiego lub rolnego planu, jaki nam się wymarzy, dla nas, i dla przyszłych pokoleń Cranachan! — Fisk rozejrzał się w oczekiwaniu aplauzu. Oczy wszystkich zwrócone były na pięć czarnych od sadzy sakw, walających się bezceremonialnie przed nimi.

— Barak, stary druhu — zaczął Hekatomb łagodnie. — Czy byłbyś tak miły i otworzył dla nas jedną z tych toreb?

Nienienienienie — pomyślał.

— Tia — pisnął. Krople potu kapały mu na brwi, żyła przyśpieszyła o kolejne kilka uderzeń na minutę. Schylił się i zaczął mocować z zatrzaskami.

— Barak! — zawołał król, skinąwszy długim, władczym palcem. — Otwórz to tutaj.

Wicekapitan ruszył naprzód z szybkością człowieka wiedzącego, że idzie na spotkanie prawie pewnej śmierci.

Kiedy kładł sakwę przed królem, uniósł się z niej mały kłęb sadzy. Barak uśmiechnął się ponuro i jął od nowa niespiesznie zmagać się z zatrzaskami, usiłując odsunąć w czasie nieuchronną chwilę, mając nadzieję, że jakimś cudem popioły zamieniły się z powrotem w lśniącą skórę.

— Otwieraj, Barak! — nalegał władca.

Wicekapitan przełknął, wziął głęboki oddech, wstrzymał go i na królewską prośbę postawił torbę pionowo. Chmury gęstej, czarnej sadzy rozeszły się, wypełniając komnatę i natychmiast pochłaniając światło. Miało się wrażenie, że rada została nagle przeniesiona na szczyt najbardziej dymiącego stożka wulkanicznego, w sam środek wyjątkowo okazałego wyziewu. Czarne chmury tańczyły i wirowały w zatykającym płuca zapomnieniu i łzawiącym szaleństwie. Gdzieś spośród cichego wiru odezwał się słaby i przeprasający głos eksvicekapitana Baraka z Cranachańskiej Straży Cesarskiej.

— Wasza wysokość... mogę wyjaśnić...

\* \* \*

W 1024 OG, pod osłoną zachmurzonego nocnego nieba, mały drewniany wóz zjeżdżał po zboczu jednego ze — wzgórz w Talpach.

Poszukiwacz zaśmiał się do siebie na myśl o twarzy wicekapitana Baraka.

— Fiuuu! — szepnął cicho i zachichotał.

Pociągnął za lejce, kierując kucyka bardziej w lewo, i podążył dalej niewyraźnym szlakiem z Middin. Ciężko obładowany wóz zaskrzypiał delikatnie, jakby wiedział, że wiezie roczny zbiór skórek lemingów.

Jak to dobrze, że pamiętałem o jaskince, pomyślał po raz setny Poszukiwacz. I zaraz potem: ciekawe, jaką cenę uzyskamy za tak dużo.

Znów pociągnął lejce, manewrując ostrożnie pomiędzy dwoma skałami, i wózek potoczył się w głęboką, ciemną noc.

**Vlad**

Nerwy Firkina były naprężone jak stalowe kable, kiedy przemykał wąskim wąwozem obok śpiącej istoty. Drżał na całym ciele. Najmniejszy kolejny wstrząs, choćby niewielka dawka strachu, wysłałby jego ducha w szaleńczy zjazd po zboczu góry paniki prosto w ciemną dolinę przerażenia.

Mogłoby być gorzej, wmawiał sobie, próbując odzyskać pewność.

Mogłoby wciąż panować noc. Mogłoby wciąż być ciemno. Coś mogłoby wciąż się za mną poruszać. Coś z długimi, kościstymi palcami i wielką, zaślinioną paszczą, rozwartą w oczekiwaniu, głodzie i...

DOŚĆ! Skoncentruj się! Poczekaj na chrapnięcie.

Krok. Chrapnięcie. Krok.

Kropki potu wystąpiły na czoło chłopca z wysiłku zbierania myśli.

Był tak blisko hysterii, że niemal czuł ciężar duszy siedzącej mu okrakiem na ramieniu.

Opuścił Middin poprzedniej nocy pełen odwagi, napompowany adrenaliną i obłędem. Pierwsze kilka godzin na jedynym szlaku prowadzącym z wioski w dół było w porządku. Obawiał się głównie potknięcia i skręcenia sobie kostki na niezauważonym kamieniu. Wraz ze schodzeniem coraz niżej, w nieznane rejony, zmysły wyostriły mu się na tyle, że zyskał świadomość setek otaczających go niewielkich nocnych poruszeń i dźwięków. Wyobraźnia zaczęła płatać mu figle, zmieniając niewinne pnie drzew w ohydne gargulce lub okrutne i złowrogie smoki, czające się w cieniu i żywiące mordercze zamiary. Mrużył oczy, próbując widzieć wyraźniej, ale wszystko pozostawało szare i zamazane.

Po kilku godzinach w gęstej, ciemnej nocy zdał sobie sprawę z bliskiej obecności jakiegoś oddechu. Głębokiego, ochryplego oddechu rozchodzącego się w spokojnym, nocnym powietrzu. Był blisko. Zbyt blisko. Firkin nie bez trudu powstrzymywał panikę. Zatrzymał się, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Puls walił mu w skroniach. Wokół panowała głęboka cisza. Jego płuca lada moment mogły eksplodować pod ciśnieniem. Cisza. Powoli wypuścił powietrze, obawiając się, że pękną nadwężone żebra. Gdy znów usłyszał tajemniczy oddech, na czoło wystąpił mu zimny pot. Znów wstrzymał oddech. Przestało. W jego głowie trwała gonitwa myśli. Niczego nie widział, niczego nie słyszał. Odetchnął po raz kolejny, znów usłyszał ten oddech i... Nagle panika zniknęła. Niemał roześmiał się głośno pod wpływem szczerzej ulgi, uświadomiwszy sobie, że nasłuchiwał własnego, rozlegającego się w nocnej ciszy oddechu.

Podniesiony na duchu wyruszył w dalszą drogę.

Pomimo ciemności szedł przez kilka następnych godzin, kiedy usłyszał kroki. Coraz głośniejsze. Szedł dalej. Kroki stawały się głośniejsze i głośniejsze.

— To moje kroki — powiedział sobie. — To moje kroki, ot co.

By kategoricznie się o tym przekonać, dość rozsądnie postanowił przystanąć i nasłuchiwać. Cisza. Dodająca pewności siebie, głęboka cisza. Cisza — jeśli nie brać pod uwagę tupotu zbliżających się ku niemu kroków.

Lodowate igły strachu wbiły się w Firkinowy kręgosłup, włosy na karku zjeżyły w sposób właściwy przerażonym jeżozwierzom. Hałaśliwie zanurkował w poszycie. Kroki znów stały się głośniejsze. To mnie usłyszało. Jest między drzewami — myślał gorączkowo. Kroki były coraz bliższe. Nadchodzi!

Legł nieruchomo tam, gdzie wylądował w krzakach, krzywiąc się przeraźliwie w straszliwej udręce, o trzy miligramy adrenaliny odległy od zupełnej katalepsji. Bał się poruszyć, oddychać. Kroki były coraz bliżej i bliżej, wciąż głośniejsze i głośniejsze i... przeszły obok.

Słuchał, aż rozboleły go uszy.

Wydawało mu się, że leży tak bez ruchu całą wieczność, aż w końcu wypuścił powietrze więzione w płucach i przeszedł w stan zwykłego przerażenia. Kroki nie zatrzymały się. Być może to coś nie podążało za nim, a może po prostu gdzieś się przyczaiło. Leżał jeszcze przez kilka minut, aż stan łagodnej paniki ustabilizował się — wstał wówczas najciszej, jak potrafił. Wysilał oczy w ciemności, usiłując dojrzeć najdrobniejszy ślad obecności właściciela kroków. Ku własnemu zadowoleniu niczego nie zauważył, więc ruszył dalej, aczkolwiek z początku bardzo niechętnie.

To wszystko wydarzyło się wiele godzin temu. Zdażyło wstać słońce, niebo było czyste, a ptaszki ćwierkały. Od czasu do czasu cykał jakiś świerszcz, a Firkin, dzielny poszukiwacz przygód obarczony chwalebą misją, znów był przerażony.

Minął zakręt ścieżki i stanął jak wryty. Na poboczu leżał mały, mocny but, w którego środku prawdopodobnie tkwiła mała, mocna stopa. Firkin był pewien, że stopa jest przymocowana do ciała i z dużym prawdopodobieństwem do drugiej stopy. Ale reszta tego, cokolwiek to było, leżała ukryta w wysokiej trawie tuż obok ścieżki, a w świeżym porannym powietrzu dawało się słyszeć głośne chrapanie. Firkin słuchał regularnych chrapięć i dokładnie rozważał swoje kłopotliwe położenie.

Rozejrzał się wokół. W tym miejscu ścieżka biegła wąskim, stromym wąwozem. Wysokie zbocza i omszałe szczeliny umożliwiały wspinaczkę tylko najbardziej wprawnym talpinistom. Mógł zawrócić i szukać obejścia, ale bez mapy i kompasu ryzykował, że łatwo się zgubi i nigdy już nie odnajdzie ścieżki. Było tylko jedno wyjście. Cóż, właściwie dwa, ale powrót do Middin, chorej siostrzyczki i mnóstwa pytań ze strony prawie na pewno zagniewanych rodziców nie wydawał się zachwycającą perspektywą. Niechętnie i czując, jak wzrasta mu poziom adrenaliny, podjął decyzję o minięciu śpiącej istoty.

Obliczywszy chwilę stawiania kroków tak, by przypadały na chrapanie, mógł poruszać się bardzo cicho.

Chrapnięcie. Krok... Chrapnięcie. Krok...

Zagryzł zęby i ruszył naprzód na palcach. Ciśnienie krwi chłopca znów wzrosło, bolał go każdy mięsień.

Chrapnięcie. Krok.

Nie śmiał spojrzeć na ciało w trawie.

Chrapnięcie. Krok.

Chrapanie zagłuszało każdy najmniejszy dźwięk, jaki wydawał, więc posuwał się naprzód niemal bezgłośnie.

Chrapnięcie. Krok.

Firkin, przemykając wąwozem obok śpiącego stworzenia, był napięty i zderwiony jak ból głowy w aptece. Drżał na całym ciele, wystarczyłyby jeszcze jeden wstrząs, najmniejszy przestrasz...

Nagle niebo eksplodowało kakofonią łopoczących skrzydeł i liści — dziki gołąb wypadł pomiędzy drzew. Kora nadnerczy chłopca pracowała na najwyższych obrotach.

Śpioch poderwał się gwałtownie, zadrżał zaskoczony, zerwał na równe nogi i krzyknął:

— Firk!...

Firkin padł zemdłony.

Beczka stanął prosto, zmieszany, lecz uradowany, że nie sprawdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Podszedł do bezwładnego ciała przyjaciela.

\* \* \*

Rok 1025 OG mijał w górskim królestwie Cranachanu spokojnie. Cóż, „spokój” jest pojęciem względnym, a życie w tyranii tak... hmm... tyrańskiej jak ta, na której czele stał król Grimzyn i jego kohorty zła, dla każdego dążącego do normalności społeczeństwa byłoby dalekie od normalności.

Podczas kilku miesięcy po tym jak szef Spraw Wewnętrznych Fisk przyjął przeprosiny od wicekapitana Baraka i bez wahania zaakceptował jego dymisję, „błogi spokój” w Cranachanie zakłóciły nieliczne pożałowania godne incydenty. Czterdziestu trzech drobnych rzezimieszków zostało skazanych na śmierć za kilka drobnych przestępstw, takich jak naruszenie nietykalności cielesnej, pozbywanie się wściekłych zwierząt bez należytej troski i uwagi oraz śmiecenie. Król Grimzyn zainicjował obejmującą całe królestwo akcję zwalczania śmiecenia, wierząc, że czyste ulice zachęcą bogatych turystów, którzy zaoszczędzą mu czasu i kłopotów związanych z koniecznością przekroczenia granic w celu zagarnięcia ich bogactw. Zagarnianie bogactw na gruncie lokalnym jest o wiele łatwiejsze.

Co niezwykle, bogaci turyści zdawali się wierzyć broszurom informującym, że „Cranachan jest jednym z najbezpieczniejszych królestw dla przypadkowych gości. Miejscowi mieszkańcy zapewniają wieczorami kolorowe uliczne spektakle, prezentując ekscytujące pokazy rzucania nożami, szermierki i sztuki walki topo-

rem. Nie ma problemów z urządzeniem weekendowych zabaw pod hasłem "rozwiąż zagadkę morderstwa" — istnieje możliwość dostarczenia własnej ofiary. Na terenie całego królestwa płacić można gotówką i biżuterią. Odwiedź Cranachan, a nigdy nie zechcesz go opuścić”.

W zarodku zgnieciono kilka małych powstań, co zaowocowało aresztowaniem i bezzwłocznym osadzeniem w więzieniu lub straceniem wszystkich złoczyńców i kilku „niewinnych” przechodniów. W gruncie rzeczy jednak w Cranachanie różnienia tego typu nie mają większego znaczenia.

Gdzieś pośród tego całego chaosu Patafian dokonał bardzo interesującego odkrycia.

Życie całego Cranachanu, Rhyngill oraz szefa Spraw Wewnętrznych miało ulec dramatycznej zmianie.

Fisk zapukał do wielkich dębowych drzwi prowadzących do Izby Handlu i czekał pod czujnym wzrokiem dwóch strażników dzierżących halabardy ze swobodnym profesjonalizmem ludzi stworzonych do swojej roboty. Szef Spraw Wewnętrznych drżał łagodnie. Z komnaty dochodziło echo krzyków. Przełknął głośno, popchnął drzwi i wkroczył do środka. Jego kroki odbijały się echem, gdy kroczył obserwowany przez wszystkich zgromadzonych. Szedł lśniąca marmurową podłogą, aż zatrzymał się i lekko skłonił.

— Panie, pokorny sługa stawia się na wezwanie.

— Lizus — mruknął pod nosem Patafian.

— Co to jest!? — wrzasnął król, unosząc w ręce żółtawy element stroju.

Fisk rozejrzał się nerwowo. Odpowiedź była oczywista, pytanie tylko — czy właściwa? Tak czy inaczej, udzielił jej.

— Para spodni, wasza królewska wysokość.

Król skrzywił się, a Fisk poczuł wyjątkowo nieswojo.

— Tak — rzucił władca przez zaciśnięte zęby. — Jak na razie masz rację. Jednakowoż ponowię pytanie: co to jest?

Fisk z niewyraźną miną przestępował z nogi na nogę, przypomniawszy sobie bardzo podobną rozmowę sprzed kilku miesięcy. Coś mu podpowiadało, że tym razem konkluzja będzie nieco inna.

— Hmm, czy wasza wysokość ma na myśli „z czego jest zrobione”?

Król przytaknął władczo, odsłaniając rząd zębów. Fisk przypomniał sobie scenę z własnego dzieciństwa. Widział wtedy olbrzymiego lwa z szeroko rozwartymi, zaślinionymi szczękami, o oczach płonących w oczekiwaniu na moment, kiedy odgryzie głowę małego ssaka przygniecionego do ziemi wielkimi łapami. Teraz, w obliczu króla, zrozumiał, co musiał czuć ten ssak.

— Sądzę, o potężny królu zwierz... Cranachanu, że ubranie, które spoczywa w twojej dłoni — Fisk dygotał w panice — wykonane jest ze skórek kilku l-l-le-mingów.

— Racja.

— Lecz, sire... proszę o wybaczenie mojej oczywistej głupoty, ale czy w bardzo podobny sposób nie zaprezentowałem waszej wysokości tego ubrania kilka miesięcy temu? Eee... nie żebym krytykował sposób prezentacji, nawet nie przeszło mi to przez myśl. W ogóle nie chciałem o tym wspomnieć, mówiąc szczerze — zakończył słabo i uśmiechnął się szeroko głupawym uśmiechem, wynikającym raczej z przejmującego strachu niż wesołości.

— To jest to samo ubranie.

— Ach tak, rozumiem! — Nie rozumiał. — Ale dlaczego wasza wysokość mi je pokazuje?

— Dlatego. — Król sięgnął za siebie i wyciągnął prawie identyczną parę spodni. Te jednak były nieco lepiej wykonane, miały ćwieki wzmacniające ważniejsze szwy i wyglądały na mniej wyblakłe. Krótko mówiąc, wyglądały, jakby krawiec od czasu stworzenia pierwszej pary miał za sobą przynajmniej rok praktyki.

— Och, wasza wysokość ma nową parę. Jak... eee... miło. Skąd pochodzą te spodnie? — zapytał Fisk, czując, że w rzeczywistości wcale nie chce znać odpowiedzi.

— Kupiłem je na targu w Rhyngill — powiedział zadowolony z siebie Patafian.

— Muszą być z zeszłego roku — odparował Fisk, wpadając w złość.

Król kiwnął na niego, by podszedł bliżej, przewrócił spodnie na drugą stronę i wskazał małą metkę, wszytą w jeden ze szwów. Napis na niej głosił: „Wykonano w Rhyngill. 100

Fiskowi opadła szczęka.

— ...? — zaczął oniemiały, wpatrując się w dwie leżące przed nim na stole pary spodni.

— To był bardzo ruchliwy targ — kontynuował Patafian, dokręcając Fiskowi śrubę. — Wybór był duży, więc kupiłem jeszcze to, to, kilka sztuk tego, tego, to, jedno z tych, to...

Żółtawe przedmioty posypały się ze sporej torby, aż utworzyły na stole naprzeciw Fiska wielki stos.

— Zdawać by się mogło — zza stosu dobiegał głos Patafiana — że handel lemingowymi skórkami ma się w Rhyngill bardzo dobrze i sądząc po cenach, przynosi bardzo, bardzo duże zyski.

Fisk opanował się i przygotował do przemowy.

— Ale... — Słowa zawiodły go.

Król walnął pięściami w stół i podniósł się gwałtownie. Korona zachwiała się niepewnie na jego głowie.

— Tak: „ale...”. Ale — jak? Ale — dlaczego? Ale — co zamierzasz z tym zrobić?



— ... — odpowiedział Fisk, lecz strach wykręcił mu struny głosowe, jak wykręca się moką szmatę.

— Odejdź i zrób z tym coś! — warknął władca.

Fiskowi udało się utrzymać równowagę podczas składania długiego, głębokiego ukłonu. Niepewnie zawrócił w stronę drzwi. W głowie kręciło mu się od panicznego strachu i miliona pytań.

— Proszę zostawić to mnie — zdołał wykrztusić, mijając dębowe drzwi. — Ja... ja... eee... coś wymyślę.

Król Grimzyn, ledwo panując nad wrzącym gniewem, uśmiechnął się z szyderstwem, które zmroziłoby ciekły azot. Kryształki czystego przerażenia pomknęły krwiobiegami Fiska, ostatecznie ugadzając w arktyczne już i tak serce. Czuł, że jest blady i wyczerpany jak wysuszona, pomarszczona skóra jakiejś zamarznętej jaszczurki.

Tak jak powidoki przylegają do siatkówek wystawionych na jasne światło, tak do duszy Fiska przywarły pewne odczucia. Lodowaty powiew furii króla Grimzyna zmroził duszę skazańca. Fisk nagle ujrzał siebie stojącego u podnóża wysokich na kilkaset stóp lodowych ścian, patrzącego na drżące tony lodu, które czekają tylko na okazję, by runąć na niego i przynieść mroźną niepamięć.

Zamknął oczy i przerażony zadrżał na całym ciele.

\* \* \*

— Już tam jesteśmy?

— Co?

— Już tam jesteśmy?

— Nie!

— Och...

Dwaj chłopcy przedzierający się przez las znów zamilkli. Wokół nich wznosiły się najwyższe drzewa, jakie dotychczas w życiu widzieli, sprawiając, że czuli się w gruncie rzeczy bardzo, bardzo malutcy.

— Jestem głodny!

— Co?

— Jestem głodny i padam ze zmęczenia. Bolał mnie ramiona, stopy mam gorące, chce mi się pić i...

— Zamknij się! — Firkin tracił opanowanie. Wciąż był zły na Beczkę za wystraszenie go w wąwozie, Beczka zaś wciąż był zdenerwowany, że przyjaciel tak zdenerwował go w Middin. Biorąc pod uwagę, że został wystraszony niemal na

śmierć, Firkin doszedł do siebie stosunkowo szybko, ale w jego oczach gościł teraz wyraz napięcia i nieufności.

— Ale...

— Cicho bądź! Nic na to nie poradzę. To nie moja wina, że niczego ze sobą nie wzięłeś, jasne? A teraz chodźmy dalej. Już chyba niedaleko.

— Jestem głodny, kiedy się boję, a poprzedniej nocy było ciemno i bardzo się bałem, i... i... i... jestem głodny. No i tak.

— Zamknij się.

— To bardzo niemiłe z twojej strony.

— Zamknij się, zamknij się, zamknij się!!!

Beczka zrobił głupią minę za plecami Firkina i ruszył dalej w las.

Robiło się późno, już od wielu godzin szli między drzewami. Beczka nie myślał, że las może być taki duży. Nie myślał, że do miasta może być tak daleko. Mówiąc w skrócie, w ogóle nie myślał. Co więcej na ich wspólne nieszczęście, Firkin też nie.

Wyruszenie z Middin na kruczaję wydawało mu się zeszłej nocy tak dobrym pomysłem. A może to była przedwczorajsza noc? Zdawało się to tak daleko i tak dawno temu.

\* \* \*

Późnym popołudniem i wczesnym wieczorem roślinność wokół nich zmieniała się z gęstego lasu sosnowego w las rzadszy i bardziej różnorodny, pełen zarośli krzewiących się między olbrzymimi, wiekowymi dębami i jesionami. Ścieżka stawała się coraz bardziej nierówna i sprawiała teraz wrażenie zaniedbanej, a miejscami kompletnie zapuszczonej.

Światło bladło, zmieniając zieleń w brunatne szarości. Firkin zaczął mieć problemy z patrzeniem, gdzie stawia nogi. Potknął się na przecinających ścieżkę korzeniach i runął w kałużę. Ściemniło się i wkrótce mógł jedynie wyteżać wzrok przez zmrużone powieki.

— W porządku — rzekł ostatecznie. — Już czas zapalić latarnie.

— To dobrze — podchwycił Beczka. — Golenie mam obite do kości.

— Więc się pośpiesz. Nic nie widzę.

— Co?

— No już, wyciągnij latarnie, wiesz, co masz zrobić.

— Ja?

— Tak.

— Eee... tego... — Beczka wzięła głęboki oddech. Wokół szybko narastała ciemność. — Nie mam ich. Ty masz?

— O rany — jęknął zawiedziony Firkin, zorientowawszy się, że są pozbawieni lamp. — O rany, rany — powtarzał, gdy ostatni foton dnia mrugnął na niego zza drzewa i pośpieszył do domu położyć się spać. Chłopiec gwałtownie wyteżył wzrok. Nadaremno — ciemność zapadła już wokół nich na czas kolejnej długiej nocy i Firkin widział mniej więcej tyle, co węgorz w puszcze czarnej, matowej farby. W pudełku i pod przykryciem.

\* \* \*

W chatce, na polanie pośród tegoż samego wielkiego lasu, pewien kościsty osobnik czuł się bardzo, bardzo podle. Bez przesady można powiedzieć, że był wręcz ogłupiały z nudów. Wyglądał zza talii kart rozrzuconej przed nim na stole, obserwując zardzewiały ruszt majaczący w przeciwnym rogu pokoju. Ruszt był w opłakanym stanie. Lata, być może całe dziesięciolecia minęły, odkąd ostatni raz poczerniało odlewane żelazo, i kiedy prawdopodobnie po raz ostatni coś na nim upieczono. Nie była to do końca prawda. Na szczycie rusztu wciąż przyrządzano potrawy, ale bez wykorzystania węgla czy też samego rusztu. Mieszkaniec chatki używał obecnie samowystarczalnych pojemników z wrzącym tłuszczem i robiącej *ping!* maszynki ze szklanymi drzwiczkami.

Kiedy zebrał karty, by postawić kolejnego pasjansa przy nikłym świetle świeczki, spomiędzy dwóch szpiczastych kłów wymknęło się ciężkie westchnienie.

Ssspokój, ssspokój — myślał. — Mam dośśść. Przydałaby mi sssię eine kleine partyjka w... w... cokolwiek, byle to były karty.

Kilka minut później, po kolejnej porażce, wstał, dowlóknął się do ściany i pstryknął pstryczek.

\* \* \*

— O rany, rany — wciąż szeptał Firkin, bardzo zagubiony i przeraźliwie głodny. Słyszał, jak coś porusza się w poszyciu i usilnie próbował nie zwracać na to uwagi. Wciąż żywe było wspomnienie poprzedniej nocy. Uchylił się gwałtownie, gdy para skórzastych skrzydeł zafurkotała nad jego głową i znikła w nieprzenik-

nionej ciemności. Sowa huknęła, zdecydowanie zbyt głośno i zbyt blisko. Jego zmysły wyostrzyły się, a wyobraźnia wyolbrzymiała wszystkie dźwięki wyłowione przez uszy z mroku. Szum skrzydełek najdrobniejszych owadów stawał się szwadronem ziejących ogniem smoków, które pustoszyły piekielnym ogniem polacie gruntu, dobiegający zaś z długich traw szmer krzątających się ryjówek — głosem zbliżającej się bandy oszalałych z głodu hien, pragnących żerować na krwi. Jego krwi. Chłopiec wpatrywał się w gęstą ciemność szeroko otwartymi oczami.

— Widzisz tam coś? — zapytał Beczka.

— Gdzie?

— Tam.

— Nie widzę, na co pokazujesz.

— TAM.

— Gdzie?

Beczka powymachiwał rękami w ciemności, natrafiając w końcu na dłoń Firkin, której użył, by coś wskazać.

— Tam... widzisz?

— Co?

— Nie wydaje ci się, że tam jest trochę jaśniej?

Firkin wybałuszał oczy w optyczną próżnię.

— Hmm, możesz mieć rację!

— Tam jest jaśniej, prawda?

— ... być może.

— Co to takiego?

— Nie mam pojęcia. Światła, jak sądzę. Chodźmy i zobaczymy.

— Powinniśmy? — z powątpiewaniem dopytywał się Beczka.

— Czemu nie?

— Eee... a czemu tak?

— Ponieważ nie mam zamiaru znowu zostać w ciemnościach, zwłaszcza jeżeli tam ktoś ma światło — odparł Firkin, wskazując w dość nieokreślonym kierunku.  
— No chodź.

Chłopiec ruszył przed siebie ostrożnie, uważnie stawiając każdy krok. Nie mógł mieć pewności, na czym stanie lub w co wdepnie.

Niewidzialne konary smagały ich i czepiały się ubrań. Ciasne węzły splątanych gałęzi blokowały drogę, powodując, że wpadali na siebie. Czarny bluszcz oplątywał im kostki.

Szli wolno, lecz w końcu spoceni i zdyszani stanęli przy skraju polanki. To na niej znajdowało się źródło światła. Gdy wychodzili z ciemności, serca zabiły im mocniej z wysiłku i strachu.

Zaskoczenie było zupełne.

Stanęli jak wryci, w szczerym zdumieniu rozdziawiwszy usta, mrugając od oślepiającego światła, na zmianę czerwonego i białego.

— Czy... czy... czy ty widzisz to samo co ja? — wyszeptał sparaliżowany Firkin.

— Eee... a co ty widzisz?

— Coś... czego... nie powinno... tu być.

— Tak. — Beczce opadła szczęka.

Czerwone, potem białe.

— Coś, o czym myślałem, że jest bajką.

— Ehm.

— Och...

Stali, obserwując mieniającą się kolorami polankę. Ostre, czarne cienie cofnęły się od ich kostek i umknęły z powrotem do lasu. Polanka błysnęła na czerwono, potem biało.

— Chyba zwariowałem.

— Ja też.

\* \* \*

— Tato, znowu dzwoni.

— Co? A, w porządku — odparł zza chmury mąki energicznie wałkujący ciasto Val Jambon.

— Lepiej się pośpiesz. Będzie zdenerwowany.

— Tak, wiem. Przynieś mi te bułki, dobrze?

— Te fajne, lepkie? — spytała dziewczynka, dłubiąc w bułkach dla zabawy.

— Tak... ajajaj!, nie rób tego, skarbeńku.

— Ta jest do niczego. Ma w środku dziurę. Mogę ją zatrzymać? — Uśmiechnęła się szeroko do taty, przechyliła główkę na bok i dla uzyskania pełnego efektu zbliżyła do siebie nawzajem duże palce u nóg.

— Tak, tak, Cukinio, niegrzeczna dziewczynko. A teraz połóż te dwie na talerzu.

— Się robi! — odparła z tego, co zostało jeszcze z wielkiej i niewiarygodnie lepkiej bułki.

Taca była rychło gotowa, dwie lepkie bułki, szklanka soku pomarańczowego i dwa specjalne herbatniki czekoladowe. Kucharz podniósł ją, ruszył do drzwi i rozpoczął długą podróż w górę schodów.

W końcu, po minięciu kilku półpięter, wietrznych klatek schodowych i setek jardów pustych korytarzy, dotarł na miejsce. Zapukał elegancko do drzwi, otworzył je i wkroczył do komnaty.

Po tych wszystkich posępnych i pustych korytarzach na zewnątrz widok jasnych kolorów tego pomieszczenia zawsze stanowił dla niego swego rodzaju wstrząs. No i ten dywan! Nigdzie indziej nie było dywanu, takiego miłego, głębokiego, wygodnego, czerwonego dywanu pokrytego tuzinem wielkich, puchatych poduch. Postawił tacę z kolacją na małym stoliku na środku komnaty i rozejrzał się dookoła. Wszędzie walało się mnóstwo papierowych ptaszków, w rogu leżały rozrzucone pchełki, stała gra planszowa, słodziutki pingwin, przynajmniej pół tuzina książek oraz osadzony wysoko na jednej z poduszek mały, kudłaty miś. Słowo „ukochany” jest dobrym punktem startowym do opisu tego niedźwiadka. Dawno, dawno temu był cały pokryty futrem, lecz spora jego część starła się przez lata przytulania oraz innych, nie tak łagodnych form okazywania uczuć. Na nosie nie zostało mu dużo kudłów, a niektóre szwy niepokojąco się przetarły. Był jednak pogodnym misiem. Miał szczęście. Na miejscu pozostało mu oboje oczu i uszu. Ot co.

Kucharz zawrócił, zamknął drzwi i wykonawszy zadanie, zszedł po schodach.

Mały, łysiejący miś siedział na szczycie stosu poduszek, czekając, aż ktoś zechce się nim pobawić.

\* \* \*

Beczkę piekło ucho. Co zadziwiające, bardzo się z tego cieszył. Świecił na czerwono i biało na polance.

Pulsująca wściekłym bólem małżowina uszna zazwyczaj nie sprawiała mu radości. Nie należał do tych, którzy czerpali z tego przyjemność. Ale teraz, w tym momencie, na polance w środku wielkiego lasu, wiele mil od domu, niewiele rzeczy mogło sprawić mu większą przyjemność — może z wyjątkiem dużej porcji parującego gulaszu, gorącej kąpieli, świeżo zasłanego łóżka, kilku naprawdę dobrych książek z bajkami, dzbanka herbaty i pół tuzina różnego rodzaju pasztecików. No i nieprzebywania tutaj, na polance w środku wielkiego lasu, wiele mil od domu, z bolącym uchem.

Piekące ucho dodawało mu pewności siebie. Udowadniało, że:

- a) Był żywy.
- b) Firkin też.
- c) Niektóre części jego mózgu wciąż działały (stosunkowo) normalnie.
- d) Nadal obowiązywało prawo przyczynowości.

e) Mógł w gruncie rzeczy wcale nie cierpieć na nawracające halucynacje, tak więc

f) coś bardzo, bardzo dziwnego naprawdę znajdowało się, bezsprzecznie, na przeciw nich, po drugiej stronie polanki.

— Firkin — szepnął Beczka. — Co ja właściwie zrobiłem?

— Uszczypnąłeś mnie — zabrzmiała beznamiętna odpowiedź.

Jak na razie w porządku, pomyślał Beczka.

— A co ty wtedy zrobiłeś?

— Walnąłem cię — odparł Firkin, patrząc na wprost. — Zdaje się, że w ucho.

Beczka był teraz zadowolony. Dwukrotnie przeleciał w pamięci punkty od a) do e), wziął głęboki oddech i błysnął na czerwono, potem biało.

Pomyślał, że najwyższy czas sprawdzić f). Miał nadzieję, że się myli.

— Firkin — wyszeptał.

— He? — nadeszła odpowiedź ze strony świecącego na czerwono, potem na biało nieobecnego duchem Firkina.

— Co widzisz? Na tej polance. To znaczy co dokładnie, widzisz?

— Eee... tam? — Firkin zdawał się zmagać ze sobą.

— Tak.

Czerwone, potem białe.

— Na drugim końcu polanki?

Beczka wiedział, że jego przyjaciel również ją widzi.

— Tak... ta mała chata.

W porządku, doszedł do wniosku Beczka. Czas na kłopotliwe pytanie.

— Firkin, zastanów się dokładnie, zanim odpowiesz. Czy ewentualnie dostrzeżesz coś choćby odrobinę dziwnego w związku z tą chatką?

Drugi chłopiec nie musiał długo zastanawiać się nad odpowiedzią, rzuciło mu się to w oczy, gdy tylko wkroczyli na polankę.

— Cóż, zazwyczaj nie spotyka się chatek z oknami zrobionymi z... z... — Słowa uwięzły mu w gardle. Stał, przestępując z nogi na nogę niczym igła po zarysowanej płycie.

Beczka dokończył za niego szeptem:

— ... cukru.

— Tak.

— ... i drzwiami z marcepanu...

— Ta...

— ... i lukrowanym dachem...

— T...

— ... oraz ścianami z piernika.

Na twarzy Firkina pojawił się dziwny grymas. Błysnął na czerwono, potem na biało.

— Też to widzisz — powiedział. — Cha, cha, cha — co za ulga! Cha, myślałem, że... cha... wariuję... Kompletnie, kompletnie wariuję. To znaczy, co za myśl, żeby ściany były zrobione z... pier... pier... pier... to śmieszne... To znaczy, co na przykład, jeśli pada deszcz?... Cha... cha... To jest nieprawda... bajeczki... fantazje... zupełnie nieprawdziwe, to...

Odwrócił się i pierwszy raz, odkąd weszli na polanę, spojrzął Beczce prosto w oczy. Jego przyjaciel był śmiertelnie poważny. Jednocześnie zaświecili na czerwono, potem białe.

— Powiedz mi, że nie jest prawdziwa.

Oczy Firkina miały błagalny wyraz. Potrząsnął ramionami Beczki.

Beczka nie był pewien. Jego przyjaciel dopiero co potwierdził, że widzi to samo, ale wciąż coś nie dawało mu spokoju. Coś zdecydowanie nie w porządku.

Czerwone, potem białe.

Beczka miał słabe, a jednak istotne przeczucie, że chatka ta nie była taką sobie, ot, normalną, przeciętną, niedawno odnowioną, wartą bliższego zainteresowania piernikową rezydencją, jednakże powody tych podejrzeń chwilowo mu umykały.

— Powiedz mi, że nie jest prawdziwa — powtórzył Firkin. — Nie może być. To tylko jedna z tych rzeczy, o których opowiadał nam Franek. Jedna z głupawych bajek...

Czerwone, potem białe.

Beczka przywołał w pamięci obraz wykreowany dla nich przez Francka. Nagle coś zaskoczyło.

— Firkin, zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Czy przypominasz sobie, żeby w historiach opowiadanych nam przez Francka pojawiał się, choćby przelotnie, ten wielki czerwony neon migający nad drzwiami?

— Eee... Ten z napisem JEDZ U VLADA?

— Tak.

— Cóż, teraz kiedy o tym wspomniałeś...

— ...I znak „PYTAJ O PROMOCJE”?

— ...noo...

— ...i WPADNIJ NA JEDZENIE TWOJEGO ŻYCIA?

— Mówiąc szczerze, nie.

Wąska strużka aromatycznego zapachu opuściła chatkę i poszybowała przez polankę. Zdawała się wiedzieć, dokąd podąża. Sprytna woń.

Czerwone, potem białe.

— Dziwne, nie? — ciągnął Beczka. — Przegapić takie szczegóły — to niepodobne do Francka. Wydaje się, że powinien o tym wspomnieć, w końcu wie, jak bardzo lubię jedzenie.

Wciągnął nosem powietrze. Aromatyczne palce wtargnęły do nozdrzy i jeły pieścić jego zmysł powonienia. Beczka bezwiednie zrobił dwa kroki naprzód, pierwszy czerwony, a drugi — biały.



— Jak cudownie pachnie...  
Jego brzuch zaburczał przytakująco. Aromatyczne palce tymczasem sięgnęły i chwyciły Firkina. On także bezwolnie ruszył naprzód.  
— ... a ja umieram z głodu.  
— W odległości wielu mil nie ma pewnie niczego innego...  
Brzuch Firkin zaburczał, podkreślając prawdziwość ich słów.  
— ... torba jest pusta...  
— ... i przeszliśmy dzisiaj kawał drogi...  
W zamroczeniu przecięli polanę, zapominając o podejrzeniach i błyskając miarowo na czerwono i biało.  
Przed nimi, cicho, otwały się drzwi osadzone na dobrze naoliwionych zawiasach.  
— ... naprawdę przydałby nam się odpoczynek...  
— ... i coś do zjedzenia...  
— ... proszę przodem. — Firkin skłonił się nisko tuż przy drzwiach.  
— Ależ dziękuję!  
Przeszli nad ozdobioną słowem *Wilkommen* wycieraczką i wkroczyli do niemal zupełnie opuszczonej chałupy.

\* \* \*

W kwaterze szefa cranachańskich Spraw Wewnętrznych panował straszliwy bałagan. W ciągu kilku dni, które minęły od spotkania z królem Grimzynem, przez jego biurko przewaliło się mnóstwo roboty. Fisk pracował jak człowiek pewny, że jutra nie będzie, i gdyby szybko nie znalazł rozwiązania, rzeczywiście mógłby mieć rację — jedno rozkazujące warknięcie króla i rok 1025 OG stałyby się ostatnim rokiem Fiska. Problem lemingów wymknął się spod kontroli, a on musiał szybko znaleźć wyjście z sytuacji. Potrzebował szybkiego rozwiązania albo paszportu do jakiejś odległej krainy. W tej chwili wpatrywał się w znajdujący się przed nim bałagan.

Mapa wschodniej granicy Cranachanu ustawiona była na samym czubku stosu aktów własności, uzgodnień importowych i wewnętrznych dokumentów precyzyjnie wyznaczających linię graniczną. Wygląd gabinetu sugerował niewielką eksplozję nuklearną w biurze niezwykle zajętego radcy prawnego, specjalisty w zakresie granic.

Fisk przez potężne szkło powiększające zlustrował każdy cal każdej z map przedstawiających granicę i nigdzie nie zauważył, by nie pokrywała się z linią krawędzi klifu. Zmieniwszy taktykę, przewertował setki dokumentów prawnych,

starając się znaleźć podstawę do podważenia ważności ustaleń granicznych. Na nic. Podłogę pokrywały strzępy porwanego w przypływie frustracji pergaminu.

Z każdego punktu widzenia, a rozpatrywał ich wiele, dochodził do wniosku, że gdy lemingi raz przekroczyły granicę z Rhyngill, nie istniała dla Cranachanu legalna podstawa do dochodzenia swoich praw własności, a co dopiero domagania się ich zwrotu. O dziwo, pomimo kamiennego serca i chciwej natury, Fisk lubił, by wszystko odbywało się legalnie. Niekoniecznie całkiem legalnie, ale z na tyle ograniczoną dozą nielegalności, by mógł postępować według własnego uznania, nie przysparzając sobie kłopotu.

Z tego głównie powodu, jak również ze względu na związane z nim ryzyko i wydatki, nie zaakceptował pomysłu (E. Hekatomba, dodajmy), by raz do roku najeżdżać Rhyngill i zagarniać skórki lemingów *en masse*. Już nie biorąc innych rzeczy pod uwagę, takie rozwiązanie oznaczało ciężką, niewymagającą wielkiej finezji pracę. Nie, powtarzał sobie Fisk, musi istnieć lepsze wyjście z tej sytuacji.

W geście frustracji jego odziana w czarną rękawicę dłoń zmięła i cisnęła kolejną kulkę pergaminu w pustkę, za krawędź stołu. Obserwował, jak kulka leci po łuku, wirując z gracją, by zniknąć za sztucznym horyzontem biurka. Wstał i obrzucił wzrokiem kosz na papiery. Był pusty, wszystkie kule chybiły celu. Mruczając pod nosem, przesunął stół o kilka stóp, usiadł i wystrzelił kolejną salwę żółtawych pergaminowych kul. Wstał, żeby ocenić swoją celność, i uśmiechnął ze znużeniem, stwierdziwszy, że pięć z ośmiu pocisków dotarło do celu, trzy pozostałe zaś leżały w przyzwyczajeniu niewielkiej odległości. Usiadł ponownie i zadumany oddał się ssaniu końcówki pióra.

Nagle ni z tego, ni z owego wyciągnął rękę, schwycił świeży kawałek pergaminu, zmiął w niewielką kulkę i cisnął śladem pozostałych. Następnie zerwał się z miejsca i spojrzał za kraj stołu. W sam środek! Wydał okrzyk radości i wybiegł z gabinetu, w szaleńczym pośpiechu przewracając za sobą krzesło.

Udało się! Rozwiązał problem.

\* \* \*

Powiadają, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez jego żołądek. Cóż, droga do serca mężczyzny bez wątplenia wiedzie przez nos. Zapytajcie laryngologa.

W przypadku Firkina i Beczki prawda ta potwierdzała się bez zastrzeżeń. Schwytni przez tajemniczo uwodzący zapach, wydobywający się z chatki, podążyli za jego przyprowadzającym o drżenie nozdrzy śladem jak pszczoły do miodu. Gdy dwaj chłopcy zasiedli na czerwonych, cukrowych fotelach, pewnie przy-

twierdzonych do lukrowej podłogi, ich brzuchy zaburczały sejsmicznie, usiłując zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Iluzja domowej zaciszności pozostała, wraz z kilkoma gałązkami i dziwnymi świetlikami, zdecydowanie za progiem. Wnętrze mogło równie dobrze być z innej planety. Chłopcy nigdy czegoś takiego nie widzieli, ale, o dziwo, czuli się tu swobodnie<sup>4</sup>.

Wnętrze chałupki urządzone było w jaskrawych, przyciągających wzrok kolorach, dobranych idealnie do gustu starannie zaplanowanego przekroju klienteli. Na pomalowanych na purpurowo piernikowych ścianach wisały lśniące wizerunki hamburgerów, cheeseburgerów i potraw z grilla, przebywających w towarzystwie kartonowych pojemników z anemicznymi frytkami. Wykonane z toffi belki podtrzymywały drożdżowy sufit, reflektory z waty cukrowej połączone były anyżkowymi kablami, fontanna sorbetu spływała dyskretnie w drugim końcu chaty, a w akwarium pod ladą pływała rybka z galaretki. Chłopcy wpatrywali się intensywnie w wypisany na andrucie jadłospis. Beczka machał nogami.

— Ooch... z serem! — Wymachiwał zaciśniętymi piąstkami koło uszu i śmiał się do rozpuku.

Zadziwiła ich wszechstronność menu. Nie mogli się zdecydować.

— ... i sosem pomidorowym... .

Firkin rozejrzał się.

— Ciekawe, gdzie jest kelner?

— ... och, lody...

— Nikogo nie widzę.

— ... czekoladowe ciągutki... .

Firkin zlustrował wzrokiem kilka identycznych cukrowych stołów z czerwonymi, cukrowymi krzesłami. Były ustawione w doskonałym porządku i zaopatrzone w komplety sztućców, przyprawy, sos pomidorowy i czekoladowy, cukier w kostkach... . słowem, we wszystko, co potrzebne do solidnego posiłku. Brakowało tylko ludzi.

Powrócił wzrokiem do menu i zaczął zastanawiać się nad decyzją. Wybór był męczący.

— *Guten Abend* panoffie.

Firkin i Beczka podskoczyli jak oparzeni.

---

<sup>4</sup>Od lat wiadomo, że gdy zostawi się dzieciom wolny wybór, zjedzą najtłustsze, najbardziej tłuczące dostępne wyroby garmazeryjne, popijając je litrami psujących zęby wysokosłodzonych napojów. Oprócz tego, mając wolny wybór środowiska oddawania owym zwyczajom żywieniowym, niewątpliwie skierują się do miejsca najbardziej jaskrawo i bez gustu urządzonego, jakie tylko znajdzie się w okolicy. Psychologowie od dawna spekulują na temat powodu tych zachowań. Najbardziej prawdopodobna teoria brzmi: „Środowisko to jest uzewnętrznieniem pragnienia powrotu do środowiska i sposobu życia zakorzenionego głęboko w podświadomości pamięci zbiorowej”. Inni sądzą, że to dlatego, iż dzieci są za młode, żeby chodzić do pubów.

— Fittam w meine ressstaurationi.

— C... Co... Kto?

— Jessstem właścicielem tej kneipe, Herr Vlad Langschwein, do usług.

Wypowiadając te słowa, przybysz złożył głęboki ukłon. Wyprostowawszy się, pozostał przy stoliku, roztaczając wokół siebie aurę wyczekiwania doprawioną sporą dozą podniecenia.

Był niezbyt wysokim, lekko przygarbionym osobnikiem. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę ze stójką i fatalnie zawiązaną muchę, bezceremonialnie osadzoną na pomarszczonej szyi. Przez lewe ramię przerzucił poplamiony ręcznik, dopełniający wizerunku obszarpanej służalczości — idealnego, pod warunkiem, oczywiście, że nie weźmie się pod uwagę lekko sinobłego odcienia jego skóry.

Zbliżył się nieznacznie do Firkina i wbił w niego spojrzenie bladych, wodnistych oczu.

— Tschym mogę ssssłużyć? — syknął. — Sssugeruję sssmaczną sssurówkę z ssselera i sssardynek. Ssss Ssss Ssssss. — Poruszył ramionami, chichocząc z mało zrozumiałego żartu.

— A, hmm, hmm... jesz... jeszcze się nie zdecydowaliśmy — odparł Firkin, pocierając kark, w którym uczuł nagle dziwne mrowienie.

— Tschy mogę dopomóttzzzz w wyborze?

— Co by pan polecił, panie Langschwein? — zapytał przymilnie Beczka. Wizja zacnej wyżerki podniosła go na duchu.

— Alessssz prossszę, mówcie mi Vlad. To znatschnie milsssze! — Gospodarz uśmiechnął się ponuro.

Firkin przyłapał się na rozmyślaniu o śniętej rybie.

— Dzissssiejszy ssspecjał jessst wyjątkoffo sssmaczny unt bartzo polecany — syczał dalej Vlad, zacierając ręce.

— Och, a cóż to takiego? — dopytywał się zaśliniony Beczka.

Zgarbiona postać pochyliła się i wskazała na menu długim, szarym paznokciem palca wskazującego.

— Czy jest tego dużo? Ja i Firkin szliśmy cały dzień i jesteśmy zmęczeni, i umieram z głodu.

— F sssam razzz, żeby zassspokoić mój... eee... pańssskie potrzeby, ssssir!

— Czy właśnie to tak pachniało, kiedy wchodziliśmy?

— Bezzzsssprzetschnie! — Gdy gospodarz wypowiadał to słowo, nieznacznie drgnął mu kącik ust.

— Och, w taki razie poproszę. A ty, Firkin?

— Hmm... co? A, tak — odparł Firkin, podnosząc wzrok znad menu.

— Ffszysstko w porzątku, sssir?

— Tak, tak w porządku... jestem trochę zmęczony, to wszystko — skłamał chłopiec.

— Tfa przysssmaki zzza chfiletschkę — rzucił Vlad i skłoniwszy się lekko, zniknął bezgłośnie w kuchni, zostawiając chłopców samych.

— Ma strasznie dziwny akcent, ale wydaje się miły — powiedział głośno Beczka, starając się zagłuszyć burczenie brzucha.

— Nie jestem pewien. Z nim jest coś nie w porządku, lecz nie wiem co.

— Porusza się z gracją jak na takiego staruszka. Nie słyszałem, jak wychodził. Ani jak wchodził.

— Czemu mówisz, że jest stary?

— Cóż, jest łysy i ma tylko dwa zęby... po prostu uznałem...

— Tak, też to zauważyłem. A co sądzisz o sposobie, w jaki...

— Oto i wasssze posssiłki, panoffie. — Vlad był już z powrotem z dwoma parującymi talerzami. Ustawił je na stole, z kieszonki marynarki wydobyl sztucce i serwetki, życzył „sssmatschnego” i tyle go widziano.

Beczka porwał swoje sztucce i jął pałaszować bez opamiętania. Firkin wpa-trywał się w wybór frytek, fasoli i panierowane kulki, na które patrzył z nadzieją, że zawierają kurczaka. Wyglądało to nieźle. Nieźle też pachniało. Brzuch Firkina zabulgotał rozpaczliwie.

— Nie jesteś głodny? — wydobyło się z pełnych fasolki ust Beczki.

— Chcę, żeby trochę ostygło... ale co to w ogóle jest?

— Nie wiem. Niewątpliwie ma coś wspólnego z kurczakiem.

Firkin umierał z głodu. W brzuchu wciąż mu burczało. Z tym miejscem coś było nie w porządku, ale nie wiedział co. Sądził jednakże, że nie ma to nic wspól-nego z kotlecikami z kurczaka.

Jego widelec zachwiał się niezdecydowanie.

Miał nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z kotlecikami z kurczaka.

Żołądek wygrał. Firkin łapczywie rzucił się na jedzenie.

\* \* \*

Najbardziej uderzające w kuchni lokalu „U Włada” było to, że nie była kuchnią. Być może kiedyś nią była i może nawet jeszcze kiedyś będzie, ale w tej chwili, kiedy tuż obok Firkin i Beczka zapychali się po dziurki w nosie, pełniła zdecydowanie odmienną funkcję. Stanowiła fabrykę szybkiego żarcia.

Miejsce podgrzewania go, rzucania na talerze i ciskania na tyle stołów, przed tyle osób, ile tylko można.

Kilka minut wcześniej wślizgnął się tu Vlad, wyjął dwie porcje kurczaka z frytkami z głębokiego naczynia z tłuszczem, bezceremonialnie wetknął do urzą-

dzenia na szczycie rusztu, poczekał, aż dziwo ze szklaną szybką zrobi ping!, dorzucił na oba talerze po porcji gorącej fasolki i pognął z powrotem do restauracji.

Siedział teraz, obserwując dwóch chłopców przez maleńkie dziurki w jednym z obrazów. W oczekiwaniu na nadchodzące wydarzenia oblizał blade, poszarzałe wargi.

— Ach, jacy sssłodcy chłopcy! — szeptał do siebie — I jakie mają zzzdrowe appetiten!

Obserwował, jak Firkin przełyka ostatni kęs, po czym wstał i migiem wrócił na salę.

\* \* \*

Firkin odłożył widelec i otarł usta. Musiał przyznać, że było dobre. Wreszcie się najadł.

— Nasssze ussługi wasss zzzadowalają? — wysyczał Vlad, po raz kolejny podrywając go z miejsca.

— Było świetne! — entuzjazmował się Beczka. — Możemy teraz dostać trochę budyniu?

— Ssssir ma eine sssstrasssszliwy appetit. To wssspaniale. Taki appetit ozznacza sssmaczne... eee... zzzdrowe ciało!

Oblizał wargi. Firkin znów potarł się po kołnierzu.

— Eee... zostało mi niewiele miejsca.

— Pozzzwolę sssobie zaproponować plasssterek *Sssschwarzwald Kuchen*. Albo sssorbet cytrynowy. A może *La Mort au Chocolat*.

— Nie, dziękuję. Jestem pełny — odpowiedział Firkin.

— Oooch tak, ja poproszę!

— A tschymm pana naffascheroffać? — zapytał Beczkę, chichocząc pod nosem.

— Tym pierwszym — strzelił Beczka, nie mając bladego pojęcia, między czym wybiera.

— Bardzo dobrze, sssir, chociasch Tschokoladowy Zzzgon jessst najpopularniejssszy. Sssss sss sss! — I po raz kolejny zniknął szybko i cicho, unosząc ze sobą talerze.

— Beczka, nie wiem dlaczego, ale to miejsce mi się nie podoba. Przy starym Vladzie przechodzą mnie ciarki. Nigdy nie dojdziemy do zamku, jeśli się stąd nie ruszymy. Powinniśmy odejść stąd, gdy tylko...

— Pañssski dessser, ssssir! — krzyknął Vlad, podsuwając Beczce talerz pod nos i podejrzliwie spoglądając na Firkina.

— Tego... nie, dziękuję, musimy powoli... auuu!

Firkin kopnął Beczkę pod stołem i pokazał, żeby zachował ciszę.

— ...jeść. Powoli jeść. To miał na myśli. Niech przetrawi to, co zjadł wcześniej, zanim... eee... zanim...

— ...zjem deser — z dumą dokończył Beczka.

Firkin uśmiechnął się głupawo.

— Ffposzātu. Nie śśśśpieszcie sssię. Nigdy nie poganiam posssiłków... eee... klientów — Vlad poprawił się bardzo szybko. — Sssiedźcie, ile chcecie. Kaffe?

Firkin przytaknął w odpowiedzi, głównie żeby zapewnić sobie chwilę wytchnienia. Beczka zajął się trudnym i pracochłonnym zadaniem wchłonięcia olbrzymiego kawałka ciasta, Vlad zaś pomknął po kawę.

— Beczka, zostaw to, musimy się stąd wydostać.

— Popatrz na tę czekoladę...!

— Musimy już iść, nie podoba mi się tu.

— ...o, ma w środku czarne wisienki!

— O rany, zapomnij o ciastku! — Firkin szarpnął Beczkę za ramię.

— Oooch, jest cudowne!

— Chodź... no, chodź... och.

— Pańssska kaffe, prosssaszę. — Vlad przyniósł dwie filiżanki parującej kawy i ponownie zniknął.

Firkin z powrotem usiadł spokojnie. Nie mógł uwierzyć, że Beczka jest taki ciemny. Zostać i dokończyć deser! Czy on nie rozumie? Vlad Langschwein jest kimś więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Odruchowo sięgnął i opróżnił filiżankę.

Beczka wyszczerzył się jak idiota i szaleńczo wymachując rękami, usiłował wskazać coś w powietrzu. Po chwili wybuchnął histerycznym śmiechem.

Vlad uśmiechnął się za obrazem jak śnięta ryba. Kły błysnęły, kiedy oblizywał swe zimne, szare wargi.

Beczka pozieleniał.

— Skąd się wziął ten albatros? — Firkin czuł się wyluzowany. — Dlaczego mam słonia na nosie? — zastanawiał się. — Kto wsadził moje palce u nóg do uszu Beczki?

Wokół wszystko zaczęło wirować, i...

— O, cześć, dywan... kocham cię, dywan... błagam, nie uciekaj przede mną!

Firkin zbyt późno zorientował się, że w kawie było coś więcej niż kawa, mleko i cukier.

Kolory wokół wygasły.

Wszystko stało się czarno-białe.

Potem już tylko czarne.

\* \* \*

Rosch Mh'tonnay stał na niewielkim wzniesieniu, przepatrując wschodnią granicę Cranachanu i jednocześnie zwracając się do stojących przed nim czekających setek ludzi odzianych w grube, żółte płaszcze. Większość dzierżyła kilofy, część kliny lub wielkie młoty. Na głowach wszyscy mieli żółte kaski. Za nimi stał rząd wielkich, pustych metalowych pojemników, pomalowanych na ten sam żółty kolor. Tak prezentował się zespół mający wprowadzić w życie największy projekt inżynierski roku 1025 OG.

— W porządku, panowie — zakrzyknął Rosch, kiedy rozespiane słońce jęło wspinać się na nieboskłon. — Wszyscy wiecie, dlaczego tu jesteśmy i co mamy do zrobienia. Linia, którą widzicie przed sobą, to nasz cel. Nie mamy zbyt wiele czasu, więc chcę widzieć pot, krew i łzy. Powodzenia!

Kiedy wyciągnął z kieszeni sfatygowany gwizdek, jego ludzie unieśli narzędzia i skupili wzrok na prostej linii biegnącej równoległe do urwiska. Wszyscy słyszeli już przedtem motywacyjną przemowę Roscha Mh'tonnaya. Uważał on za swój obowiązek zwrócić się do swoich ludzi przed rozpoczęciem realizacji projektu inżynierskiego, zwłaszcza tak ważnego jak ten, największy w tym roku. Rosch wciągnął głęboko powietrze, przytknął gwizdek do ust i dmuchnął. Pierwsze uderzenie setek dzierzonych wprawnie kilofów rozdarło poranną ciszę. Roscha rozpieła radość, był ze swoich ludzi niezmiernie dumny. Zwłaszcza tego dnia. Dowodził trzystu czternastoma robotnikami wykonującymi zadanie wagi państwowej. Wrócił myślami do chwili sprzed tygodnia, kiedy wysoki, szczupły, odziany w czerń mężczyzna wpadł do jego biura. Rosch odczuł wtedy dojmujący strach, rozpoznając w gościu szefa Spraw Wewnętrznych.

Ściągnął ciężkie buciory ze stołu i wstał, dokładnie w chwili gdy Fisk, przemierzwszy nagą podłogę, schwycił krzesło i rozsiadł się na nim. Gość z niesmakiem przesunął wzrokiem po rozrzuconych na biurku inżyniera pergaminach, katalogach i poplamionych na brązowo zimną herbatą kubkach.

— Eee... tego... Witam, sir — wybełkotał Rosch. — Wpadł pan po raport o postępach Planu Ustepowania? Jest tutaj, właśnie go kończyłem i miałem zamiar dostarczyć, tego, osobiście, tego...

— To akurat oczko w głowie Patafiana. Postępy tego projektu mnie nie interesują. Interesują mnie ludzie. Potrzebuję ich.

— Sir? Nic mi o tym nie wiadomo. Myślałem, że to podłe plotki. Ma pan na myśli kogoś konkretnego? Jestem pewny, że będą zaszczytzeni pańskim, tego, zainteresowaniem.

— Co? Nie, potrzebuję ich wszystkich.

— Naraz? — Brwi inżyniera powędrowały w górę na masywnym czole.



— Oczywiście. Są przecież zespołem, czyż nie?

— Cóż, wiem, że niektórych widuje się zawsze razem, ale nie sądzę. . .

Fisk z niesmakiem obrzucił wzrokiem liczne kalendarze pokrywające ścianę za inżynierem, który cierpiał na nadwagę. Obrazki na błyszczących pergaminach przedstawiały wyuzdane, roznegliżowane kobiety, przysłonięte w zasadzie wyłącznie geodezyjnym sprzętem, z którym pozowały. Szczególnie zafascynowała go dziewczyna z poziomnicą.

— Co ty bełkoczesz?! Chcesz tę robotę czy nie?

— Robotę? Myślałem, że. . . no. . . Robotę. Tak.

Źrenice Roscha rozszerzyły się, kiedy Fisk rozwinął mapę wschodniej granicy Cranachanu, a następnie wręczył mu zezwolenie z podpisem samego króla Grimzyna. Poszerzyły się jeszcze bardziej, gdy wysłuchał szczegółowych planów projektu.

— . . . i musi to być ukończone w przeciągu dwóch miesięcy. Dacie radę? — zakończył Fisk.

— Ba! To sporo pracy. Nie da się bez większej liczby ludzi.

— Powtarzam: dacie radę?

— Musiałbym przenieść robotników z prac nad Ustepowianiem.

— I wtedy dacie radę?

— Sądzę, że tak. Dobra, proszę zostawić to mnie.

— Doskonale! — Fisk zatarł głośno rękawice. — A, Mh'tonnay — dodał tonem pogrożki — chyba nie muszę ci mówić, że w naszej pogawędce poruszaliśmy sprawy natury. . . hmm. . . bardzo delikatnej. Jeżeli będą przecieki, osobiście dopilnuję, żeby odnaleziono cię na dnie głębokiego, mrocznego wykopu. Tragiczny wypadek, rozumiesz. Czy wyrażam się jasno?

— Jak słońce, sir, jak słońce — potwierdził Rosch, przełykając ślinę.

— Oczekuję szybkiego rozpoczęcia robót.

Obaj wstali, po czym Fisk zniknął tak szybko, jak się pojawił. Rosch Mh'tonnay spojrzał głupkowato na swoją wyciągniętą dłoń, której Fisk nie uściśnął, i siadł ciężko z powrotem i potarł czoło.

\* \* \*

W oddali ktoś urządził koncert kocie muzyki na największej parze koncertowych kotłów, jakie można sobie wyobrazić. Jego wielkie, lśniące od wysiłku ramiona uderzały rytmicznie, odgrywając druzgoczącą zmysły solówkę. Można było odnieść niepokojące wrażenie, że jest coraz bliżej.

Niebo pełne ciężkich chmur burzowych ciskało i pomiało parą średniej wielkości lodowców w poruszającej niebo i ziemię partii pozbawionego reguł rugby. Były coraz bliżej. Pangea, Gondwana i kilka innych niewielkich kontynentów skakało, jakby ktoś grał nimi w pchełki. Też się zbliżały.

W każdym razie tak wydawało się leżącemu z mocno zaciśniętymi powiekami Firkinowi, który miał nadzieję, że to tylko zły sen, i modlił się, by skończył się jak najszybciej.

Kiedy otworzył jedno oko, do tłumu zjawisk sejsmicznych dołączyły liczne małe trzęsienia ziemi. Kilka tysięcy wściekłych, dzikich antylop walczyło o pierwszeństwo w szalonym biegu przez zaduch w jego głowie. Czym sobie na to zasłużyłem? — zastanawiał się, kiedy przemknęła gromada zebr. Leżał na boku i łkał, mając nadzieję, że wściekłe stworzenia w końcu się uspokoją. Czemu czuje się jak coś, co ciągnęły hieny? Iskierki wspomnień przedzierały się przez ciemną masę zamroczenia. Coś związanego z kotlecikami z kurczaka, kawą i chatką z piernika. No i, rzecz jasna... Vladem Langschweinem.

— *Guten Morgen*, panoffie. Pschymjemnie sssię ssspało? — spytała oddalona od twarzy Firkina zaledwie o kilka cali łyśa głowa. Uśmiechając się chłodno i świszcząc oddechem wydobywającym się spomiędzy dwóch ostrych kłów, zapytała: — Śśśśśniadanko?

— Ussssggrnttlbleurgh! — brzmiała najlepsza odpowiedź, na jaką stać było Firkina.

— Wrótę tu za chfilę.

— Uurgh.

Głowa odwróciła się i usunęła z pola widzenia.

Firkin usłyszał szcęk klucza w metalowych drzwiach. Nic w tym dziwnego, że usłyszał — dla Firkina brzmiał, jakby odegrano go sześćsetkilowatowym wzmacniaczem ustawionym na maksimum.

Z trudem dotarło do niego, że zabójczy ból głowy może mieć coś wspólnego z chatką z piernika i Vladem Langschweinem, i że przyszłość nie maluje się w zbyt różowych kolorach.

O jeden nadludzki wysiłek i kilka stad dzikich, spanikowanych zwierząt później Firkin usiadł i otumaniony rozejrzał się dookoła.

Beczka wciąż spał na łóżku w drugim końcu pokoju. Poza dwoma łózkami w pomieszczeniu właściwie nie było niczego, ale nie sprawiało ono szczególnie nieprzyjemnego wrażenia. Z wyjątkiem być może żelaznych sztab w oknach i wielkich pancernych drzwi. Pod jedną ze ścian stał kredens, na którym Firkin zauważył ich torby.

Nagle na niebywale niskim horyzoncie umysłowym Firkina pojawiło się małe, lecz istotne pytanie. Było bardzo proste, a jednak uderzyło go niczym kilka błyskawic. Brzmiało: „Co my tu robimy?”. Nie miało nic wspólnego z filozoficznym i skomplikowanym wydaniem pytania „Co my tu robimy?”, było bardziej w ro-

dzaju „Dlaczego Jesteśmy Trzymani w Małym Pokoiku Małej Chatki w Lesie Przez Łysego Faceta z Dwoma Zębami i Dziwnym Akcentem?”.

Firkin z przerażeniem skonstatował, że zaczyna podejrzewać dlaczego, ale nie chciał w to uwierzyć. Nie chciał nawet o tym myśleć.

Chwilę później nieludzki jęk obwieścił zmagania Beczki z rygorami i wymogami przytomności. Wyraz jego twarzy przekonał Firkina, że nie tylko on otrzymał chemiczne środki odurzające. Beczkę bolała głowa.

Firkinowi zaczynało przechodzić. Był już trochę mniej nieżywy.

— Kto gra na tych kotłach? — wymruczał Beczka.

— Twoja głowa — odszepnął Firkin.

— Co... auu, nie drzyj się tak!

— Ja szepczę.

— Jasne... a kto trzyma megafon? Okropnie się czuję.

— Wiem. Podano nam narkotyki i teraz jesteśmy uwięzieni.

— Co? Och, Firkin, to jeden z twoich wygłupów, prawda? Prawda? Powiedz mi, że tak. Powiedz, proszę.

— Nie, to nie wygłup.

— Och. Bleaurgh... .

— *Guten Morgen*, panoffie. Śśśśniadanko, ja?

— Nie — powiedział Beczka

— Tschemu nie?

— Nie chcę kolejnej dawki tego, cokolwiek-to-było.

— Jusch nie potschebujecie, mam vas tu — odparł Wład od niechcienia. — Śśśśniadanko?

— Nie jestem głodny. Idź sobie.

— Sssspozyj cośśś. Posmakujesssz... eee... poczujesssz się lepiej. Pyssszne Śśśśniadanko, mniām, mniām.

Wład wepchnął tacę przez otwór w drzwiach i odszedł.

Leżało na podłodze i wpatrywało się w nich. Śniadania, które jadali w przeszłości, były nędznymi przekąskami w porównaniu z tą ucztą. Angielskie śniadanie w całej swej okazałości: bekon, jajka, kiełbaski, fasolka, czarny pudding, grzyby, grzanki i tak dalej. To śniadanie zawierało to wszystko — i więcej. Dużo, dużo więcej. Góry jedzenia, idealnie przyrządzonego, niemal niecierpliwie wyczekującego, kiedy chłopcy w końcu zatopią w nim swoje sztucce i pożrą je.

W cudowny sposób oba śniadania zdawały się wołać: „Zjedz mnie, ugryź mnie, pożyj mnie! Poczujesz się lepiej, kiedy zjesz plasterek. Przyrządzono mnie specjalnie dla ciebie i od lat moim marzeniem było, żebyś to ty, właśnie ty, mnie zjadł. Jestem właśnie takie, jakiego pragniesz. Kiedy mnie zjesz, będę zachwycone tak bardzo jak ty, znając ogrom danej ci przyjemności. Dalej więc, weź kęs”.

To było dla nich zbyt wiele. Ulegli pokusie i wbrew swej woli pałaszowali, aż trzęsły im się uszy. Każdy kęs był lepszy od poprzedniego i każdy zdawał się powodować cichy jęk zachwytu w śniadaniu (najlepiej wychodziło to kiełbaskom).

Plastry bekonu niemal wskakiwały im do gąb, fasolki zaś formowały się w grupy rozmiarów widelca, ciesząc się niebywale podczas wędrówki do ust. Gdy zakończyli główną część śniadania, swoją obecność zademonstrowały tosty i marmolada. Co ciekawe, wszystkie tosty były gorące.

Szybko skończyli i syci wrócili na łóżka. Firkin był zdziwiony ilością skonsuowanego przez siebie jedzenia, zwłaszcza że nie był wcześniej głodny.

\* \* \*

Pewnego wyjątkowo nijakiego ranka w roku 1025 OG słońce wstało w Górach Talpejskich przy akompaniamencie gwizdka i uderzeń trzystu czternastu inżynierów. Bezlitośnie wyrwani ze snu mieszkańcy Middin, zaciekawieni do granic wytrzymałości, z trudem wygrzebywali się na światło poranka, aby dowiedzieć się, co też się tam, u diabła ciężkiego, wyrabia.

Poszukiwacz spojrział na podkreśloną światłem linię urwiska i podrapał się po głowie. Na klifie krzątała się masa żółtych ludzików, którzy pracowicie walczyli młotami i kilofami.

Wieśniacy obserwowali malutkich mieszkańców Cranachanu pracujących nad ich głowami ze spokojnym, niemal akademickim zainteresowaniem. Wkrótce, gdy okazało się to niezbyt emocjonujące i zaczął dawać o sobie znać ból karku, odeszli jeden za drugim zająć się swymi zwykłymi, dziennymi sprawami. Kilku mruknięto coś o zdrowiu psychicznym Cranachan, inni zaś uznali, że są oni po swojej stronie granicy i dopóki nie szkodzą ludziom po jej drugiej stronie, mogą robić, co im się żywnie podoba. Poza tym, jak mogłoby nam zaszkodzić intensywne kopanie na górze tamtego klifu? To pewnie jakieś wykopaliska, czy coś w tym rodzaju.

Poszukiwacz, obarczony gigantycznym brakiem zaufania do czegokowiek związanego z Cranachanami, odnosił się do tych teorii krytycznie.

Wpatrywał się w brzeg klifu i starał się stwierdzić, o co chodzi tym razem.

\* \* \*

„Mój sokole chmuurnooki...” — śpiewała Cukinia radośnie, podskokami zmierzając w stronę studni. Jej długie włosy spływały w dół ramion puszystymi rudymi kaskadami. Były piękne, rude, o odcieniu, za który nie jedna wiewiórka dałaby się powiesić.

Wstał piękny poranek i trawę wciąż pokrywały srebrne perełki rosy. Tu i ówdzie języki mgły kładły się w zagłębieniach ziemi.

Ojciec pewnego razu opowiedział jej, że są to leniwe chmury, które jeszcze nie wstały. Rzecz jasna, nie uwierzyła mu, ale spodobał jej się pomysł. Bawiła ją myśl o chmurach układających się w zagłębieniach, umieszczających sztuczne szczęki w słoikach lub ustawiających budzik i w końcu zasypiających. Ponosiła ją wybujała fantazja. Czy chmury śnią? Czy chrapią? Co się dzieje, kiedy nadchodzi mróz? Śmiała się i powtarzała sobie, że jest głupiutka.

Miała rację.

Zauważywszy drzewo z wyciętym w korze znakiem, Cukinia zeszła ze ścieżki i ruszyła w stronę studni. Jej gołe stopy były mokre od rosy na trawie, łaskotało ją w palcach nóg. Uwielbiała biegać i skakać po lesie, czuła wtedy, że żyje i jest wolna. Wołała las od wnętrza zamku — mrocznego, zimnego i pustego. Kruk zakrakał gdzieś nad jej głową. Zatrzymała się, żeby posłuchać. Czyste powietrze przyniosło odpowiedź drugiego ptaka. Pochyliła się, zerwała sporego grzyba i pobiegła dalej, radośnie wymachując wiadrem. Przeskoczyła nad kłodą, obiegła wielkie drzewo i wkrótce znalazła się przy studni.

Osoba odpowiedzialna za jej budowę bez wątpienia znała się na architekturze klasycznych ogrodów. Ta studnia była właśnie taka, jaka studnia być powinna. Niska, okrągła, wykonana z materiałów naturalnych, pokryta zielonymi i żółtymi porostami. Miała nawet mały, szpiczasty, łupkowy dach. Cukinia przerzuciła wiadro przez krawędź studni i puściła je, a następnie czekając na plusk, obserwowała kręcącą się coraz szybciej i szybciej korbę. Zawsze trwało to dłużej, niż oczekiwała. Krótki plusk poprzedzał długie echo wspinające się po ściankach studni. Chwyciła korbę i zaczęła kręcić. Tym razem wiadro odbyło długą drogę w górę. Wyciągała je cal po calu, aż pojawiło się nad krawędzią i mogła zarzucić je na murek.

Dyszając ciężko z wysiłku, napiła się i wlała wodę do własnego wiadra. Potarła czoło wierzchem dłoni i zawróciła do zamku, zatrzymując się tylko raz, by napełnić kieszenie świeżymi grzybami.

\* \* \*

- Beczka, tak się zastanawiam — powiedział Firkin.
- Hmm? Co?
- Pamiętasz, co sobie pomyślałeś, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy tę chatkę?
- Hmm... Pomyślałem, że nie może być prawdziwa, że pochodzi z bajki.
- I tak właśnie jest. Pamiętasz tę bajkę?
- No, to było coś o dwójce zgubionych w lesie dzieci, które zła macocha zostawiła, żeby umarły z głodu, a które znalazły chatkę z piernika, a potem złapała je Baba-Jaga... coś takiego.
- Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Co się stało z dziećmi?
- Odpłynęły na kaczce!
- Nie... po co były potrzebne Babie- Jadze?
- A, o to ci chodzi. Czemu nie powiesz od razu. Chciała je zjeść... — Umilkł, blednąc na twarzy. — O rany, Firkin, czy myślisz, że... Nie... — Potrząsnął głową. W oczach pojawił mu się błagalny wyraz.
- A potrafisz wytłumaczyć to śniadanie? Byłeś głodny, zanim je nam podał? Ja nie, a zjadłem więcej, niż normalnie dałbym radę w tydzień!
- ...niby tak, ale...
- ...no i popatrz na drzwi...
- Beczka musiał przyznać, że były nieco zbyt dobrze zabezpieczone jak na pokój gościnny. Nawet jak na pokój w hotelu o najwyższym standardzie bezpieczeństwa...
- O nie... co my zrobimy, co my zrobimy, musimy się stąd wydostać, ja nie chcę być zje-zje-zje...
- Nie mów tego. To się nie wydarzy. Jesteśmy bohaterami. To się nie może tak skończyć, a poza tym... — Umilkł.
- Co?
- ...nie wiem. Pomyślałem po prostu, że jeżeli będę wystarczająco długo mówił, przyjdzie mi jakiś pomysł.
- Aha.
- Zapadła cisza, obaj przyjaciele pogrążyli się we własnych myślach.
- Beczka był bliski paniki. Oczy mu zwilgotniały. Perspektywa bycia zjedzonym sama w sobie była wystarczająco przerażająca, ale być zjedzonym przez kogoś tak odpychającego... i do tego cudzoziemca! Brrr! Musiał stąd uciec — ale jak?
- Rozejrzał się po komórce. Na drzwiach i w oknach tkwiły sztaby. Wchodząc do środka, nie zauważyli sztab. Beczka poczuł się głupi i nieszczęśliwy. Powinni

byli zauważyć sztaby na chatce z piernika. Więzienie z piernika... To było to! Więzienie z piernika było zrobione z... piernika! Mieli szansę uciec, a Beczka znał sposób.

— Mam, mam, mam! — zakrzyknął, z furią drapiąc po ścianach.

— Uspokój się... co masz?

— Odpowiedź. Możemy uciec — wybełkotał, nadal szaleńczo szorując paznokciami po ścianach.

— Jak?

— ...Pier-pier-pier...

— Co?

— ...pier-pier...

Firkin spojrzał na powiększający się stos piernikowych okruchów u swoich stóp.

— Piernik jest jadalny! — krzyknął. — Możemy wyjść sobie wyjście. Hurra!

Doskoczył do ściany i jął rwać i gryźć.

Nie mógł w to uwierzyć. Beczka miał rację. Ich ręce tonęły w ścianach, z których zapamiętale wyrywali wielkie bloki piernika. Przez co twardsze fragmenty przegryzali się i już po kilku minutach przed nimi znajdowała się głęboka dziura, a za nimi spory stos okruchów.

— Ha, to przecież oczywiste! Powinniśmy byli wpaść na to wcześniej — entuzjastycznie zauważył Beczka.

— Jasne. Jeśli utrzymamy tempo, za chwilę będziemy na zewnątrz!

— Hi, hi. Auu... ten kawałek tu jest naprawdę twardy.

— Tak, ja też mam ciężki piernik do zgryzienia.

Kontynuowali pracę, lecz spod grubej, miękkiej warstwy piernika stopniowo wyłaniała się normalna kamienna ściana, przez którą żadnym cudem nie udałoby im się przegryźć. Firkin pożałował, że nie urodził się z betonowymi wypełnieniami.

Beczka nie mógł uwierzyć własnym oczom. O mały włos jego plan odniósłby sukces. Rzucił się na łóżko i załkał rozpaczliwie.

— Jesteśmy uwięzieni, je... je... jesteśmy uwięzieni i zo... zo... zostaniemy zje... zjee... zjee... buhuhuu! — Wtulił twarz w poduszkę i zaniósł się płaczem.

\* \* \*

W innej części chatki Vlad pisał donos na małym skrawku pergaminu. Miał on wymiary w sam raz pasujące do tuby, mającej wymiary w sam raz pasujące do

nogi jednego z gołębi pocztowych Vlada. Wiedział, że już wcześniej powinien był donieść o schwytaniu chłopców; od początku podejrzewał, że zmierzają do zamku Rhyngill, a o tym mówiły rozkazy. Ale w tej części lasu przez kilka ostatnich lat panował taki spokój, że Vlad zatęsknił za towarzystwem. Praca nie zajmowała go tak bardzo, jak by mogła. Jaki był sens zostania donosicielem Snydewindera, jeśli nie było o czym donosić? Lordowi kanclerzowi nie zrobi szczególnej różnicy, jeśli wiadomość będzie spóźniona o kilka dni, myślał Vlad. Schwytałem ich. Donikąd się nie wybierają.

Odłożył pióro i ruszył zobaczyć, co u więźniów.

\* \* \*

— O, hej. Już jesteś? — Val Jambon pogłaskał córkę po główce, gdy stawiała wiadro koło zlewu. Na kamiennych płytkach kuchennej podłogi ciągnął się ciąg małych, mokrych śladów stóp i gdzieś tam kałuż, wychlapanych podczas zmagania Cukinii z wiadrem.

— Popatrz, co mam! — pisnęła, wiedząc, jak bardzo jej ojciec lubi grzyby.

— Grzyby! — Kucharz skrzywił się nieznacznie. Więcej cholernych grzybów, pomyślał. Każdego cholernego dnia przynosi mi te nieszczęsne grzyby.

Wyładowała zawartość kieszeni na spory dębowy stół i cofnęła się z dumą.

Sprawy, pomyślał Val, zaszły za daleko.

— Dziękuję ci, Cukinio. To bardzo miłe. Posłuchaj, czy... eee... w lesie rośnie coś innego?

— Tak. Mnóstwo rzeczy.

— Tak właśnie myślałem. Dlaczego w takim razie zawsze przynosisz grzyby?

— Lubisz je — odparła i uśmiechnęła się słodko jak spaniel w Walentynki.

— Coś ci pokażę — powiedział Val, odwracając się i otwierając kredens. Stos okrągłych, szarych grzybów wysypał się na podłogę i legł u jego stóp. Z twarzy dziewczynki zniknął uśmiech.

— Naprawdę lubię grzyby — kontynuował Val, występując z białawego kręgu leżących u jego stóp grzybów. — Ale nie tak dużo, nie codziennie. Jutro przynieś mi coś innego, dobrze?

Cukinia żałośnie pociągnęła nosem, wpatrując się w grzyby.

Na wszelki wypadek nie powiem jej o czternastu szafkach i sześciu kredensach pełnych cholernych rzeczy, których naniósła do zamku, pomyślał Val. Złamałbym jej serce. Któregoś dnia zmądrzeje. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Val Jambon był bardzo otwartym i kochającym człowiekiem. Bez trudu mógłby być ulubionym wujkiem każdego. Jego poglądy na życie były zadziwiająco



dziecinne i nigdy nie nauczył się żywić do kogoś urazy. Jego motto brzmiało: „Prawdziwych przyjaciół poznaje się przy obiedzie”. Niemal całe swoje życie poświęcił gotowaniu w różnych jego odmianach. Spędził lata na nauce sztuki obróbki żywności, tworzeniu deserów i planowania menu, tak że teraz nie znalazłoby się wielu rzeczy, których nie potrafiłby gotować, dusić, smażyć, piec albo wędzić w sposób doskonały. Jego ulubionymi daniami były słodkie, lepkie ciastka i puddingi. Na całe szczęście podobnie kształtowały się preferencje króla.

Val, wręczwszy Cukinii kawałek ciasta z jabłkami, zniknął w odległym kącie kuchni, przegrzebując rozmaite szuflady, podczas gdy w garnkach na opalonym węglem piecu wrzało, a w piekarnikach się piekło. Nieobecna duchem Cukinia żuła ciasto, rozmyślając prawdopodobnie o różowych króliczkach lub czymś w tym rodzaju.

W tym samym czasie wysoko ponad nimi, daleko w innej części zamku, pewna ręka chwyciła za sznurek od dzwonka i pociągnęła go. Czerwony sznurek naprężył się, przesyłając pionowy ruch szarpnięcia przez kilka bloczków i kilkaset jardów, a następnie przemieniając go w poziome brzęczenie dzwonka w kuchni. Val spojrział nań, następnie przeniósł wzrok na zegar, by w końcu zatrzymać go na Cukinii.

— Śniadanie dla *le Grand Fromage*, jak sądzę. — Wstał, w pośpiechu przygotował tacę i wyruszył w długą trasę do komnaty sypialnianej króla.

Różowe króliczki Cukinii baraszkowały na małych, zielonych łączkach jej umysłu.

\* \* \*

Kiedy Firkin wyczuł za sobą oddech, włosy na jego karku gwałtownie stanęły dęba.

— Cośś sssię ssstało?

Firkin odwrócił się i stanął oko w oko (blade i wodniste) z Vladem Langschweinem, zagląającym do środka przez przerwę między sztabami.

— Nie, wydaje mi się, że to normalna reakcja na bycie tak długo pod kluczem, prawda? — spytał zdenerwowany Firkin.

— Żadna z moich popschednich ofi... żaden z moich gośśści nie dośświadt-schył takiego wssstrząssu. Żaden tesch nie próbował zjesśść śśścian. Jesssteśśście głodni?

— Nie. Nie dawaj nam już więcej jedzenia.

— Będę musssiał naprafiać te śśściany, kiedy odejdziecie.

— Dlaczego masz ściany z piernika?

— Żeby iluzzzja była pełniejssza — pochwalił się Vlad. — Każdy ma wspomnienia z dziecińsstfa, każdemu die Mutter opowiadała o zzzamkach unt chatkach w lesssie. Tschy wesssszlibyśście tu, gdyby śściany były z kamienia? W pułapce na mysssszy niezbędny jessst ssser, ja?

Firkin czuł się pokonany.

— A teraz nadsszedł czasss na przekąsskę!

— Nie rozumiem. Czemu nas karmisz?

— Jak na mój gussst jesssteś żździepko zzza schtschupły.

— Słyszałem o takich jak ty. Ty pijesz, a nie jesz! Jesteś wampirem!

— Ależżż prosszę, to brzmi tak wulgharnie, nie używaj tego słoffa! Jessst obrażżżliwe i zawsstydające. Kojaschy mi sssię z komarami i pijaffkami! Tffu!

— Splunął. — Nie miessszajcie mnie z tymi ssszkodnikami!

— Czemu nas karmisz? Potrzebujesz tylko naszej krwi!

— Cóż, mam dosssyć obiaduff f płynie, zzznużyłem sssię zzzwykhłym od-  
zyffianiem. Nie zrozumcie mnie źle — dodał zaskakująco gawędziarskim tonem.  
— Lubię eine gute wyżerka jak każdy. Trudno zwalczyć pokussę uffiedzenia  
nieffinnej kobiety za pomotzą hipnozzy — podniecenie podczasss zbliżania sssię  
do nagiej ssszyi błyszczącej w śśświelte kssienżica i ffreszcie eksstaza ukąss-  
szenia. . . Ale po pierwszych kilkussset razach znika posssmak nowośści. Pró-  
bowałem od tyłu, unt z kobietą na górze, unt nawet na tylnym sssiedzeniu wozzu,  
ale w końcu to tylko sssanie, sssanie, ssslurp.

Oczy obu przyjaciół otwierały się szerzej i szerzej w przerażeniu i odrazie.

— Potrzebowałem czegośś więcej — ciągnął Vlad. — Tak fięc przebudowa-  
łem tę sstarą chatkę i zacząłem wabić do niej małe kinder. Ssszybko zasssmako-  
wałem w czymśś. . . ahemm. . . konkretnym.

Beczka zaczął się trząść. Jego usta zamykały się i otwierały, bezgłośnie po-  
wtarzając: Nie, nie, nie, nie.

— Mam teraz sssporą ksssiążkę kucharską.

W szeroko otwartych oczach Beczki czało się najgłębsze przerażenie.

Vlad zaczął się ślinić, więc przeciągnął małym, szarym językiem po war-  
gach.

— Ale wy dffaj nie jesssteście jessszcze gotoffi! — dodał.

Nie można powiedzieć, żeby wypowiedź ta szczególnie podniosła Firkina na  
duchu.

Wraz ze wzrostem podniecenia oczy Vlada stawały się coraz zimniejsze.

— Jessszcze zjecie. Czasss na przekąsskę mit herbatę unt ciasstken. Ssss,  
ssss, ssss. — Odwrócił się i odszedł.

Firkinowi zrobiło się niedobrze. Dotychczas tylko dopuszczał myśl, że Vlad  
może być wampirem, ale teraz kiedy usłyszał. . . kiedy usłyszał, że to prawda. . .  
że ten potwór ma zamiar ich zjeść. . . Wzdrygnął się.

Nie minęła minuta, kiedy Vlad wrócił, wołając:

— Teraz będziecie jeść! — Wepchnął przez otwór tacę i ponownie zostawił chłopców samych.

Firkin nie mógł w to uwierzyć. Pomimo uczucia sytości i tego, że napchał się zaledwie kilka godzin wcześniej, wpatrywał się w tacę nikoną pod naporem tłuczonych, naładowanych kaloriami ciastek i nie mógł powstrzymać się przed ich zjedzeniem. Beczka podniósł wzrok na przekąskę i także momentalnie poczuł głód. W ciągu kilku minut jedzenie znikło, talerze były czyste, a brzuchy chłopców pełne.

Po zjedzeniu posiłku i wypróbowaniu pomysłu Beczki nie mieli już nic do roboty.

Położyli się na łóżkach i wpatrywali w sufit. Beczka był przygnębiony, Firkin zaś — niespokojny. Musiało istnieć jakieś wyjście. Trzeba działać. Jego głowa pracowała lepiej, kiedy mógł się czymś bawić. Podeszedł do kredensu, pogrzebał w swojej torbie i po kilku sekundach wyjął małe, prostokątne pudełko kart.

Zmusił się do bycia pogodnym. W każdym razie przynajmniej próbowania bycia pogodnym.

— Partyjkę, Beczka?

— Co!? Jak możesz w ogóle myśleć o grach w takim momencie?

— Uspokój się. Co innego nam pozostaje?... A poza tym...

— Co?

— ...to pomaga mi w myśleniu.

Firkin otworzył pudełko, wyciągnął karty i przetasował je. Następnie podał talię Beczce, który, początkowo niechętnie, zabrał się do rozdawania.

Po kilku rozgrywkach uspokoili się trochę, i wkrótce usłyszeć można było tylko łagodny szmer rozdawanych kart i okazjonalne „wygrałem” albo „ja biję”.

Dźwięk rozniósł się przez szparę w drzwiach po całej chacie i w końcu, niczym aromat jednego z serwowanych tu dań, dotarł do Vlady. Narastała w nim ciekawość. Znał ten dźwięk, choć po raz ostatni słyszał go bardzo dawno. Rozpoznał go, zbliżywszy się do drzwi.

— Karty — szepnął. — Oni grają w karty!

Vlad uwielbiał karty. Od ostatniego razu, gdy robił nimi coś innego niż stawianie pasjansów, minęło więcej czasu, niż odważyłby się pomyśleć, ale teraz miał na miejscu dwóch przeciwników, tylko czekających na to, by ich ograł. Przeciwników, którzy w dodatku uważali go za osobnika ujmującego — co prawda w sensie dalekim od ogólnie przyjętego. Pogratulował sobie niewysłania wiadomości do Snydewindera. Karty były ważniejsze.

— O keih — zdecydował. — Zagram sssobie zzz tymi dffoma! Ssss, ssss, sss.

Spojrzał na grających chłopców i poczuł dreszcz emocji. Karty. Gra w karty. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Firkin odwrócił się i odezwał, kompletnie nad sobą nie panując:

- Czego tu chcesz?! Wynocha!
- Wy, wy gracie w karty? — Vlad zatarł zimne, błękitne dłonie.
- Trafne spostrzeżenie — zabrzmiała sarkastyczna odpowiedź.
- Mogę się przyłączyć?
- Co? Trzeba przyznać, że masz tupet!
- Mogę się przyłączyć? — powtórzył Vlad uprzejmie.

Spojrzał na siedzącego z rozdziawionymi ustami Beczkę. Oczy wampira, o ile to możliwe, wyglądały na jeszcze zimniejsze i bledsze niż kiedykolwiek. Twarz chłopca przybrała beznamiętny wyraz; ramiona mu obwisły, zdawał się tracić kontakt ze światem zewnętrznym.

— Doprawdy, doceniłbym, gdybyśście dopuścili mnie do gry — wyszeptał Vlad, wpatrując się hipnotycznie w oczy Beczki.

— Tak... proszę... dołącz... do... nas... — powiedział ten monotonnym, wypranym z wszelkich emocji głosem.

— Śśliczne dzięki.

Vlad usiadł, wziął karty i zaczął rozdawać. Beczka rozejrzał się wokół siebie zdezorientowany i potrząsnął głową. Zdawał się zaskoczony obecnością Vlada.

Firkin był wściekły, ale nijak nie mógł powstrzymać naruszenia porządku ich gry.

Wampir uśmiechnął się lodowatym, szarym uśmiechem i powoli przetasował niewielką talię.

\* \* \*

Powróciwszy do roku 1025 OG, stwierdzimy, że życie w małej wiosce, w małej dolince biegło bez większych ekscesów. Mieszkańcy Middin łatwiej wpadali w irytację z powodu bezustannego huk i łomotu powodowanego o każdej porze dnia przez cranachańskich inżynierów. Z początku większość mieszkańców przynajmniej zauważała roboty na klifie. W końcu o tej porze roku nie było wiele więcej do roboty, trwało oczekiwanie na nadejście lemingów. Jednakże stopniowo, w związku z brakiem widocznych z dnia na dzień postępów, ciekawość zmniejszała się, przechodząc w poirytowanie, a nieco później we frustrację i gniew na ciągły, bezlitosny hałas.

Narodziło się kilka teorii mających wyjaśnić, co się dzieje, jednak wszystkie zostały uznane za nieprawdopodobne. Najbardziej popularna głosiła, że coś się wydobywa, ale Poszukiwacz wiedział lepiej niż wszyscy mieszkańcy wioski razem wzięci, że w tych górach nie ma niczego cennego, czym warto by się zainteresować. W każdym razie żadnego minerału.

Był to kolejny wczesny wieczór w Middin, podczas którego Poszukiwacz zasiadł przed swoją chatą z drinkiem w rękę i wpatrywał się w zabarwione na żółto, teraz już nieco niższe urwisko klifu.

— Chyba powinienem się upewnić, że moje noże są wystarczająco naostrzone na nadchodzący sezon — powiedział do siebie i pociągnął kolejny łyk Zakręconego Leminga. — Wezmę Wyllfa do pomocy, jeśli nie jest zajęty w swoim ogrodzie. Nie wiem, dlaczego tak się tym przejmuje. Mech, mech, jeszcze raz mech i ból pleców: tyle z tego ma. — Wziął jeszcze jeden długi, leniwy łyk i ponownie spojrzął w górę.

— Ci cholerni robotnicy to prawdziwe utrapienie. Jeśli się nie pośpieszą i nadal będą robić tyle hałasu, lemingi nie przyjdą.

Nagle mocno zacisnął dłoń na szklance.

Kolejne obrazy następowały szybko po sobie w jego myślach. Pergamin z ultimatum od króla Cranachanu. Noc z wicekapitanem Barakiem. Myśli cofnęły się jeszcze dalej. Tajemnicza, czarna postać z sekstansem. A teraz te prace na klifie. . .

Czuł, że wszystkie fakty łączą się z sobą, myślał o tym już wcześniej. Była to myśl z rodzaju tych, które gnieźdzą się gdzieś z tyłu głowy i za nic nie chcą sobie pójść. Coś jak swędzenie w niedostępnym miejscu między łopatkami. Tkwiła niczym drzazga w jego mózgu, drapiąc i irytując — ale teraz wiedział już dlaczego.

Przymknął powieki i wpatrzył się w wizję przepływającą przed oczyma jego duszy. Skoncentrował się. Zwolnił uścisk, szklanka wysunęła mu się z ręki i rozbiła na skałach. Nie zwrócił na to uwagi. Jego ręce rozpostarły w myślach wielką mapę, której jął się uważnie przyglądać. Przed oczami ukazały mu się znajome kontury gór, lasów na południowych nizinach, rzek, strumyków. Była tam też, na pierwszy rzut oka niemal niezauważalna, czarna kropkowana linia, która pokrywała się dokładnie z ciemnobrązową linią obrysowującą krawędź urwiska.

Postawił w myślach ostatnią kreskę, rysunek był kompletny.

Wstał i pobiegł do chaty, przeklinając energicznie własną głupotę. Czemuż wcześniej nie przyszło mu to do głowy?

Czy było już za późno?

Musiał działać.

Szybko.

\* \* \*

Rozdając karty wśród siedzących na podłodze, Vlad czuł dreszczyk emocji. Opuszki jego zimnych, szarych palców przesuwwały się pieszczotliwie po gładkiej, błyszczącej powierzchni kart. Zbliżające się konsumpcyjne przeznaczenie chłop-

ców zostało chwilowo zawieszono, ich status wzrósł do poziomu wymagających przeciwników. Oczywiście, łatwo mógł z powrotem wrócić do poziomu „obiadu”. Przyjaciele musieli po prostu właściwie rozegrać partię.

Vlad skończył rozdanie i podniósł wzrok na chłopców. Uśmiechnął się niczym śnięty od miesiąca morszczuk, odwrócił karty i z niedowierzaniem obejrzał, jakie dostał. Beczka, posegregowawszy własne karty, kręcił się nerwowo. Vlad potarł oczy i ponownie zmierzył wzrokiem zgrabny wachlarzyk w swej dłoni.

Podczas licznych podróży widział wiele wariacji na temat pików, kar, trefli i swoich ulubionych kierów, ale te karty stały w jawnej niezgodzie z tradycyjnym wyglądem talii. Nie było w niej asów, króli, dam ani waletów. Na obrazkach widniały, pokrywając całą powierzchnię kart, wizerunki najrozmaitszych dziwnych stworzeń.

— Co to sssą za karty!?! — oburzył się. — Ja chcę grać w karty!

— To są karty.

— Nieprawdziwe karty. Niczego nie rozzpoznaję!

— Chodzi ci o to, że jeszcze nigdy takimi nie grałeś?

— Ja. To właśśnie powiedziałem.

Beczka przystąpił do wyjaśniania Vladowi, najlepiej jak potrafił, zawłości gry. Firkin słuchał jednym uchem, starając się uchwycić zawieszony gdzieś na czubku któregoś z jego połączeń synaptycznych pomysł.

Po kilku minutach byli gotowi do gry. Szło im powoli, ponieważ Vlad starał się wykorzystać wszystko, o czym opowiedział mu Beczka. Jak było do przewidzenia, przegrał. Nie szło mu tak, jak sobie zaplanował, ale mimo to rozdał ponownie, zdecydowany tym razem wygrać.

— Ja, straschna dziecinada — pocieszał się — ale pschynajmniej to karty.

Myśli Firkina krążyły wokół innych tematów, przegrał więc kolejne rozdanie. Trzecie toczyło się przy akompaniamencie podenerwowanego mruczenia Vlada. Chłopcy uchwycili z niego:

— ...zzzłe karty... — i — ...bezzzssensssowna gra... bezzzssensssowna... . . .

Beczka pisnął z zachwytem, kiedy schwyciłszy kartę ze stosiku, obwieścił kolejne zwycięstwo. Vlad zaklął trochę głośniej.

Nagle pomysł Firkina zupełnie się wyklarował. Dokładnie wiedział, co powinni zrobić. Wziął karty i zaczął rozdawać. Usiłując opanować emocje, uczył przepływający przez jego ciało zastrzyk adrenaliny.

— Jeszcze jedna partyjka? — spytał cicho, tylko odrobinę drżącym głosem.

Karty były rozdane, zanim Vlad w ogóle zdał sobie sprawę, że miał możliwość odmówić. Podniósł je i ponownie jął mamrotać pod nosem. Gra rozpoczęła się. Vladowi, obytemu już z postaciami, szło dobrze. Tak w każdym razie sądził. Do zwycięstwa brakowało mu tylko Pasterza Murriona. Jednej karty. Pomijając

jego pogardę dla niepoważnego charakteru gry, perspektywa zwycięstwa mile go polectała. O tak, myślał, ja im pokażę!

Beczka odłożył swoją kartę. Vlad powstrzymał się przed splunięciem, widząc Leśną Nimfę Ździebełko, a następnie Trefnisia Wica, odłożonego przez Firkina. Jedna, jedyna karta — i wygra! Odrzucił Trefnisia Kalambura, nieprzydatnego, skoro wcześniej pozbył się Wesołka i Docinka. Beczka schwycił Kalambura, a następnie, powoli i z namaszczeniem, w sposób obliczony na wywołanie jak największej irytacji, położył swoje karty uformowane w zgrabny wachlarz na podłodze.

— Wygrałem — obwieścił dumnie.

Vlad eksplodował. Rzucił karty na podłogę i wstał.

— Das ist eine bezzzsssensssowna gra! Zzzłe karty! Bzzzdurrra! Zzzzbyt dziecinne!

Zacisnął pięści i poczerwieniał na twarzy. Przeklął samego siebie. Dwanaście lat oczekiwania na partyjkę kart — i porażka. Z dwójką dzieci. Cztery razy z rzędu! Wstyd i hańba!

— Gdyby to było cośś bardziej... eee... dorossłego, nie mielibyśście ssszansss!

Przyszedeł czas na ruch Firkina.

— Jasne — zadrwił — a kto tak twierdzi?

— Isch! — wrzasnął wampir.

— Mówiąc „coś bardziej dorosłego”, masz na myśli na przykład pokera, zgadza się?

Vlad przestał kłąć i zmierzył Firkina wzrokiem. Chłopiec wzbudził w nim ciekawość.

— Cośś ty pofiedział? — Drgnął mu kącik ust.

— Po... ker — szepnął Firkin, wyczuwając nagłą zmianę w nastroju porywacza.

— Na pefno umiesssz w to grać? — W białych oczach Vlada pojawił się głód. Intensywnie wpatrywał się w Firkina.

— Jestem najlepszym pokerzystą w całych Górach Talpejskich! Spróbuj się ze mną! — Firkin zarzucił przynętę. Z pozoru wydawał się spokojny, ale wewnątrz drżał z napięcia i serce waliło mu jak opętane.

Beczka nie mógł uwierzyć swoim uszom. Dotychczas poker kojarzył się Firkinowi głównie z pokieraszowaniem czegoś. Nigdy w życiu w niego nie grał, a teraz wyzywał na pojedynek bardzo, bardzo zdenerwowanego wampira. To już koniec, pomyślał. Firkinowi mózg się zlasował. Nie wytrzymał napięcia i przestał myśleć rozsądnie.

— No, to na co czekamy? Rozzzdawaj! — Vlad w oczekiwaniu zacierał ręce.

— Nie mogę. — Trochę poluzować żyłkę, dopiero potem wyciągnąć, myślał Firkin. Już prawie. Spokojnie, tylko spokojnie.

— Tschemu?

— Cóż, wyruszając, zakładałem, że moim jedynym towarzystwem będzie Beczka. — Nie bełkocz, powtarzał sobie Firkin. — Wspaniały kompan, niestety pozbawiony talentów pokerowych. — Powoli, spokojnie. — Stwierdziłem, że byłoby nierozsądnie zabierać z sobą zwykłe karty.

Beczka potarł czoło. Firkin w ogóle nie miał zamiaru grać.

— To jest keine problem. Mam gdzieśś talię.

Udało się!

Wyjściu Włada z pokoju towarzyszył szczęk (odgłos) opadającej szczęki Beczki. Firkin ruszył się kilka setnych sekundy później.

— Firkin, co ty wyrabiasz? Nigdy nie grałeś w poke... au!

Przyjaciół właśnie wypychał Beczkę przez drzwi.

— No chodź... łap torbę... idź, idź!

Wypchnął i wykopał Beczkę z pokoju, zawrócił, zabrał karty i pobiegł za nim. Kilka pokoiów dalej Wład w szale poszukiwań wrywał szuflady i opróżniał kredensy.

— Gdzieśście sssię podziały, meine kleine kartchen?

Przyjaciele pobiegli co sił w nogach w przeciwnym kierunku, wpadając przez parę podwójnych drzwi do głównej sali restauracyjnej. Ich ucieczkę zagłuszały odgłosy wydawane przez Włada, który wyciągał kolejne szuflady i wytrząsał na podłogę tuziny kartonowych pudeł.

Chłopcy urządzili w restauracji małe pandemonium. Firkin zahaczył torbą o krzesło, wysyłając je w drogę po lukrowej podłodze. Beczka pierwszy dotarł do frontowych drzwi, chwycił klamkę, nacisnął ją i, niesiony pędem swoim i Firkina, walnął z całej siły w marcepanową fasadę. Drzwi były zamknięte. Chłopcy przewrócili się i leżeli zdyszani.

Na tyłach chatki trwały szaleńcze poszukiwania, a głośny huk doniósł o opróżnieniu kolejnego kartonowego pudła.

Firkin potrząsnął głową, starając się przywrócić w niej porządek. Zawrócił do wnętrza restauracji, podniósł krzesło i ruszył czerwony na twarzy w stronę wielkiego cukrowego okna. Zamachnął się i wkładając w to całą siłę, rzucił krzesłem.

Nagle wszystko zaczęło dziać się jakby w zwolnionym tempie. Piętnaście milionów okruszków cukrowego szkła rozprysnęło się we wszystkich kierunkach, kiedy krzesło dosięgło okna. Firkin stracił równowagę na lukrowej podłodze i pomknął po niej prosto na ścianę pod oknem. Krzesło wylądowało na zewnątrz, na polance, przekoziółkowało dwukrotnie i zakończyło swój lot w trzech kawałkach, tworzących ciekawy wzór wokół pewnego pniaka... Beczka zdał sobie sprawę, że wszystko gwałtownie ucichło.

— Zzznalazzłem, chłopcy!

Firkin wstał pierwszy. Jakimś cudem udało mu się podźwignąć Beczkę i wypchnąć go, wciąż zamroczonego, przez okno. Po krótkiej chwili obaj znaleźli się



w świetle popołudniowego słońca, trochę ciągnąc się nawzajem, trochę biegnąc przez polankę i trochę przewracając się, cały czas zmierzając w stronę drzew.

— Zzznalazzzłem! — krzyczał Vlad tryumfalnie. — Gotoffi do gry, chłopcy?

Gałęzie uderzały ich po twarzach, ale nie zwracali na to uwagi, pędząc nadal na złamanie karku. Ich serca biły jak oszalałe. Zagłębiali się w las, starając się jak najbardziej oddalić od chatki, zanim Vlad odkryje...

Zza ich pleców dobiegł mrozący krew w żyłach okrzyk Vlada, który stwierdził, że chłopcy zniknęli. Przyśpieszyli, przerażeni odgłosami wydawanymi przez ich porywacza podczas przeczesywania chatki. Wciąż biegli. Biegli, aż obaj zawrócili się na skarpie i legli zziębnięci. Nie mieli pojęcia, jak długo biegli — czas zachowuje się dziwnie, kiedy człowiek wpada w panikę — ale zdawali sobie sprawę, że nogi odmówią im posłuszeństwa, jeśli spróbują zmusić je do dalszego wysiłku.

— Uff! Mu... mu... musimy biec da... dalej — wyzipiał Beczka.

— Uspokój się. Za... za chwilę dojdziemy do siebie.

Beczka zmierzył go wzrokiem.

— Co?

— Nie będzie nas ściagał, do... dopóki świeci słońce — powiedział Firkin, w myślach dodając: Tak przynajmniej mówił Franek.

Wciąż leżeli, odzyskując oddech i stopniowo się uspokajając.

Po kilku minutach Firkin urwał źdźbło trawy i zaczął je żuć. Spokojnie odwrócił się i pogrzebał w torbie, wyciągając z niej pudełko kart. Wytrzeptał z rękawa Pasterza Murriona i delikatnie wsadził go do pudełka.

Beczka patrzył na to zaskoczony.

— Oszukiwałeś?

— Tylko trochę.

— Coś czułem, że nie powinienem tego wygrać.

Firkin uśmiechnął się z trawką w zębach.

— Chcesz tam wrócić i wszystko wyjaśnić?

Na te słowa Beczka pobrał na twarzy. Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Firkin wyszczerzył się do niego.

— Ty draniu! Nie żartuj sobie na ten temat. — Zirytowany, ale mimo to żartem, uderzył Firkina w ramię tak silnie, jak tylko dał radę, po czym położył się z powrotem na trawiastej skarpie i po raz pierwszy od dawna popatrzył w niebo.

— Wiesz — odezwał się po upływie kilku minut — jednej rzeczy ciągle nie rozumiem.

— Hmm?

— Jak u licha wpadłeś na to, że jest wampirem?

— Ach, elementarna dedukcja, drogi Beczko — odparł Firkin, dżgając przyjaciela źdźbłem trawy. — W menu nie było śladu czosnku.

**Fort Knumm**

W najgłębszej, najmroczniejszej części zimnego serca fortu Knumm czaiła się jednostka zmasowanego powietrza. Było ciepłe, wilgotne i pulsowało — niska, niemal podziemna, basowa częstotliwość dudniła w nim regularnym, ciężkim rytmem. Gdyby dysponowało konkretną fizyczną postacią, miałoby bicepsy jak kłody, skłonność do skóry i ćwieków, zainteresowania w rodzaju profesjonalnego dzierżenia kija, w miarę regularnego roztrzaskiwania czaszek i okazjonalnego dokonywania bardziej rozległych zakłóceń w funkcjonowaniu kończyn oraz dojmujący wyraz podłej niepoczytalności, skłaniający dorosłe ogry do krzyku i ucieczki do mamusi. Oczywiście, nie zawsze było takie, zaczynało tak samo jak wszystkie inne podmuchy powietrza: często baraszkowało wokół ludzkich stóp lub rozwiewało włosy, od czasu do czasu dla zabawy zwiewając kapelusze z głów. Ale od kiedy w Królewskiej Czapie wysiadły wentylatory, zaczęło się zmieniać.

Powietrze jest rzeczą na tyle ulotną, że jego charakter definiuje nie wychowanie, lecz środowisko. Pewne rzeczy się udzielają. Ciężko nie przejąć częściowo osobowości kogoś, w czyich płucach przebywało się długo i głęboko. Tak więc gdy w Królewskiej Czapie, ulubionym miejscu spotkań najpodlejszych wyrzutków społecznych grasujących po forcie, gdzie bandyci, podrzynacze gardeł i zabójcy pili, jedli i uprawiali hazard wraz z najemnikami, mordercami i szaleńcami — no więc gdy w Królewskiej Czapie wysiadły wentylatory, jakież szansę miało kilka niewinnych litrów powietrza?

Tak, odkąd stanęła klimatyzacja, powietrze szybko dorosło. Brak regulacji pozwolił mu na autokreację. Nauczyło się dbać samo o siebie. Nauczyło się palić, nasiąkło alkoholem i innymi substancjami uzależniającymi. Zmieniło się. Mama nie byłaby już z niego dumna. Przestało być słodką, delikatną bryzą, rozwiewającą jesienią stopy liści. Stało się podłe, niemal złowrogie. Gdyby przypatrzeć mu się uważnie w jakimś ciemniejszym zakamarku, zwłaszcza na chwilę przed kłótnią lub bójką, dałoby się dostrzec szeroki uśmiech kota z Cheshire. W zasadzie nie było już powietrzem. . . Stało się Atmosferą.

\* \* \*

Stary człowiek w wielkim lesie czytał oparty o wysokie drzewo. Późnopołudniowe słońce skrzyło na błyskawicach, półksiężycach, gwiazdkach i tandetnych, emaliowanych znakach zodiaku zdobiących jego długą, czarną szatę i szpiczasty kapelusz. Obok niego leżał ciśnięty na ziemię sponiewierany zielony plecak.

Człowiekiem tym był Whintz, jeden z ostatnich przedstawicieli ginącego zawodu — Wędrownych Czarodziejów. Podobnie jak pozostałych sześciu czy siedmiu, podróżował od miasta do miasta, rzucając czary, tworząc mikstury i doko-

nując wyczynów o ogólnie magicznym charakterze, aby choć odrobinę ułatwić ludziom życie.

Miał ciężki ranek, na który składało się ostrzenie magicznych nożyczek i naprawa parakosmicznych butów, w tej chwili zaś odrabiał zadanie domowe. Cztery lata wcześniej, mniej więcej w roku 1034 OG, ojciec zapisał go na korespondencyjny kurs dla niezaawansowanych użytkowników magii. Niektóre kursy, takie jak „Ręka szybsza niż oko dla początkujących”, „Podstawy abrakadabry” i „Zaawansowane zaklinanie”, uznał za pożyteczne. Nauczyły go wszystkiego, co musiał wiedzieć o wyglądanu wystarczająco tajemniczo podczas naprawy ciekących kranów i leczenia brodawek.

Lata praktyki przekonały go, że wszystkie fizyczne czynności mogą być uznane za magiczne — wystarczy mieć odpowiedni ton głosu i wygląd.

W opublikowanych niedawno dokumentach Taumaturgiczna Rada Filozofów i Psychologów przedstawiła nowo uzyskane dane o postrzeganiu wartości Wędrownych Czarodziejów na rynkach miejskich. W podsumowaniu rada stwierdziła, że na wiarę w możliwości Czarodzieja wpływają następujące czynniki: w 15 procentach dotychczas osiągnięte wyniki, w 38 procentach język ciała stosowany przez Czarodzieja, wreszcie w 54 procentach ton głosu. Rada z zaskoczeniem odkryła, że razem daje to 107 procent, co tylko dowodzi, że niektórzy rodzą się, by być kantowani.

Vhintz być może nie rozumiał całkowicie magii, ale łatwowierność widział tak dobrze, jak promienie rentgenowskie widzą śledzionę. Na tym oparł całą swoją karierę.

Tego dnia w ramach zadania domowego czytał „Zaawansowane inkantacje”. Zawsze uważał prawdziwą magię za bardzo trudną. W gruncie rzeczy, za niemożliwą. Był pewien, że mógłby rzucić czar, gdyby tylko zrozumiał Znaki ASCII<sup>5</sup>. Właśnie nadszedł ten dzień. Był pewny, że to osiągnie. Czuł się dobrze.

Wyciągnął z plecaka kolejną książkę. Była duża, oprawiona w skórę i zaskakująco ciężka. Okładkę pokrywały dziwne runy i znaki ASCII. Wyglądała na bardzo starą i bardzo magiczną.

Taka właśnie była.

Gdy był jeszcze zbyt mały, by rozumieć rzeczy tego typu, dziadek wręczył mu ją, mówiąc:

— Strzeż jej jak oka w głowie. Widzę, że nadchodzą ciężkie czasy. Przestań gaworzyć, Vhintz. Wojny, głód nawiedzą to królestwo. Nie, nie chcę twojej grzechotki. — Dziadek chwilę nasłuchiwał, po czym dorzucił jeszcze: — Oj! Muszę lecieć! — A następnie powiewając połamami płaszczem, wybiegł z pokoiku Vhint-

---

<sup>5</sup>Wszystkie alfabety, znaki, symbole i hieroglify wynalezione i wykorzystywane przez Radę ds. Akademickiego Standardu Czarów i Inkantacji podlegają ochronie prawa autorskiego. W kręgach magicznych znane są pod ogólnym mianem Znaków ASCII

za i zniknął w korytarzu ścigany przez trzydzieści czy czterdzieści par bardzo gniewnie brzmiących buciorów. Wtedy po raz ostatni widziano dziadka Vhintza. On sam nigdy się nie dowiedział, skąd (lub komu) jego przodek wziął księgę.

Wszystko to wydarzyło się wiele lat temu. W chwili obecnej na małej polance pośród olbrzymiego lasu zbliżał się czas na pierwszy raz Vhintza. Był pewien, że tego dnia, po latach przygotowań, uda mu się rzucić czar.

Rozejrzał się. Czysto. Otworzył oprawioną w skórę księgę i rzucił okiem na pożółkłe stronice. Wziął historyczny oddech i powoli, wodząc palcem po kolejnych słowach, zaczął czytać. Był silnie skoncentrowany, jego oczy powoli lustrowały stronę. Próbował ożywić każde słowo, smakując jego kształt, przymierzając je, wchodząc w nie. Coś się działo. Na jego czoło wystąpiły krople potu, świadectwo wysiłku. Stopniowo zaczynały dziać się dziwne rzeczy. Słowa powoli przesuwały się w różnych kierunkach. Rozpoznawał pojedyncze litery, nawet poszczególne wyrazy, ale wymykał mu się sens całości. Przypominało to czytanie gazety przyklejonej do dna basenu.

Zagryzając wargi z frustracji, zamknął księgę. Pewnego dnia tego dokona; miał nadzieję, że to tylko kwestia czasu. Wyczerpany wysiłkiem umysłowym zamknął oczy, by zastanowić się, gdzie popełnił błąd. Wkrótce ciepłe słońce, ciche ptasie trele i kojące bzyczenie okolicznych pszczół stworzyły własne zakłęcie. Vhintz po cichutku zapadł w spokojny, płytki sen.

\* \* \*

Dwaj przyjaciele ze znużeniem przemierzali las. Jęki i zawodzenia Vlada uciły wiele godzin wcześniej. Franek miał rację, mówiąc o wampirach i świetle dziennym.

— Stój i patrz! — powiedział Firkin.

— Na co?

— Tam — wskazał Firkin.

— Na co? Nie widzę tam niczego z wyjątkiem tego starego, odrapanego drogowskazu.

— Tak, to jest to. Drogowskaz.

— Ahaaa.

Podeszli do niego. Firkin odsunął zasłaniającą go gałąź, strzepnął z niej wieletnią warstwę brudu i odczytał:

FORT KNUMM 12 mil

Fort Knumm. Ach, jakież wizje to przywoływało! Potężne fortyfikacje wyrastające na otoczonym fosą pagórku. Mury zwieńczone wałami patrolowanymi przez elitarne jednostki wojska. Powiewające proporcje. Trębacze gotowi, by obwieścić przybycie przyjaciół, i bateria dział, gotowa powitać wrogów. Hucznie powitać, dodajmy.

Brzmiało imponująco. Byłoby takie, gdyby chociaż ocierało się o prawdę.

Owszem, znajdował się tam fort. Mały, zapyziały, opuszczony i zaniedbany, stojący w samym środku miasta. Wybudowano go w czasach, kiedy forty były *de rigueur* i każde miasto, które chciało być na fali, musiało takowy posiadać. Stanowił pierwszy fort w tym rejonie, więc ściągał tłumy z okolicy w promieniu wielu mil. Najrzęczniejsi miejscowi, zawsze chętni zarobić trochę grosza, zajęli się rękodzielnictwem. Sprzedawano wszelkiego rodzaju wyroby — wszystkie ręcznie wykonane. Kosze wiklinowe, koszyki dla kotów, kolorowe świece woskowe pokryte dziwacznymi wzorami, małe ziołowe mydełka, miód i powidła w malutkich dzbanuszkach, słoiczki z płynem do kąpiel. W nadzwyczajnym, nagłym przeblasku zdolności efektywnego planowania miejskiego burmistrz powołał masowe stowarzyszenie rzemieślników, umożliwiając im dystrybucję wyrobów w całym mieście i uzyskiwanie za nie uczciwej ceny. Wkrótce uruchomiona została sieć dostawcza i sklepy zaczęły oferować towary z naklejkami, oznajmiającymi, że zostały wykonane przez „Rękodzielników z fortu Knumm”.

Handel z turystami kwitł. Nadszedł czas prosperity.

Ścisłe regulowano rozrost miasta, szczegółowej kontroli poddano również architekturę, tak by nie niszczyła staroświeckiej atmosfery, jak burmistrz obrazowo nazywał niezbyt higieniczne, pulsujące życiem domy wokół fortu.

Taki stan rzeczy trwał dobre kilka lat i wielu ludzi obrosto przy okazji zysków w sporo sadelka. Stali się krótkowzroczni i zadowoleni z siebie, by nie wspomnieć o narastającym lenistwie. Zbyt późno zdali sobie sprawę, że inne miasta też już miały forty i fort Knumm przestał być czymś wyjątkowym. Liczba turystów spadała na łeb na szyję. Mieszkańcy miasta starali się ignorować malejący dochód, mając nadzieję, że goście z zewnątrz wciąż będą przybywali z wizytami. Ale przestali. Brakowało pieniędzy. Turystów brakowało jeszcze bardziej i miasto stało się zbieraniną zdesperowanych kupców, kryminalistów, płatnych morderców, zabójców, agentów ubezpieczeniowych i tym podobnych. . .

Oczywiście Firkin i Beczka nic o tym nie wiedzieli. W porównaniu z Middin fort Knumm przypominał oazę bogactwa, tętniącą życiem metropolię.

Wczesnym wieczorem, po kilku godzinach wytężonego marszu, chłopcy przekroczyli bramę miasta. W sklepionym przejściu tkwiły dwie wielkie, przegniłe drewniane bramy, które jakimś cudem utrzymywały się na czterech zardzewiałych do granic możliwości zawiasach.

Od bramy na wzgórze biegła główna ulica, po której obu stronach stały w ciasnych rzędach sklepy. Tam gdzie drewniane szkielety wygięły się ze starości, fron-

ty budynków chyliły się pod dziwnymi kątami, a najwyższe piętra nie przepuszczały światła słonecznego. Wyglądało to, jakby architekt starał się uchwycić moment, w którym dwie gigantyczne fale już, już mają na siebie runąć, a następnie zamienił tę impresję w kompozycję z drewnianych domów.

Przyjaciele kroczyli powoli w górę ulicy, zaglądając w sklepowe witryny.

— Wygląda mi pan na światowego dżentelmena, że się tak wyrażę. Ale wy czuwam, że w pańskim życiu czegoś brakuje. Potrzeba panu tego! Zrobi pan na damach wrażenie swoim nieskazitelnym, zadbanym wyglądem! — Sprzedawca wepchnął Beczce do rąk małe drewniane pudełko i rozpoczął demonstrację Niezbędnika Obieżyświata.

Beczka stał zdumiony, gdy tamten pokazywał mu cążki do paznokci, pilnik, wykałaczkę, urządzenie do wyciągania kamieni z butów, trzy rodzaje noży, parę nożyczek...

— ...wszystko to w wygodnym i poręcznym drewnianym futerale. Jest pańskie za jedyne...

— Chodź — wtrącił się Firkin, chwytając przyjaciela za ramię. — Już jedno takie ma — zawołał jeszcze na odchodnym sprzedawcy.

Przeszli parę kroków dalej.

— W życiu każdego pojawiają się mroczniejsze chwile — nagabywał najbliższy sklep. — Ujarzmijcie je za pomocą... tego! — Ręka dzierżąca woskową świecę ozdobioną niegustownymi wzorami wychynęła ze sklepu, ciągnąc za sobą małego, kudłatego człowieka. Świeca miała około dwunastu cali wysokości i musiała ważyć dobre kilka funtów.

— Rozjaśnijcie swe domostwo tym wspaniałym przykładem kunsztu woskarckiego. Specjalna receptura knota zapewnia powolne spalanie, gwarantujące długą żywotność i atmosferę towarzyszącą...

— Nie, dziękujemy.

— Ciepło i światło z tego samego źródła...

— Nie, jest za ciężka. Jesteśmy w podróży.

— Tak więc bez trudu oświetlicie sobie drogę. Wasza ścieżka może być widoczna jak na dłoni! — Człowieczek gorączkowo wymachiwał świecą.

— Nie — odmówił Firkin stanowczo, popychając Beczkę do przodu.

— Pożalujecie! Jeszcze zobaczycie! — Sprzedawca po cichu dobył trzycalo-we ostrze i machnął nim znacząco.

Firkin zignorował nieprzekonująca pogrózkę i szedł dalej.

— Zadziwiające miejsce — zauważył Beczka, rozglądając się. — Prawdziwe... tego, no... no, to... sklepikarzy.

— Zagłębienie?

— Eee?

— ...sklepikarzy.

— Co... Nie, to nie tak. To prawdziwe...

— Macie problemy ze znalezieniem właściwego słowa? Mylicie się w definicjach? — dobiegł z lewej strony jakiś głos. — W takim razie, szanowni panowie, nadszedł wasz szczęśliwy dzień. Mam dla was, tu i teraz, kompletne, kieszonkowe, najnowsze wydanie słownika. Razem z nim własnością panów stanie się również mój własny tezaurus, oczywiście oswojony i wytresowany! Cha, cha, cha! Zaskoczcie panny umiejętną grą słów! Szeptaniem poprawnych gramatycznie wierszy miłosnych! I co wy na to, panowie? Wyglądacie mi na ludzi, którzy nie przepuszczą dobrej okazji. Hej, noicowynato?

— Już to czytałem. Intryga jest do bani — odparł Firkin lekceważąco.

— Zapewniam, że wasza kolekcja książek potrzebuje tego słownika!

— Czy on powiedział kolacja?... Umieram z głodu.

— Tu na pewno można coś zjeść — pocieszył Beczkę Firkin. — W pobliżu.

Przeszli obok małego, kościstego człowieczka, który siedział na ziemi w otoczeniu rysunków portretowych.

— Dobry wieczór — zagadnął ich.

— Dobry wieczór panu — odpowiedział Beczka grzecznie. — Ładny dzień — dodał tonem konwersacji.

— Zanosi się na deszcz — zabrzmiał nowy głos. — Chyba nie chcielibyście zmoknąć? Co powiedziałyby panny, gdybyście zmokli? Mam tu pewien przedmiot... — Sprzedawca pomknął do wnętrza sklepu.

— Naszkicuję pański portret, sir. To potrwa tylko minutkę, sir. Doskonała pamiątka. Mogę go nawet oprawić. Naszkicuję... auu!

— Zamknij się, Boz, to moi klienci — powiedział sprzedawca parasoli, kopiąc marnego artystę. — Tak jak mówiłem, hmm, oto lekki, przenośny sposób na pozostanie suchym. Prosta konstrukcja, łatwa obsługa...

— ... obaj macie taką portretową urodę...

— ... dostępne w wielu kolorach, by pasowały do waszego stroju. Modne parasole. Nie dostaniecie lepszych...

— ... węglem, atramentem, czy kolorowymi ołówkami? Proszę wybrać, sir...

— Wystarczy! — wrzasnął Firkin. — Mam dość. Nie chcę parasola, pięknie dziękuję, a gdybym kupił szkic, pogniółby się w mojej torbie.

— Na pańskie życzenie mogę dołożyć tubę, sir.

— Nie. Nie chcę. A teraz, czy mogliby nam panowie powiedzieć, gdzie tu można coś zjeść?

Obaj natręci zadumali się.

— Nie widzę powodu, żeby mu powiedzieć. W końcu nic nie kupił, nie? Podąż i popyt, te sprawy. Wiem, gdzie mógłby coś zjeść, a on nie!

— Zgadza się. Wiemy, gdzie jest pub, a on nie! — Boz się wyszczerzył.

— Sądzę, że nie powinniśmy im mówić.

— Racja! Nie powiemy im. To tajemnica, że trzeba iść tędy, a potem pierwszą w lewo. Auu!



- Co też ci strzeliło do tego głupiego łba, żeby im mówić?!
- Tak mi się wymysknęło. Nie chciałem.

\* \* \*

W roku 1025 OG Poszukiwacz przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po przedpokoju Sali Konferencyjnej zamku Rhyngill. Zdawało mu się, że słyszy, jak bicie jego serca wypełnia komnatę. Adrenalina przelewała się w jego ciele, tworząc mieszankę nerwowości i strachu. Wiedział, że król Khardeen unika wszelkich niepotrzebnych wydatków, i to często przy użyciu bezwzględnych metod. Krążyły plotki, że jego ulubione powiedzonko brzmi mniej więcej tak: „Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą”. Szczególnie często powtarzał je ponoć podczas ustalania wysokości dziesięciny.

Drzwi zaskrzypiały, otwierając się, i ręka ze środka zaprosiła Poszukiwacza. Przyglądził włosy, obciągnął kurtkę i nerwowo wszedł.

Minął geometryczne wzory ułożone z broni przystrajającej ściany i stanął przed wielusetletnim dębowym stołem. Wieludziesiątletni król Rhyngill siedział, drzemiac po drugiej stronie stołu.

— Hmm, hmm, wasza wysokość, sire!

Król poderwał się i rozejrzał wokół przestraszony.

— Sire — kontynuował urzędnik — ośmielam się przedstawić Francka Mid-dina, Poszukiwacza.

Franek zgiął się wpół w obecności podstarzałego króla i czekał podenerwo-wany. Król spojrział na leżącą przed nim małą miseczkę i podejrzliwie skosztował czegoś, co wyglądało jak owsianka.

— Słucham? — rzekł z irytacją w odpowiedzi na nerwowe pokasływanie urzędnika. Wyjrzał znad okularów w kształcie półkola i wytarł usta dość niechluj-ną chusteczką.

— Przybywam ze sprawą wagi państwowej — zaczął Franek ostrożnie. — Błagam o posłuch u waszej ekscelencji.

— He... Co ty gadasz? — Król podniósł trąbkę do ucha.

— Mam niecierpiącą zwłoki sprawę i błagam o posłuch u waszej ekscelencji — powtórzył Franek cierpliwie.

— Impotencji? Wypraszam sobie.

— Ekscelencji, sire. To wasza wysokość jest ekscelencją.

— Cholerna racja. Nie można pozwolić, żeby plotkowali o impotencji takiej ekscelencji jak ja. To zresztą nieprawda. Widziałeś mojego syna? — Król zaczął grzebać w kieszeniach peleryny. — Myślałem, że jesteśmy znani w całym króle-

stwie. O, jest. Sam spójrz. — Król pokazał mały portret swojego syna oprawiony w ramkę w kształcie serca.

— Czyż nie jest słodki?

Franek nigdy nie wiedział, co wypada powiedzieć w takiej chwili.

— Hmm, tak, sire. Ma nos po waszej ekscelencji.

— Mój nos? Co z moim nosem?

— Nic, sire. Miałem na myśli, że syn jest trochę podobny do waszej wysokości.

— Hmmm. — Król skrzywił się, chowając portret. — A tak w ogóle, co cię sprowadza?

— Sire, przejdę od razu do rzeczy.

— Cholernie dobry pomysł!

— Mam powody sądzić, że to, co szybko stało się naszym głównym produktem eksportowym, towarem niezbędnym we wszystkich dziedzinach życia, substancją, przy której uzyskaniu odegrałem wielką i niezmiernie ważną rolę, międzykrólestwianym symbolem renomy i...

— Do rzeczy! — warknął król, bawiąc się sumiastymi wąsiskami.

Franek odkaszlnął i przewinął swoje myśli.

— Sire, nasze skóry są... to jest skóry lemingów są w niebezpieczeństwie.

— Że co? — Po raz pierwszy król okazał prawdziwe zainteresowanie. — Jakie niebezpieczeństwo... jakie?

— Sire, mam powody podejrzewać, że Cranachanie zamierzają ukraść tegoroczne i przyszłe zbiory lemingów wprost sprzed naszego nosa.

Król nachylił się nad stołem i wbił wzrok w Poszukiwacza, jednocześnie małym palcem wykonując gest zachęty.

— Prawie rok temu wręczono mi to. — Dodał urzędnikowi zwój pergaminu. — To deklaracja własności regionu, gdzie rozmnażają się i rosną lemingi, a zarazem żądanie zwrotu ich skórek.

Twarz króla pobladła, gdy przetrawił informację.

— Wstrętne kruczki prawne. To prawda?

— Tak, sire. Ale w rzeczywistości tracą prawa do skórek w momencie, gdy te z własnej woli wkroczą w naszą przestrzeń powietrzną. Nie mamy z Cranachanami porozumień handlowych.

— W taki razie wszystko w porządku, czyż nie?

— Cóż, sire, byłoby, gdyby wydarzenia przybrały lepszy obrót. W tym roku po raz pierwszy w dziejach lemingi wylądują na cranachańskiej ziemi.

— Po ich stronie granicy?

Franek przytaknął powoli.

— Niemożliwe... nie mogą przenieść granicy bez mojej zgody... Nawet ja nie mogę przenieść granicy bez mojej zgody! A przecież jestem królem!

— Oni nie tknęli granicy, sire.

— Nie drażnij mnie. Co się dzieje? Co się zmieniło? Co przesunęli?

— Górę.

Króla zatkało. Jego płomienna furia straciła na płomienności. Spojrzał sponad okularów, stuknął trąbką o dębowy stół, na nowo przytknął ją do ucha i cicho spytał:

— Górę?

— Górę — potwierdził Franek.

— Właśnie mi się wydawało, że tak słyszałem. — Władca znów bawił się wąsami.

Jego cesarska mość, król Rhyngill Khardeen, podniósł łyżkę i powoli rozmieszał niejadalną letnią owsiankę. Połączenia nerwowe w jego głowie, zarosłe w wyniku wielu lat umysłowej jałowości, gwałtownie oczyściła maczeta prawego oburzenia. Jego twarz zmieniła się, przybrała młodszy i bardziej ożywiony wyraz.

— A niech to cholera — powiedział. — Tak być nie może! — Powstał, upuszczając łyżkę, która spadła z cichym pluskiem, zwrócił wzrok na urzędnika i wrzasnął: — Sprowadź mi tutaj Radę Wojenną. . . NATYCHMIAST!

Wykonawszy w kierunku króla pobieżny ukłon, urzędnik pomknął na jednej nodze, w głowie rozważając polecenie.

*Radcy wojenni! Nie zebrali się od, uuu, zanim zostałem urzędnikiem, to jest po tym, jak byłem, a może to było, zanim ja byłem, nie po, zdecydowanie po, musiało być, inaczej nie musiałbym. . . rany julek! Kawał czasu!* Podczas gdy radców wojennych odnajdywano w najdalszych zakątkach zamku Rhyngill, Franek opowiedział królowi całą historię. Przedstawił mapy, rysunki, dane o sprzedaży, dane o planowanej sprzedaży, analizę przewidywanych dochodów i wydatków, kwartalnie modyfikowany raport o bezrobociu w Talpach; opisał prace cranachańskich inżynierów na klifie; stopy pergaminu wyciągnięte z jego walizki udowodniły bezsprzecznie, że skórki lemingów znalazły się w niebezpieczeństwie. Jeśli nie zadziałają szybko i stanowczo, rok 1025 OG okaże się ostatnim, w którym skórki lemingów będą pochodzić z Rhyngill.

\* \* \*

Gdy Wędrowny Czarodziej Vhintz ucinał sobie popołudniową drzemkę, jego umysł zdjął buty i pobiegł wesoło przez świeże pola jego pamięci. Pchnął drzwi i zajrzał do sztucznie zaciemnionego pokoju. Ujrzał rzędy należących do magów głów. Jakaś postać stała na małym podium w przedniej części pokoju i układała stosik papierów. Pamięć Vhintza wykonała gest w stronę maga na końcu rzędu,

popchnęła go wzdłuż ławki i zasiadła, by wysłuchać wykładu. Magiczna latarnia wyświetliła obraz za plecami wykładowcy, prosto brzmiący temat pogadanki:

## GARŚĆ FAKTÓW NA TEMAT MAGII

Wykładowca zakasłał, by zwrócić na siebie uwagę, światła przygasły, a on zaczął...

— Żeby być prawdziwie magicznym, żeby osiąść zdolność rzucania czarów bez odwoływania się do księgi czarów, by zaczarować lub zmienić rzeczywistość i określić sobie zasadę przyczyny i skutku wokół palca, nie są wymagane predyspozycje genetyczne. Nie trzeba być siódmym synem kuzynki (ze strony ojca) jednookiego wilka morskiego, by mieć jakieś szanse w praktyce taumatycznej.

Na sali zapanowała wesołość.

— Aby skutecznie rzucić zaklęcie, musicie je „zrozumieć”. Wymaga to, przede wszystkim, zdolności tworzenia i kształtowania słów, by skupić właściwy rodzaj magii na konkretnym obiekcie, jakkolwiek niechętny byłby ów obiekt.

Wszyscy wiedzą, że jeśli weźmiesz wieszak, odpowiednio go ukształtujesz i postawisz na małym radyjku tranzystorowym, popłynie muzyka. Tak samo jest z magią.

Słowa są wieszakami nauk magicznych.

Magia nas otacza, jest wszędzie, biegnie równoległe do nas w czasie i przestrzeni, a jedynym, czego trzeba, by otworzyć eteryczne sklepienie, jest właściwa aranżacja słów.

Oczywiście, musicie zdawać sobie sprawę z tego, co robicie. Kluczem do tej rozrastającej się eterycznej tamy starożytnej mocy jest umiejętność bardziej podstawowa niż istota zdań, bardziej bezpośrednia niż wymowa czy gramatyka, bardziej poprawna niż asonans. Znacznie starsza i głębsza niż jakakolwiek poślednia dziedzina literatury. By używać magii właściwie, musicie być adeptami odwiecznej sztuki „czarowania”.

Uniosła się jakaś ręka. Wykładowca był gotowy, zanim padło pytanie.

— Nie, nie! Nie jest ważne miejsce aranżacji i sekwencja zwykłych literek. To znacznie wznioślejsze, o wiele bardziej holistyczne. Dla adepta prawdziwego „czarowania” najważniejsza jest głęboka i gruntowna wiedza o tempie, ustawieniu akapitów, odmianie przysłówków i parametrach infiltracji wątków pobocznych.

W innym wypadku możecie równie dobrze wziąć księgę, przeżuć ją na małe kawałeczki i czekać na właściwą aranżację.

Pamięć Vhintza, czując się zastanawiająco niezręcznie, wstała i wyślizgnęła się z sali.

\* \* \*

— Jesteś pewien, że powiedział „pierwsza w lewo”? — wyszeptał Beczka.

— Tak, nie słyszałeś?

— Zdaje mi się, że tak powiedział, ale nie wydaje mi się, żeby miał rację. Trochę tu ciemno.

Beczka rozejrzał się nerwowo i zbliżył do przyjaciela. Niewielka grupka szczurów obserwowała z beczelnym znużeniem, jak chłopcy wchodzą w wąską boczną uliczkę. Chodnik, jeśli tą szumną nazwą określić można pasmo nierównej ziemi, pełniące niewdzięczną funkcję zajmowania przestrzeni pomiędzy dwoma rzędami walących się budynków, połyskiwał w przyćmionym świetle ulicy. Beczce zdawało się bardzo dziwne, że połyskuje, skoro nie padało od tygodni, i w ogóle byłby zaskoczony, gdyby deszczowi udało się tu dostać.

— Powiedział, jak daleko na pierwszej w lewo?

— Nie, i oby już niedaleko, bo zawracam i... Uważaj!

Nad ulicą otworzyło się okno, w którym ukazała się postać dzierzżąca spore wiadro. Beczka zauważył to zbyt późno. Nie przerywając rozmowy z kimś w środku, postać gestem znamionującym znużenie spełnianiem irytujących prac domowych odwróciła wiadro do góry dnem. Beczka ruszył się zbyt późno. Kiedy kaskada aromatycznych oraz nieco mniej aromatycznych domowych odpadków zaszczyliła Beczkę niechcianym i okropnie mokrym chluśnięciem, Firkin odwrócił się i mocno skulił. Okno zamknęło się, a incydent na dole pozostał niezauważony. Beczka stał, połyskując podobnie jak chodnik. Długa obierka z ziemniaka, ozdobiona kawałkami marchewki, oplotła mu czoło. Chłopiec z obrzydzeniem potrząsnął głową, oprócz tej usuwając z siebie także kilka innych obierek.

— Kochaniutki, patrz, gdzie stawiasz nóżęta, zwłaszcza w takiej okolicy. — Wysoka kobieta wynurzyła się z mrocznego cienia niewidocznej bramy, stanęła w jaśniejszym cieniu bocznej uliczki i spojrzała współczująco na ociekającego Beczkę. — Tu mieszkają zwierzęta, kochaniutki. Zwierzęta, niech mnie, jeśli nie mam racji.

Jakby dla podkreślenia ostatnich słów, duży szczur przemknął cichutko wskroś ulicy, omijając szerokim łukiem ostry czubek buta kobiety.

— Wy nietutejsi, co? — zapytała, gdy Beczka usiłował doprowadzić się do jakiego takiego porządku.

— Nie — odparł Firkin. — Skąd wiesz?

— Najsamprzód, lepiej byście wodzili oczkami, co się wokół dzieje, a poza tym nigdy przedtem nie widziałam was, kochaniutki przystojniaczki, w moim rewirze, a ja znam wszystkich w moim rewirze. Taka praca. — Uśmiechnęła się ciut złośliwie w stronę Beczki.

— Tyłki w troki, pomyślimy nad wyczyszczeniem cię, kochaniutki — powiedziała i nie czekając na odpowiedź, znikła w cieniu.

Beczka popatrzył pytająco na Firkina, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— No dalej, słodziutcy. Nie wiem jak wy, ale ja jestem kobieta pracująca.

Chłopcy wkroczyli w cień, idąc za nią wąskimi zaułkami, przechodząc przez dziury w ogrodzeniach, okrążając mroczne i obskurne bloki mieszkalne, aż wreszcie ich przewodniczka zatrzymała się, po czym przeszła przez osobliwie różowe drzwi. Nieufnie, ale nie mając lepszego pomysłu, chłopcy weszli za nią. Podłoga wydała im się dziwnie chybotliwa, więc Firkin spojrzał pod nogi na kudłaty, różowy dywan. Z bocznych drzwi wysunął się długi, zgrabny palec, zapraszając ich do środka.

Powitał ich dźwięk bieżącej gorącej wody i dziwny, lecz sympatyczny aromat świeżych olejków i balsamów ziołowych. Kobieta zakręciła kurki i zwróciła się do Beczki:

— W porządziu, kochaniutki. Możemy zaczynać? — Ruchami znamionującymi wprawę jąła rozpinać guziki przy jego kurtce.

— Ciuteczkę zaśmierdłeś, kochaniutki, ale bez zgrzytu, za chwilunię znów będziesz pachniał jak różyczka. A ty, przystojniaczku, uderzaj w następne drzwi, Barabara czeka — zwróciła się do Firkina, gdy w pokoju pojawiła się kolejna wysoka, niezwykle skąpo odziana kobieta, posyłając w stronę chłopca szeroki uśmiech.

Brud z ostatnich kilku dni, przyćmione czerwone światła oraz wyraz zakłopotania na twarzy Beczki ukryły fakt, że był zdecydowanie za młody na zainteresowania tego typu. Zapach olejków i wyczerpanie sprawiły, że niemal nie zauważył, jak szybko i fachowo został rozebrany. Maisy uśmiechała się do niego słodko, zdejmując ostatnie części jego garderoby i pomagając mu wejść do gorącej, bulgoczącej kąpieli.

— Zostań sobie tutaj, a ja wyszoruję ubranka. Pełna obsługa, słodziutki!

Potrząsnęła stosem szmat, sprawdzając, czy w kieszeniach nie zostały jakieś drobne, po czym wyszła, opuszczając pokój i relaksując się Beczkę.

\* \* \*

Tytuł radcy wojennego Rhyngill jest bez wątpienia wspaniały, pełen mocy, powagi i chwały. Przywołuje na myśl człowieka gotowego bez wahania rzucić się w wir walki, ociekającego agresją i uzbrojonego po zęby, reprezentującego wojskowy kunszt królestwa, strategiczny filar Rhyngill, wcielenie najbardziej przera-

żających koszmarów wrogów. Radcy wojenni zbierali się jedynie w najcięższych chwilach. Powszechnie uważano, iż ponieważ każdy z nich niezmiennie przejawiał więcej agresji niż batalion podczas szturmów, zebranie ich wszystkich razem stwarzało niestabilną i niezwykle niebezpieczną atmosferę, która mogła, przy właściwym pokierowaniu, skuteczniej doprowadzić każdą wojnę do szybkiego i ostatecznego końca niż kilka funtów bardzo rozwścieżonego plutonu. Był to główny powód, dla którego sale konferencyjne budowano tak wielkie.

I tak bez fanfar, zapowiedzi, ani nawet wyszeptanego powitania, w roku 1025 OG radcy wojenni wkroczyli do Sali Konferencyjnej. Była usiana pergaminami, na jej środku zaś człowieczek w okularach z butelkowego szkła pokazywał prognozy rynkowe zachwyconemu i wyglądającemu zaskakująco młodo królowi.

Franek obrócił się, by złożyć ukłon radcom wojennym. Jego szczeka opadła nisko, zanim zdołał pomyśleć o samokontroli.

Poszukiwacz z bólem zdał sobie sprawę, co z radców zrobiły całe dziesięciolecia pokoju.

Do sali wkuśtykało trzech starszków, bezzwłocznie kierując się w stronę swoich tronów. Czwarty wjechał na rozklekotanym wózku szpitalnym.

— O co się rozchodzi? — spytał oschle Lappet. — Rozgrywaliśmy właśnie ze starym Rachnidem bardzo ładną partyjkę warcabów. Trzeba dbać o myślenie strategiczne, jak babcię kocham!

Rachnid potaknął i balansując niepewnie na lasce, jakimś cudem usadził się na tronie.

Bateleur, przypominający złośliwego gнома osiemdziesięcioletek, o czarnych, rzucających iskiereczki oczach, niepokojąco ostrym, haczykowatym nosie i z grzywą gęstych, czarnych włosów, rozejrzał się wokół z entuzjazmem.

— Kto się pisze na stare, dobre lanie? — zaskrzeczał. — Urządźmy ładną potyczkę!

— Skończy się, zanim dojdiesz — zarechotał Brumas z wysokości swojego wózka.

— Zamknij się, dziadu! — krzyknął Bateleur, dźgając go długą, zaostrzoną laską.

— Jeszcze tylko cztery do zbitia. Wygrałbym, jak babcię kocham. Teraz to już nieważne — kontynuował przebywający we własnym świetle Lappet.

— Kogo nazywasz dziadem? — zawołał Brumas ochryple, uderzając się po zuchwie obwisłymi policzkami. — W życiu nie czułem się tak dobrze, jestem zdrow jak ryba i gotów na wszystko! — Walnął się w pierś i zaniósł atakiem kaszlu.

— Panowie, proszę — wtrącił się król Khardeen. — Bądźcie łaskawi odłożyć swary na później. Rozumiem, że nie przebywaliście razem od dłuższego czasu i jest dużo rzeczy do nadrobienia, ale prosiłbym o uwagę. To poważna sprawa!

— Przypomniała mi się partia sprzed kilku lat. Cztery pionowy do zbiccia, pięć ruchów, i udało mi się, jak babcię kocham!

— Lappet, proszę o uwagę.

Król, gdy zareagował ostro i zyskał zainteresowanie podstarzałych radców wojennych, przystąpił do szczegółowego przedstawiania sytuacji, w jakiej się znaleźli. Odwoływał się do wykresów, map i szczegółowych prognoz Francka. Mówił dłuższą chwilę, ozdabiając prawdę frazesami pod publiczność, a Franek patrzył się na niego i co jakiś czas przytakiwał.

— ... tak więc, panowie — zakończył władca — co zamierzamy w tej sprawie uczynić?

Od strony wózka dobiegło ciche chrapanie.

— To przecież oczywiste! — krzyknął Bateleur, wymachując laską.

Brumas, wyrwany z drzemki przez gwałtowny krzyk, podniósł się na tronie i rozejrzał wokół zmieszany.

— Co jest oczywiste? — spytał Lappet.

— W akcie agresji kradną nasze cośtam. Sądzę, że powinniśmy ich skopać, sire! — Bateleur krzyczał nadal swym skrzekliwym głosem. — Sugeruję podjęcie działań, rzecz jasna o charakterze militarnym. Od lat nie było porządnej potyczki.

— Próbowaleś kiedyś strączków senesu? — zapytał Brumas bez szczególnego związku z tematem.

— Masz na myśli w-w-wojnę?! — odezwał się w końcu Rachnid.

— Nie, w-w-warcaby — odparł Bateleur sarkastycznie. — Co wy na to?

— Dwa dniennie i ci przejdzie — ciągnął przebywający we własnym świecie Brumas.

— Nie sądzisz, że to nieco zbyt brutalne? — jęknął Rachnid.

— I ty siebie nazywasz radcą wojennym! — zaskrzeczał Bateleur, uderzając pięścią w stół.

Rachnid pobladł.

— A ty, Lappet? Co o tym sądzisz? — zapytał król, podkreślając z zadowoleniem sumiaste wąsiska.

— Muszę przyznać. Wyzwanie wobec strategicznego planowania na terytorium wroga pociągające. Zbiega się z decyzją o akcji militarnej.

— W porządku, w takim razie postanowione. Ogłaszam, że wniosek przeszedł — oznajmił król, patrząc znad okularów. — Niech rozpoczną się przygotowania.

Franckowi tempo podjęcia decyzji odjęło mowę. Rozejrzał się wokół zadziwiony, nie spodziewał się takich efektów — a w każdym razie nie tak szybko.



\* \* \*

— Dobrze się bawimy, co nie? — spytała Maisy, a w tonie jej głosu zabrzmiała nieobecna tam wcześniej nutka.

— Tak, dziękuję — odpowiedział grzecznie Beczka spod góry różowej piany.

— Wyszorowany do czysta?

— Chyba tak.

— Masz swoje wdzianko, wrzucaj na grzbiet i zjeżdżaj!

— A czy jest suche? Nie jest zdrowo wkładać mokre ubranie, zwłaszcza nocą, ponieważ. . .

Przerwał, dostrzegając na twarzy Maisy wyraz irytacji.

— W takim razie, eee. . . wrzucę to na grzbiet i zjadę. Eee. . . mogłabyś podać mi ręcznik? Chciałbym się przedtem wytrzeć.

Maisy podała mu ręcznik i czekała ze zniecierpliwieniem.

— Przepraszam, czy mogłabyś spojrzeć w inną stronę? Będę teraz wychodził.

— O mnie się nie martw, słodziutki. Już to widziałam.

Beczka zarumienił się, gdy zdał sobie sprawę, że kobieta ma rację, i wstydliwie wygramolił się z wanny.

— Czemu się gniewasz? — zapytał.

— Bo marnujecie mój czas. Jak nie macie szmalu — spadówka.

— Zaprosiłaś nas. Nie wiedziałem, że będziemy musieli płacić.

— Naprawdę nie dostaliście jeszcze nic wartego grosiwa, kochaniutki. To miało być później. — Wymawiając te słowa, odęła lekko wargi. Na Beczce nie zrobiło to szczególnego wrażenia.

— Już wkrótce będziemy mieć trochę pieniędzy i skarb. Dlatego tu jesteśmy — oznajmił radośnie, energicznie wycierając włosy.

— Rany, nie! — jęknęła Maisy w rozpacz. — Tylko nie kolejny frajer, co przyjechał tu zrobić kasę. Nie wiecie, że czasy, kiedy w forcie Knumm można było nabić kabzę, minęły? Posłuchaj mojej rady, słodziutki, i pryśnij stąd, jak tylko dasz radę.

— Nie, nie zrozumiałaś. My mamy misję do spełnienia.

Maisy uniosła ręce ku niebiosom.

— Jeszcze lepiej. Cholerni misjonarze. Wiedziałaś, że nie jesteście z okolicy.

Beczka wciągnął spodnie.

— To tajna misja.

— Posłuchaj, kochaniutki. Zwisa mi to. Chcę tylko, żebyście stąd spłynęli, aby ktoś inny mógł przyjść. Ktoś z choć odrobinką szmalcu. Ja jestem kobieta pracująca.

Wypchnęła wciąż wilgotnego Beczkę na zewnątrz, gdzie zapadł już wczesny wieczór, i zatrzasnęła drzwi.

— Poczekaj, poczekaj! Firkin! — Zorientowawszy się, że jego najlepszy, a w zasadzie jedyny przyjaciel został w środku, Beczka jął dobijać się do środka.

— Otwieraj! Firkin!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i młoda kobieta o wyglądzie oprawcy wypchnęła na zewnątrz stawiającego słaby opór, ociekającego wodą Firkina.

— Zaczekaj, zaczekaj! — załkał Beczka w stronę zamykających się drzwi.

Te stanęły na chwilę, otworzyły nieco bardziej, a głos ze środka zapytał:

— Czego chcecie?

— Gdzie możemy spędzić noc?

— Macie pieniądze?

— Niewiele.

— To w takim razie nie mój problem, prawda?

Drzwi z głośnym hukiem zamknęły się ostatecznie.

Firkin jęknął i usiadł.

— O co im poszło?

— Nie jestem pewien. Zdaje mi się, że Franek wspominał o miejscach takich jak to, ale nie pamiętam, jak się nazywają.

Firkin zdawał się nic nie rozumieć.

— Och, wiesz, weszliśmy w brudnych ubraniach, a wyszliśmy w czystych.

— Takie coś przedpotopowego?

— Tak, mam na końcu języka — Beczka wyteżał pamięć.

Także Firkin, skoncentrowany, zmarszczył brwi.

— Mam! — wrzasnął po dłuższej chwili.

— Powiedz, powiedz!

— Pra... Inia!

\* \* \*

W całej historii zamku Rhyngill kilka krótkich tygodni po spotkaniu Rady Wojennej w roku 1025 OG zapisało się jako najbardziej gorączkowe. Podniecenie mknęło przez korytarze i komnaty niczym wyegzorcyzmowany demon po narkotykach. Nikt nie oparł się gorączce, nawet zamieszkująca w kuchni banda szczurów śniadych zdawała się w tych dniach bardziej podenerwowana niż zwykle.

Było to podniecenie wynikające z przygotowań. Sprawdzanie tego, upewnianie się co do tamtego, robienie czegoś innego, mówienie komuś, żeby zrobił to,

tamto albo coś innego, na co tobie zabrakło już czasu. Raj dla biurokraty. W pewnym sensie przypominało podniecenie występujące tuż przed rozpoczęciem sezonu wakacyjnego, ale z dwiema zasadniczymi różnicami. Po pierwsze, było poważne, a po drugie — niektórzy mogli nie wrócić.

Wśród tego wszystkiego snuł się mały chłopiec, przesiąkając atmosferą, ale nic nie rozumiejąc. Księżę Klayth oglądał kolumny żołnierzy defilujące na dziedzińcu przed spichlerzami. Gdy przemierzał stajnie, widział kawalerzystów przygotowujących oporządzenie. Chodził od jednej grupki przygotowujących się ludzi do drugiej i wciąż słyszał to samo słowo: wojna.

Rhynngill znajdowało się w ostatniej fazie przygotowań do wojny z sąsiednim królestwem Cranachanu. Radcy wojenni ustalili strategię na różne ewentualności. Brumas zamówił i otrzymał specjalny bojowy wózek inwalidzki. Wszystko było gotowe.

Nagle księżę Klayth zauważył zmianę. Obudziwszy się pewnego ranka, z miejsca poczuł, że coś jest inaczej. Wygrzebał się z łóżka, na paluszkach przeszedł przez komnatę, otworzył cicho drzwi i ujrzał wielkie czarne buty, długą, powiewającą pelerynę, i w końcu wielką, brodatą twarz swojego ojca, króla Khardeena, który silił się na uśmiech i patrzył na niego przez półkoliste okulary.

— Cześć, tato — wyszeptał mały księżę. — Co tu robisz? Gdzie jest mama?

— W bezpiecznym miejscu, synu. W bezpiecznym miejscu. — Król podniósł potomka i podszedł do najbliższego krzesła.

— Dlaczego? — zapytał Klayth.

— Ponieważ wyjeżdżam i chcę, żebyś był dużym chłopcem.

Klayth wpatrzył się w brodatą twarz ojca. Wyglądała bardzo staro, ale i silnie, jak sękate drzewo.

Panował od dawna i jeszcze pięć lat temu martwił się, że nigdy nie będzie miał syna i dziedzica. Nie wynikało to z braku prób, o czym aż za dobrze wiedziała większość dam dworu, była to raczej kwestia niezgrania.

Ale przed czterema laty pojawił się Klayth i troski króla zniknęły. Mając dziedzica, mógł wrócić do rzeczy, którymi powinni zajmować się królowie. Mógł dać synowi wzór do naśladowania. Mógł opuścić zamek i kontynuować rządy bezlitosnego, „ale, och, jakże sprawiedliwego” terroru i wyzysku, które znał i kochał. Lata wymuszonej abstynencji od wojowniczych, grabieżczych objazdów zakończyły się wraz z uniesieniami tej jednej nocy. Jak dokonał tego, będąc w tym wieku, stanowiło zresztą główny temat plotek przez wiele tygodni po fakcie.

— Synu, chcę, żebyś przez jakiś czas sprawował rządy, tak jak ja. Wszystko będzie w porządku, Bartosz i Matusz się tobą zajmą.

Klayth miał oczy pełne łez. Nie mógł mieć pewności, ale czuł, że widzi ojca po raz ostatni.

— W takim razie postanowione — powiedział król cicho, odstawiając syna na podłogę, po czym wyszedł z komnaty.

Klayth nic mu nie odpowiedział. Jak mógł odpowiedzieć, czy w ogóle w jakikolwiek sposób wyrazić swoją opinię, skoro nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje?

Wrócił do swojej komnaty i wyglądał bezmyślnie przez okno. Po kilku minutach ujrzał króla, czterech radców wojennych i pancerny wózek inwalidzki na czele pierwszej kolumny wojska, jak mijali bramę, most zwodzony i znikali w mrokach historii.

Odwrócił wzrok od okna i poczuł się bardzo, bardzo mały.

\* \* \*

Wędrowny Czarodziej wciąż drzemał w ciepłych promieniach późnopołudniowego słońca. Księżyc na pelerynie Vhintza błyskał co chwila, wraz ze wznoszeniem się i opadaniem jego klatki piersiowej. Obok niego wiekowa, oprawna w skórę księga leżała bezceremonialnie tam, gdzie spadła z jego kolan. Usta Vhintza były półotwarte, pochrapywał z cicha. Sielankowy obrazek.

Na swoje szczęście, nie zdawał sobie sprawy z obecności obrzydliwej istoty, która obserwowała go z drugiej strony polanki.

Gdyby miała usta, oblizywałaby je, przypatrując się swej zdobyczy. Gdyby miała ręce, zacierałaby je ochoczo. Gdyby miała rozum, pojęłaby, że zdobycz może okazać się ponad jej siły. W jej polu widzenia jednakże znajdował się potencjalny solidny posiłek. Prawdziwa uczta. A istota była głodna. Jej oczy oceniały odległość pomiędzy nią a zdobyczą — mierzyły dystans, sprawdzały, za czym można by się schować, wypatrywały śladów zasadzki. Teren okazał się czysty. Istota była bardzo, bardzo głodna. . .

Ruszyła powoli, wprost na niewinnie śpiącego człowieka. Ostrożnie, ukradkiem, leciała przez polankę, trzymając się nisko, poza polem widzenia. Im bardziej się zbliżała, tym mocniej jej szczęki drżały w oczekiwaniu. Gdy wypatrzyła przed sobą bezbronną ofiarę, w jej żołądku wezbrały soki trawienne. Była coraz bliżej. Człowiek wciąż spał, nieświadomy i bezradny. W paszczy istoty zebrała się gorąca ślina. Skrzydła doniosły nieludzkie ciało bliżej, pełne śliny szczęki lśniły w słońcu — ostatni przeblysłk piękna przed rzezią. Łeb potwora zniżył się, po czym zaczął poruszać się miarowo w bok, tam i z powrotem, wraz z zagłębianiem się kłów. Szał darcia i kąsania. Potwór, usiłując zaspokoić swój wynaturzony głód, rozrzucił wokół wydarte kawałki. . .

Gdy czerwieniejące promienie słońca oświetliły arenę rzezi i zniszczenia, potwór, nasyciwszy pałący głód, uniósł swe nadęte cielsko i odleciał, pragnąc przetrwać potężną ucztę.

Chłodny wietrzyk owiał słabo człowieka, podwiewając poły jego peleryny. Człowiek nieprzytomnie uniósł powieki, a gdy jego zakończenia nerwowe eksplodowały ostatnimi minutami popołudniowej drzemki, całym ciałem wstrząsnęła straszliwa konwulsja. Vhintz ziewnął szeroko i podrapał się po ramieniu. Cmokając i przeciągając się, podniósł księgę i schował ją ostrożnie do plecaka. Szywno wstał, przeciągnął się po raz kolejny, rozmasował plecy i wyruszył w stronę następnego miasta, pozostawiając po sobie ogrzany fragment pniaka, odcisnięty w trawie kształt człowieka i malutką kupkę przeżutego poźółkłego pergaminu.

Delikatny powiew wiatru uniósł strzępy, ukrywając je pod stertą zeszłorocznych liści.

Nieopodal, trawiąc popołudniową biesiadę, chrapał cichutko mały mól książkowy.

\* \* \*

Na samym końcu ciemnego, wilgotnego, brukowanego zaułka kilkudziesięciu najpodlejszych przestępców z całego fortu Knumm spędzało szaloną noc poza domem.

Nie było w tym nic niezwykłego.

Zawsze spędzali noc poza domem.

Zawsze znaleźli jakąś wymówkę.

Wykazywali się niesamowitą inwencją przy ich wymyślaniu. Jeśli nie było nowego zbiega, którego przystanie do wesolej gromadki należało oblać, zawsze wypadała rocznica przystania nowego zbiega do gromadki, czasem nowe morderstwo do uczczenia, a czasem nawet rozrzutny złodziej, który stawiał kolejki, by oblać łup z ostatniego włamania. W Królewskiej Czapie łatwo było znaleźć przyjaciela: był nim każdy nietrzymający noża przy twoim gardle, nerkach itp.

Przestępcy w forcie Knumm umieli się bawić. Zawsze przebywali w Czapie, jak skrótowo określano lokal. Kochali tutejszą Atmosferę, a ona kochała ich.

Obowiązkiem było zajrzeć na imprezę. Nie uznawano żadnych wymówek. Nawet morderstwa, w tym własnego.

Tej nocy jak zwykle było tłoczno. Ichnaton Asasyn siedział przy stoliku do gry w Czachy<sup>6</sup> wraz z Aznarem Wykidajłą. Wokół stolika tłoczyła się zgraja podrzędnych bandytów i złodziei.

— Układaj! — wrzasnął Ichnaton, przekrzykując gwar.

---

<sup>6</sup>Czachy są grą, do której potrzebne są: płaska płyta kamienna o sześciu uzach, dwa niewielkie toporki i zero zasad. No dobra, zasady istnieją, ale są w stu procentach zmienne i zależne od dwóch czynników: a) kto potrafi głośniejsze wrzeszczeć; b) ile dotychczas wypił.

Aznar pochylił się, wrzucił monetę w bok stołu i zaczął układać to, co się na nim pojawiło.

Barman Skroth'm walczył z kilkoma wariatami, wyklócającymi się o cenę ostatniej kolejki.

Reszta klienteli albo bawiła się oglądaniem zapasów przy barze, albo oszukiwała się nawzajem na tysiące sposobów przy małych stoliczkach, rozrzuconych po mrocznym wnętrzu. Panowała wyśmienita Atmosfera, sprzyjająca byciu złym.

— Ja rozbijam! — pisnął Ichnaton, stając twarzą w twarz z Aznarem i dla lepszego efektu dźgając nożem trzech skradających się złodziejasków. W powietrzu pojawił się bład, czarny grymas. Atmosfera się nagrzewała.

— Kiedy ją ułożył!

— Czy ty się KŁÓCISZ? — odparł pytająco Ichnaton, bawiąc się nonszalantko przeszło trzynastocalowym nożem do patroszenia.

— ...eee...

— Ja rozbijam — powtórzył Ichnaton szeptem, który jednakże wszyscy słyszeli.

Przed nim, na płaskim kamiennym stole, leżało pięć sferycznych przedmiotów, ułożonych w przybliżeniu w trójkąt.

Wyprostował się, unikając niskich, dębowych belek, zacisnął zęby i opuścił swój topór na najbliższą kulę. Gdy pękła, rozległ się dźwięk rozłupywanych kości.

Bandyce i złodzieje wyrazili okrzykami swoją aprobatę. Na stole szara masa wymieszała się z krzepnącą już krwią i pociekła do uz.

— Pierwsza! Cha, cha, cha! — wrzasnął Ichnaton, podnosząc topór do drugiego uderzenia.

Tym razem pod ciosem pękły dwie czaszki świeżych nieboszczyków. Złodzieje oszaleli z zachwytu. Aktywny udział publiczności był żywotnym elementem życia nocnego w Czapie. Jeśli nie rozbawiłeś publiki swoją grą, niebawem publika mogła zabawiać się tobą, i to niekoniecznie w jednym kawałku.

W innej części baru Skroth'm ostatecznie przekonał świrów do ceny kolejki, dodając do siebie ich głowy. Ichnaton, który uniósł topór do kolejnego uderzenia, zatrzymał go w powietrzu. Popatrzył w stronę drzwi i zamrugał z niedowierzaniem. Stały tam, mrugając, dwie nowe twarze. Okrąglejsza z nich zakaszła. Nagle zrobiło się zupełnie cicho.

Atmosfera wstrzymała oddech.

\* \* \*

Dojście do stwierdzenia, że siedzenie w rynsztoku w plugawym zaułku biegnącym obok „Salonu Rozkoszy Daisy i Maisy” nie jest najlepszym pomysłem, nie zajęło Firkinowi i Beczce zbyt wiele czasu. Wystarczająco źle było już nie wiedzieć, gdzie się dokładnie w obcym mieście znajduje, ale siedzenie przed jednym z bardziej zapuszczonych z licznych nocnych przybytków tego miasta w chwili, kiedy wieczór szybko przechodził w noc, było nie tylko niepożądane, ale także niewyobrażalnie ryzykowne. Wraz z zapadaniem zmroku rosła nie tylko liczba klientów różowego pałacu rozkoszy, ale także poziom ich nietrzeźwości. Olbrzymie oprychy uśmiechały się lubieżnie do chłopców, owiewając ich jednocześnie ciężkim, alkoholizowanym chuchem. Ostateczna decyzja o ruszeniu się stamtąd nie wynikała z żadnych pozytywnych założeń co do marszruty, lecz wyłącznie z ogólnego stwierdzenia, że „wszędzie lepiej niż tutaj”.

Z początku posługiwali się zuchową techniką nawigacji, uwielbianą przez turystów płatających się bez celu po obcym mieście, żeby obejrzeć jego zabytki. Polegała ona na łażeniu w losowo wybranych kierunkach, aż natrafi się na coś, co wygląda znajomo. Niestety, ponieważ dążyli do miejsca, którego nazwy ani wyglądu nie znali, metoda ta okazała się kompletnie bezużyteczna. Potrzebne było nieco bardziej przemyślane podejście. Ponieważ zmierzali do zajazdu, miejsca stworzonego jedynie w celu dostarczania wina, wódek i wielkich ilości piwa spragnionym klientom i/lub alkoholikom, czyż nie byłoby słuszne ustalić kierunek, z którego dobiegały zawieszony w powietrzu intensywne wyciewy alkoholowe, a następnie podążyć w stronę wprost przeciwnym do ich malejącego natężenia, w tenże sposób ułatwiając precyzyjne odkrycie i ostateczne przybycie do źródła wyciewów? Chłopcy poszli za swoimi nosami.

Okazało się to trudniejszym zadaniem, niż z początku mogłoby się wydawać. Fort Knumm miał tak wiele różnych, kłócących się ze sobą i co gorsza przyprawiających o mdłości zapachów, że podążanie za jednym konkretnym okazywało się niezwykle trudne. Chłopcy włączyli się bez celu po ciemnych bocznych uliczkach w pobliżu murów miejskich. Przyśpieszali kroku, mijając grupki potężnych, spoglądających na nich pożądliwie opryszków, palących coś i wypuszczających ciemny, niebieskawy dym, zawisający w powietrzu w bardzo wyluzowany sposób. Kilka razy, zwłaszcza w okolicy murów, musieli wracać po swoich śladach, napotkawszy za rogiem ślepe zakończenie uliczki. Przez cały czas wokół ich nóg przebiegały zaaferowane nie wiadomo czym szczury, a po obu stronach tętniły życiem zamieszkałe przez karaluchy domostwa. Kręgowce były w mniejszości, na jednego przypadają setki innych mieszkańców ze znacznie mniejszą ilością kręgosłupa.

Koniec końców, Firkin i Beczka skręcili w kolejną, równie odpychającą jak pozostałe uliczkę i ostrożnie posuwali się nią naprzód. Przed nimi, na prawo, w jednym z budynków panował większy hałas, niż mogliby oczekiwać. Na ulicę przedostawał się ochryply śmiech, od czasu do czasu ubarwiony dźwiękiem tłuczonego szkła i krzykiem. Brzmiał rytmiczny, niski, puls podziemnego światła.

Nad głowami chłopców wisiał wyblakły szyld. Wymagał gruntownego odmalowania, ale jeśli ktoś stanął i wystarczająco mocno wytrzeszczył w otaczającym półmroku oczy, wciąż miał możliwość odczytania słowa „Czapa”.

Krażyła plotka, że nazwa ta była wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, takich jak: dyslektyczny, częściowo głuchy twórca szyldu, nietrzeźwy historyk-amator oraz niefortunne, choć wcale przez to nie mniej szczerze, poczucie lojalności wobec króla okazane przez właściciela lokalu. Ten ostatni pragnął uhonorować władcę, nadając nową nazwę odrestaurowanemu zajazdowi, i zdecydował się wykorzystać zasłyszaną legendę o czymś, co miał na głowie król w momencie narodzin, a co decydowało o jego wspaniałych osiągnięciach. Zafrapowany tożsamością przedmiotu z królewskiej głowy zwrócił się do swego przyjaciela, wiecznie pijanego historyka-amatora, który zapewnił go, że wie, o czym mowa. Słyszając to, właściciel zamówił szyld i zadecydował o zmianie nazwy lokalu.

Zwrócono się do króla z prośbą o przybycie w dniu ceremonii odsłonięcia nowej nazwy lokalu. Tego dnia, niestety, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Właściciel, wygłosivszy taką sobie mówkę, z dumą odsłonił nowy szyld. Królowi zrzęda mina, zgromadzony motłoch zaniósł się śmiechem, a właściciela po raz ostatni widziano szarpiącego się z dwoma członkami Czarnej Straży. Król rozkazał pozostawić szyld, by przypominał, że królewskie narodziny są wydarzeniem doniosłym. Opuszczając tryumfalnym krokiem scenę blamażu, oświadczył jeszcze:

— A tak przy okazji, chodziło o czepek!

Nikt nie wie, co stało się z właścicielem zajazdu. Większość przypuszczała, że cokolwiek to było, nie odbiło się na jego zdrowiu zbyt korzystnie, a niektórzy wręcz utrzymywali, że nazwa zajazdu okazała się dla niego prorocza.

Wszystko to wydarzyło się dawno i zapewne nie do końca było prawdą, ale miejscowym podobała się ta historia. Firkin i Beczka stali na zewnątrz zajazdu, słuchając sprośnych przyspiewek. Popatrzyli po sobie, wzięli głęboki oddech i weszli do środka Czapy.

Pijacka kakofonia zamilkła gwałtownie, zapadła nieprzenikniona cisza. Dwaj chłopcy stali w drzwiach. Beczka zakaszła. Atmosfera uśmiechnęła się złowieszczo.

Na lewo stała grupa ludzi, którzy unosili topory nad kamiennym stołem. Inni klienci, odziani w skrzypiące, udekorowane rdzą zbroje, siedzieli w odosobnionych wnękach, popijając dziwną brązową ciecz. Kilku ludzi trzymało ręce w cu-



dzych kieszeniach. Firkin ruszył wolno w stronę baru. Oszołomieni mężczyźni w futrach rozstępowali się przed nim posłusznie.

Wdrapał się na stół barowy i wbił wzrok w wielkie, spocone cielsko Skroth'ma, obecnego, poważanego, otyłego właściciela interesu.

— Karczmarzu — zaczął Firkin tonem, który wydawał mu się odważny — Chcielibyśmy...

Rozejrzał się, słysząc informujący o podejściu Beczki do baru dźwięk bardzo szybkich kroków.

— Chcielibyśmy dostać coś do zjedzenia... Prosimy... Jeśli to nie sprawi kłopotu...

— Och, chcielibyście, tak?

Firkin poczuł krople potu na czole.

Tłuste cielsko karczmarza ruszyło w ich stronę. Idąc, Skroth'm wycierał ręce w ręcznik — ten niegroźny gest wydał się Firkinowi groźbą, i to przez duże „G” — a następnie duże „ROŻB i A”. Karczmarz miał na sobie fartuch i kamiżelkę, wyglądały, jakby tkwiły na nim od wielu miesięcy. Stanął przed Firkinem, zasłaniając mu widok baru.

— Chcielibyśmy coś do jedzenia? Och, jak byśmy chcieli? Cha, cha, cha! — Zatrząś się ze śmiechu. Oprócz tego w lokalu panowała cisza jak makiem zasiał.

— Tak, poprosimy.

— Jacy „my”? — zapytał Karczmarz, przechylając się nad kontuarem. — Chyba nie „wy, wasza wysokość”? Hłe, hłe, hłe!

Zabójcy, złodzieje i szaleńcy składający się na publiczność wychylili się na krzesłach, oczekując rozrywki.

— Eee... nie. On i ja — odparł Firkin, wskazując na czerwonego na twarzy Beczkę.

— Jest was więcej? Cała dostawa? Czy tylko wy dwaj?

W odległym kącie sali mignął złowieszczy uśmiech.

— Tylko my dwaj — odpowiedział Firkin z trudem, przełykając ślinę.

— Jaka szkoda! Lubimy tu gości, co nie, Gnorm? — Karczmarz szturchnął pod żebro jednego ze zwalistych mężczyzn po swojej lewej, który przytaknął energicznie i wybuchnął śmiechem.

— Grr — powiedział Gnorm.

— Proszę nam powiedzieć, co jest w menu? — poprosił Firkin.

— Uchuchu, słyszeliście? Powiedział „menu”, elegant.

Karczmarz świetnie się bawił. Czuł się jak na scenie, a publicę się to podobało. Teatralnym gestem nachylił się przed Firkinem.

— Tutaj nie nazywamy tego, hmm, hmm, „menu”. Mam wrażenie, że mówimy na to „lista”. Powinieneś powiedzieć: „Karczmarzu, co jest na liście”, w porządku?

Kilku rozbawionych młodszych złodziejasków zaczęło kołysać się na krzesłach.

Firkin czuł, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Przełknął raz jeszcze, wziął głęboki oddech i...

— Karczmarzucojestnaliście? — wyrzucił z siebie Beczka, trzymając mocno zamknięte oczy.

Kiedy zawstydzony Firkin zamknął rozdziawione usta, cały lokal wybuchnął rześistym śmiechem.

— Brawo, chłopaki. Tak się cieszę, że spytaliście. — Karczmarz zaśmiał się, podając Firkinowi niemal przezroczysty od tłuszczu kawałek pergaminu. Tłusta twarz rozpromieniła się. — Proszę bardzo. Wybaczcie nam naszą małą zabawę. Rzadko widzimy tu nowe twarze, więc kiedy już się to zdarzy, lubimy coś z tego mieć. Co nie, Gnorm?

— Grr — powiedział Gnorm.

Dwie olbrzymie ręce uniosły Beczkę, a następnie posadziły na stołku obok przyjaciela.

— Po prostu coś sobie wybierzcie i mi powiedzcie — oznajmił Skroth'm, stawiając przed nimi pienne napoje.

Chłopcy nagle uświadomili sobie, że przez cały dzień prawie nic nie pili (może z wyjątkiem kilku haustów wody w kąpieli, ale to się nie liczy). Obaj schwycili napoje i wypili je duszkiem w kilka sekund. Zawartość szklanek smakowała trochę dziwnie, lecz była mokra. To wystarczyło.

— Cholercia, aleście spragnieni, co? — rzucił karczmarz, podając im następną kolejkę. Zniknęła, zanim Skroth'm zdążył napełnić kolejne szklanki.

Na drugim końcu sali ruszyła gra w Czachy, Atmosfera powróciła do swojego zwykłego poziomu. W Czapie zazwyczaj składała się w 45 procentach z dymu papierosowego, w 20 procentach z dymu z fajek, w 19 procentach z wyziewów alkoholowych, w 13 procentach z oparów egzotycznych i zapewne nielegalnych narkotyków, i wreszcie w 3 procentach z tlenu, co niechybnie dowodzi, że przy tworzeniu dobrej atmosfery tlen jest składnikiem dopuszczalnym.

Przyjaciele, dalecy od kompletnego ugaszenia pragnienia, zamówili następną kolejkę.

\* \* \*

Życie, jak powszechnie wiadomo, idzie naprzód. Wszystko się zmienia, dokonywane są nowe odkrycia, podczas gdy stare giną w pomroce dziejów i ktoś dokonuje ich na nowo, starodawne miasta, zaniedbane i opustoszałe, popadają

w ruinę, nieużywane mięśnie i umiejętności zanikają i wreszcie kończą się roczne prenumeraty. Tak więc koniec końców, w roku 1025 OG Bateleur odkrył, że nie przedłużył prenumeraty pisma „Miesięcznik stratega”.

Był to tylko mały symptom piętna, jakie lata wymuszonego pokoju, podczas których król produkował potomka, odcisnęły na militarnej świetności radców wojennych Rhyngill. Do niego doszła zwyczajna mieszanka artretyzmu, katarakty, siwienia i starczego zniedołężnienia. Aczkolwiek w przypadku Rachnida ciężko byłoby tego dowieść, jako że był szalony od zawsze.

Nie dość jednak, że potęga radców wojennych stopniała pod wpływem chronicznego braku zajęć — świat zewnętrzny także nie stał w miejscu. Wymyślono nowe techniki zdobywania przewagi taktycznej, ulepszono procesy produkcyjne, tak by wytwarzać ostrzejszą i większą broń, wreszcie wprowadzono w powszechne użycie programy szkoleniowe podnoszące umiejętności bojowe i zwiększające odwagę żołnierzy.

Nieszczęściem, jedną ze zdolności, jakich nie traci starzejący się umysł, jest możliwość wytworzenia i podtrzymania poczucia słusznego oburzenia. Co więcej, jeżeli z wiekiem w ogóle coś rośnie, to właśnie ta możliwość — a oburzenie może być potężną siłą.

Tak wyglądała naga prawda o radcach wojennych Rhyngill. Siedząc jak na szpilkach i — metaforycznie — drąc kopytami ziemię we frustracji wynikającej z braku jakichkolwiek rozrywek choćby luźno powiązanych z wojną, po dwudziestu dwóch latach gotowi byli bez wahania rzucić się w wir walki, choćby była to bójka o miejsce w kolejce po emeryturę.

Radcy wojenni po raz pierwszy od prawie ćwierćwiecza dysponowali realną siłą, więc ta, jak wszystkie tego typu przywary, uderzyła im do głowy. Tyranizowali lub łechtali pochlebstwami wszystkich, którzy znaleźli się w ich polu widzenia, tym zaś, którzy w tymże polu się nie znaleźli, wysyłali nadąsane pisma. Tak oto, po chłodnym początku i kilku krótkotrwałych głosach sprzeciwu, zmobilizowali do akcji rdzewiejącą maszynę wojenną.

Niesieni oburzeniem radcy zakrzyknęli „Na pohybel!”, i przystąpili do zbierania wojsk Rhyngill. W dwie i pół minuty po tym, jak obserwowali gromadzący się kwiat młodzieży Rhyngill, Bateleurowi przyszło na myśl, że nieodnowienie prenumeraty „Miesięcznika stratega” mogło okazać się błędem.

No cóż, rozmyślał prowadzony siłą do Cranachanu, przynajmniej mieliśmy dobry powód, żeby przegrać. Jak inaczej byśmy się dowiedzieli, że było nas za mało, byliśmy nieruchawi, źle uzbrojeni i z góry skazani na porażkę?

To było wspaniałe zwycięstwo, a taktyka Cranachanu nienaganna. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Kiedy zmasowane siły Rhyngill, w pełnym uzbrojeniu i ofensywnym szyku, maszerowały wyjątkowo wąską doliną, pojedynczy żołnierz z Cranachanu wyskoczył zza niskiego krzaka jałowca. Korzystając z uniwersalnego języka gestów,

ustanowionego w rozdziale konwencji Gin-Whiskey, dającym wskazówki co do etykiety wojennej (ekscytująca, lecz ciężkostrawna mieszanka praw i pojęć dotyczących traktowania jeńców, nieodmiennie przysparzająca czytelnikowi bólu głowy), pojedynczy żołnierz zatrzymał całą armię. Wskazał na szczyt urwiska i jak stewardesa pokazująca umiejscowienie wyjść awaryjnych powiódł placem wzdłuż linii klifu. Omiatając spojrzeniem ściany, żołnierze z Rhyngill dostrzegali wciąż więcej i więcej przeciwników, dzierżących broń większą i ostrzejszą niż ich. Był to pokaz przewagi liczebnej, który miał zrobić wrażenie na przeciwniku. Zrobił. Wojskowy odpowiednik tremy scenicznej zżarł szeregi armii Rhyngill. Zajęczały, zmieszały się i wkrótce poddały.

Wielce Gniewny Eutanazjusz Hekatom b przyglądał się temu z olbrzymią satysfakcją. Odnieśliśmy łatwe zwycięstwo nad tymi żalonymi kreaturami, myślał, jak oni w ogóle śmiać uważać się za ludzi? Zupełnie jak wakacje — tygodnie przygotowań i robienia planów, kilka ostatnich dni biegania jak z motorkiem w tylnej części ciała, a potem puf! Krótki błysk — to wszystko. Pozostają tylko wspomnienia. Nie będzie z tego malowideł, poszło za szybko, poza tym światło padające zza pleców igra z oczami artystów.

E. Hekatom b przez kilka minut obserwował zaganianie jeńców, po czym schował do kieszeni sierpniowy numer „Miesięcznika stratega” i wyruszył w drogę powrotną do Cranachanu.

\* \* \*

— Tak więc, co sprowadza takich dwóch małych nieznanomych do naszego przytulnego zajezdźdiku? — spytał Skroth’ m, nachylając się nad kontuarem do Firkina i Beczki.

— Szukamy zamamamachowcówwww — wybełkotał Beczka. Pięć lub sześć pint mocnego piwa, wypitych szybko po sobie w celu ugaszenia pragnienia, zaczynało... eee... rozwiązywać chłopcom języki, tak to nazwijmy.

Beczka wybełkotał swoją odpowiedź w jednej z tych niefortunnych chwil, kiedy wszyscy mówiący na sali przestają na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. W ciągu trzech następnych nanosekund miały miejsce następujące wydarzenia:

1. każdy przyrząd służący do rzucania, cięcia lub okaleczania został wyciągnięty i przygotowany do rzucania, cięcia lub okaleczania,
2. wszystkie wyjścia zostały zamknięte i obstawione,
3. Beczkę zdjęto ze stołka i przygwoźdzono do podłogi dwoma najdłuższymi i najostrzejszymi mieczami, jakie w życiu widział,
4. Firkinowi przeszło przez myśl, że Beczka powinien trzymać głowę na kłódkę,

5. Beczka zmoczył się i zgodził z Firkinem,  
6. Atmosfera wstrzymała oddech.  
— Sztóście! — krzyknął Firkin.  
Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. W półmroku błysnęło jakieś ostrze.  
— Chiba będzie opsze — hik! — jeżeli wyjajajajnie...  
Oczy Beczki stały się zbiornikami najczystszej przerażenia. Wszyscy patrzyli na Firkina. Nikt się nie odezwał.  
— Hmm... cóż. — Chłopiec pociągnął solidny łyk napoju i stanął na barze. Zachwiał się łagodnie i zlustrował okolicę jednym otwartym i jednym półprzy-  
mkniętym okiem. Wziął głęboki oddech i wyszczerzył się do obserwującego go motłochu. Teraz albo nigdy.  
— Mamy missie do... sssapełnienia — oznajmił.  
— O, wypychacze zwierząt! — dobiegło gdzieś z tyłu.  
— Nie, nie, nie! — Firkin rozejrzał się wokół konspiracyjnie i przyłożył palec do ust. — Ciii... To jezd, hik!, tajna misia.  
— Szpiedzy! — krzyknął jeden z co bardziej nerwowych złodziei.  
Były to ostatnie słowa w jego życiu.  
— Powiedz, co tutaj robisz, bo będziemy musieli użyć... hmm... pewnych metod, żeby się dowiedzieć — głęboki, wilgotny szept Skroth'ma zabrzmiał o kilka cali od jego ucha.  
Firkin podskoczył, pociągnął solidnego łyka i spróbował opanować nerwy. Tłum zaczynał się niecierpliwić.  
— Ależ proszę, panowieeee — zakrzyknął Firkin. — Poczebujemy, poczebujemy...  
— Wiadra! — dobiegło z motłochu. Po Czapie przetoczyła się fala ogłuszającego rechotu.  
— ... waszej pomocy — dokończył Firkin słabo.  
Beczka nie widział wiele ze swojego miejsca na podłodze, ale miał wrażenie, że wydarzenia nie przybierają korzystnego obrotu. Czuł się poza tym dość zabawnie — zupełnie jakby nie panował nad własnym ciałem. Wszystko wokół kręciło się, był pewien, że się kręciło. Dobrym pomysłem wydało mu się zamknięcie oczu. Otworzył je z powrotem — a jednak się kręci! O nie, pomyślał, nie znowu! Wysoko nad nim Firkin rozpoczynał coś, co jemu samemu wydawało się porywającą mową, mającą pozyskać do pomocy w misji bandę zdesperowanych zamachowców.  
— Panowwie, weszłyśmy w młoczne czaszy...  
— Światło nigdy nie działało tu zbyt dobrze, prawda, karczmarzu? — zawołał ktoś z tłumu.  
— Z naszym królesztfem cuś jezd nieporzontku...

— Z tobą też, stary. Mówiłem już, że trza ci wiadra! — Znów zabrzmiał śmiech.

— Podatki są barbararz... brrabrzr... brbrzrbń... barso wysokie, nie mamy co jeźdź, moja siostra głoduje i choruje — ciągnął Firkin.

— Gnorn, wyciągnij skrzypce!

Firkin łyknął raz jeszcze.

— Sałe naszeżżzarcie wędruuuje w jedno miejsce. Do zamku i do króla. Zamek musi być pełnusionieczki szkra... szkarbów i jeźdź... jedzenia. Musi być!

Kilka osób z tłumu zaczęło rozmawiać między sobą.

— I fffłaśśnie dlatego tu jesteśśmy. Panowwwie, poczebujemy głupy — hik! — wyszokolonych zamch... zchmam... luci, kchórzy raznazafffsze uwolnionłł królesztffo od fszszszelkiego żżżła i szszszalonego króla!

Tłum stracił już resztki zainteresowania przemową. Skarby, czemu nie, bogactwa przekraczające najśmielsze marzenia, proszę bardzo, chętnie, najwyższa władza i szacunek, który niesie ze sobą bogactwo, z największą przyjemnością, ale żeby od razu zabijać królów? Nie, nic z tego. Za dużo zawracania głowy.

Hałasy i szmer stawały się coraz głośniejsze, tu i ówdzie zaczęły się kolejne rozmowy.

Firkin był jednak obojętny wobec faktu, że nikt go nie słucha, bądź po prostu zbyt pijany, żeby to zauważyć.

— ... nagrody będą wszszpaniauuue — kontynuował, całkowicie ignorowany. — Wszszszyszczyci pocielimy się szkra... szkarbami. Ale czeka naszszsz fiele niez... niepespieczeństff. Sztrasznicy mają kolczaszte miecie i fielkie habala... hlalabla... hlblablalbla...

Porywająca przemowa Firkina wsiąkała w szmer lokalu pełnego niezainteresowanych osób.

— ...nie, poszszszłuchajcie mnie — ciągnął dzielnie. — Kaszszty, ktozami pudzie, bendzie, hik!, bogaty. Pszszekroczciss foje najśś mielszemaszszeee... — Uniósł swój dzban, poślizgnął się na kałuży piwa na barze i zniknął w pół zdania. Nie zauważył tego nikt z wyjątkiem Beczki i Skroht'ma. Karczmarz przypatrzył się leżącemu twarzą do ziemi Beczce, niczym motyl przyszpilonemu do podłogi dwoma mieczami, pokręcił głową współczująco i dał znak właścicielom ostrzy. Otrzymali oni po dzbanie przedniego piwa w ramach nagrody za pilne wypełnianie swoich obowiązków i w związku z tym kompletnie zapomnieli o drżącej na podłodze postaci. W ciągu kilku minut życie wróciło do poziomu zdeprawowania uchodzącego w Czapie za normę.

\* \* \*

Fisk włókł się od niechcienia w stronę głównego centrum komunikacyjnego Cranachanu. Palcami odzianej w rękawice dłoni uderzał w pręty klatek stojących wzdłuż ścian pomieszczenia, które akurat przemierzał. Gdy odziany w czerni osobnik czynił w ten sposób poruszenie w klatkach, narastał tępy, ptasi szmer i stukot dziobów uderzających o stalowe karmniki. Nie znosił zapachu tych głupich ptaszysk. Irytował go fakt, iż cały wewnętrzny system komunikacyjny królestwa opiera się na gołębiej zdolności do powrotu w to miejsce skądkolwiek. Dla prężnej egzekutywy rady Cranachanu było to denerwująco wolne i niedokładne. Fisk nie znosił gołębi. To takie staromodne; w roku 1025 OG powinni już mieć coś lepszego. Kto mógł przewidzieć, ile potrwa lot? Gołąb mógł zatrzymać się na odpoczynek, zostać zjedzony przez jakiegoś wędrownego ptaka drapieżnego lub nawet uwiedziony przez dorodną, pragnącą potomstwa gołębicę. Jakże istniały gwarancje, że jakiś cholerny głupi ptak po prostu nie odleci sobie z piekielnie ważną informacją tylko dlatego, że może to zrobić?!

Jeszcze bardziej drażniło i irytowało Fiska to, że podczas niezwyklej, ekscytujących wydarzeń, takich jak wyprawy lub wojny, gołębie działały tylko w jedną stronę. Bierze się go ze sobą i odsyła z wiadomością. Ludzie piszą do niego i mówią mu, co robić. Co to za system komunikacyjny, w którym nie można na kogoś nawrzeszczyć? Jak można rządzić, nie wydając rozkazów? W takich wypadkach wszystko opiera się na zaufaniu, jednej z cech, z którymi Fisk nie chciał mieć nic wspólnego.

Zatrzymał się i zaczął robić miny do mieszkańca najbliższej klatki. Zabębnił palcami o kraty i zachichotał, widząc, jak ptak się cofa.

— A kysz! — zapiszczał, usiłując wystraszyć biedne zwierzę. — A kysz!  
A KYSZ!

— Sir. — W otwartych drzwiach centrum stanął kopista.

Fisk podniósł na niego wzrok i powolnym ruchem przygładził włosy.

— Czego?

— Sir, właśnie nadlatuje wiadomość.

— Nareszcie!

Przebiegł obok kopisty i wpadł do pomieszczenia-ładowiska. Bładoszary gołąb wleciał łagodnie przez otwarte okno, wczepiając pazurki w nierówną powierzchnię kamiennej półki.

— Złapać go! — rozkazał Fisk.

Drugi kopista doskoczył do ptaka, chwycił go delikatnie, łapiąc za uderzające skrzydła i podał Fiskowi łapami do przodu. Ten złapał niecierpliwie za tubę, a następnie, po chwili obustronnych pisków, zdjął ją i podszedł do stołu. Zaklął

siarczyście, zauważywszy zadrapania i rysy na rękawicach, i raz jeszcze zadumał się nad głupotą systemu wykorzystującego ptaki niewzbraniające się przed wykorzystywaniem swoich szponów. Otworzył małą tubę, wydobył z niej zwitek pergaminu i odczytał, co następuje:

Misja wykonana Stop  
Jeńcy wzięci Stop  
Dwie i pół minuty Stop  
Jesteś mi winny czterdzieści szylingów Stop  
E Hekatomb

Zaklął po raz kolejny i ruszył złożyć raport Królowi Grimzynowi.

A niech to! Wiedział, że Rhyngillczycy są głupi, ale żeby dali się nabrać na plan z sierpniowego numeru „Miesięcznika stratega”? Fisk nie mógł w to uwierzyć. Zgodził się postawić dwadzieścia szylingów, ale za zwycięstwo w czasie poniżej trzech minut musiał podwoić stawkę. Łatwy zarobek — Fisk nie wierzył w sierpniową strategię. Znow zaklął i pokręcił głową z niedowierzaniem. Żalśni Rhyngillczycy kosztowali go czterdzieści szylingów!

Wciąż przeklinając dodał do długiej listy rzeczy, którymi gardzi całe królestwo Rhyngill.

\* \* \*

Opętany miłośnik kotłów powrócił, by się zemścić, radośnie bębniąc i szalejąc wśród zamroczonych i straszliwie wrażliwych neuronów w mózgu Firkina. Beczka także nie czuł się zbyt dobrze.

Leżeli w rynsztoku przy ohydnej uliczce na tyłach Królewskiej Czapy. We wszystkich pozostałych zakątkach świata, w tej albo innej chwili tego dnia, powinno wzejść słońce. Wzeszło już, jak wielka, łysa głowa pomarańczowego olbrzyma, nad dalekowschodnim Morzem Chłodnym, aby spoglądając w dół na ostatnie, wytrwale uciekinierki, trzymające się jeszcze na nogach po forsownym, nocnym powstaniu (wojskowym, rzecz jasna); jego promienie błyskały na niebiesko i srebrno, tańczyły po lodowcowych pustkowiach Angstarktyki; wszędzie, nad połową świata będącą w jego zasięgu, słońce już wzeszło i świeciło. Wszędzie, z wyjątkiem fortu Knumm. Tu, w wilgotnym, mrocznym sercu Fortu, równie dobrze wciąż mógł panować środek nocy. Jednakże dla kogoś, wcale nie odległego o miliony mil, mimo to było zbyt jasno.



— OOOONNNIIIEEEEE! — jęknął Firkin, otworzywszy w ramach eksperymentu jedno przekrwione oko. — NIE ZNOWU! — Nocą ktoś wyłożył mu język wykładziną. Miłośnik kotłów kontynuował solówkę.

— OBOŻEBOŻEBOŻEBOŻEEEE!

Niejasne, lecz pomimo to bardzo zawstydzające nocne wypominki zaczęły przybierać konkretne formy. Rażnym krokiem przechadzały się po pamięci Firkina, dźgając go w synapsy neuronowym odpowiednikiem zakończenia parasola. Cofnęły się, by zobaczyć efekty.

Gdy mdłości i wstyd ścierały się w walce o dominację, twarz Firkina przybrała dziwny kolor, coś w rodzaju zieleni i czerwieni jednocześnie. Mięśnie twarzy miały się we współczuciu, kiedy niedowierzanie założyło oczywistym faktom nelsona. Firkin przegrał. Popatrzył na Beczkę, otworzył usta i zapytał:

— Co...?

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie przez najbliższe kilka minut, podczas których Beczka opowiedział o tym, jak zostali siłą usunięci z Czapy i spędzili noc w zaułku. Karczmarz nieco się wkurzył, przekonawszy się, że mają przy sobie zbyt mało, by zapłacić za napoje w szklankach, nie wspominając nawet o jedzeniu i wcześniejszych kolejkach. Mieli szczęście, że wyszli z tego bez połamanych kończyn — karczmarz dobrodusznie im odpuścił, gdyż, jak to ujął:

— Od lat nie było takiego ubawu, co nie, Gnorm?

— Grr — powiedział Gnorm.

Firkin wyglądał fatalnie, a czuł się jeszcze gorzej. Pragnął, by ziemia go pochłonęła.

— Zimiapchłómnidobra? — poprosił, pochylając głowę między kolanami. Beczka sięgnął po wiadro.

\* \* \*

Wysoko, w jednej z najwyższych wież zamku Rhyngill, pewien człowiek był bardzo zajęty. Jego szczupłe, kościste dłonie szybko i skutecznie opróżniały tuziny klatek. Była to brudna robota. Miał na sobie stary kitel, wielkie buty, czapkę z tkaniny i czarną, skórzaną opaskę na oku. Zamaszystym gestem zamiótł w ostatniej klatce i wrzucił gołębia z powrotem, szybko zamykając za nim drzwiczki. Uwolniony od przykrego obowiązku, zakrzyknął „A kysz!”. Nie było to przyjemne zajęcie, ale musiało zostać wykonywane. Nie mógł się tym zajmować ktoś inny, ponieważ nikt inny w zamku nie wiedział o trzymany tu niemal trzydziestu gołębiach. Stanowiło to jego małą tajemnicę.

Obejrzał się, słysząc łopot skrzydeł i skrobnięcie małych szponów lądującego na parapecie gołębia. Chwycił go nerwowo i trzymając na odległość wyciągniętej ręki, wniósł do środka. Przykucnął na podłodze i przytrzymał ptaka do góry nogami, odwiązując od jego nóżki kawałek papieru. Otworzył najbliższą klatkę i cisnął do niej gołębia, powodując oderwanie się i swobodny lot kilku piór.

Rozwinął cienki pasek papieru i odczytał:

Z powodu zbliżającego się Święta Królewskiego Stop  
następny wóz dostawczy Stop  
nadjedzie wcześniej 19 Stop  
Zadbaj żeby był wypełniony Stop  
BO INACZEJ Stop

Szybko policzył.

— To dzisiaj! — splunął na jednego z gołębi.

Nie znosił tych z Cranachanu, zawsze tak niespodziewanie zmieniających plany. Nienawidził tego przydziału, tego królestwa. Zacisnął zęby. Marzył o opuszczeniu Rhyngill.

— Ba! — rzucił. Kilka gołębi zamachało skrzydłami, kilka piór poszybowało łagodnie na podłogę.

Snydewinder przebrał się i wyszedł z komnaty, starannie zamykając trzy zamki po drugiej stronie drzwi.

\* \* \*

— Ta, której uda się umieścić stopę w tym oto sandale, jest prawowitą. . .

— Szkarlett, kochanie, nic mnie to nie obchodzi!

— . . . lubisz brzoskwinię?

Głosy powróciły.

— . . . skub, skub, ślurp. . .

— . . . cholerna harówka, dzień w dzień oganiać się od dam i panien.

Stawały się coraz głośniejsze.

Losowe, niepowiązane ze sobą zdania trzęsły się w jego głowie.

— Tato nie wraca ranki i wieczory. . .

To stawało się nie do zniesienia.

Jeden z jego najgorszych koszmarów.

— . . . ile widzisz palców?

Obudził się zlany zimnym potem. Więcej snów, więcej głosów. Jego ciałem wstrząsnął gorączkowy dreszcz. Głosy ze wszystkich książek, które przeczytał... cóż, zjadł, krzyczały do niego w nocy. Bolał go brzuch, czuł się wyczerpany.

— Musiało mi zaszkodzić coś, co jadłem! — zajęczał malutki mól książkowy, użalając się nad sobą.

Miał rację.

Te sny nawiedzały go od czasu nielegalnego obżarstwa podczas drzemki Wędrownego Czarodzieja. Stawały się coraz gorsze, głośniejsze i częstsze.

Bogu ducha winny mól książkowy, zażerając się łączywie Dodatkiem IIIb starej, oprawnej w skórę księgi, nie zdawał sobie sprawy z następujących faktów:

- a) była to księga Czarodzieja,
- b) była to magiczna księga,
- c) była to bardzo stara księga,
- d) była to bardzo magiczna księga,
- e) i będzie tego żałował!

Nie rozumiał także, co się z nim teraz dzieło.

Księgi magiczne muszą być drukowane na specjalnych maszynach drukarskich, nie po prostu nakładających atrament na pergamin, lecz inkaustujących słowa w substancję papieru, wiążących magiczny barwnik z samą esencją pergaminu, dzięki czemu tworzy się w ten sposób sieć określonych, stałych przewodnic falowych, wzmacniających konkretne magiczne sygnały. Odstępy między słowami mają znaczenie decydujące.

Prosty błąd interpunkcyjny podczas drukowania „Wylce Starożytnego Almanachu Magyi” spowodował zapętlenie jednego z czarów relokacyjnych. Błąd został odkryty zbyt późno, by dało się go usunąć, i stał się przyczyną natychmiastowego zniknięcia dwóch pras drukarskich, trzech maszyn do pisania i wszystkich spinaczy do papieru w biurze. Nigdy ich nie odnaleziono.

W tej chwili w czeluściach organizmu mola książkowego działy się rzeczy, które według naturalnego porządku tychże nigdy nie powinny się zdarzyć. Lignina, będąca składnikiem większości pergaminów, ulegała szybkiemu i nieodwracalnemu rozpuczeniu, podczas którego uwalniały się ze stronic winkaustowane w nie słowa. Słowa te, uwolnione z ograniczeń dwuwymiarowej strony, stały się zabawkami w bawialni chaosu i łączyły, grupowały się na nowo, tworząc bardziej znaczący układ. Układ tak szatańsko złożony na wszystkich swoich poziomach, że jego rozmiar był nieistotny. Układ wykraczający poza zwykłą makroskopię. Gdyby dało się go zobaczyć, przypominałby serię malutkich, obróconych do góry denkiem misek śniadaniowych umocowanych do wieszaka na ubrania.

Mól jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że ból brzucha i wizje stanowią dopiero początek. Szybko zbliżała się chwila, w której uwolnione słowa miały osiągnąć masę krytyczną.

Wydarzenie to mogło otworzyć nowy rozdział w historii.

Wydarzenie to mogło wstrząsnąć fundamentami rzeczywistości.  
Wydarzenie to mogło dla wszystkich w nie zamieszanych stanowić nowatorskie doświadczenie.

\* \* \*

Król Klayth przebywał w oficjalnych komnatach odziany w luźne poranne szaty. Z powodu żałoby po zaginionym ojcu szaty były niemal całkowicie czarne. Z leżącej przed nim na tacy zastawy śniadaniowej podniósł delikatnie filiżankę parującej herbaty.

— Sire, tego pięknego ranka pragnę dostąpić zaszczytu królewskiego towarzystwa. Czy mogę wejść i oddać się rozmowie? — Snydewinder powitał króla w uświęcony tradycją sposób i nie czekając na odpowiedź, wszedł do komnaty.

— Nie, nie możesz!

— Jak to, sire?

— Wciąż śniadam.

— Ależ przebywasz w oficjalnych komnatach, sire, i w związku z tym każdy może pragnąć zaszczytu bycia wysłuchanym. Nigdy nie odważyłbym się nawet pomyśleć o najściu waszej wysokości, gdy wasza wysokość przebywa w swych prywatnych kwaterach. To byłoby...

— Tak, tak. Czego chcesz? — zapytał król poirytowany.

— Sire — rozpoczął Snydewinder z wymuszoną wesołością — mamy wspańiały poranek. Pozwoliłem sobie nakazać osiodłanie koni. Czy wolno mi zasugerować waszej wysokości spędzenia ranka na polowaniu i ujeżdżaniu koni z dala od zamku? Z pewnością nie byłoby to bez znaczenia dla umiejętności zdradziec... eee... jeździeckich waszej wysokości — Zatarł nerwowym ruchem rękawice i przełknął ślinę. — Poranna przejażdżka po lesie, sire, cóż za wspańiały powóz... eee... początek dnia — zakończył z fałszywym uśmiechem.

Król po cichu upił herbaty.

— Konie są gotowe i gryzą wędzidło, że się tak wyrażę, sire. Wkrótce będzie za późno, minie najpiękniejsza pora dnia — dodał Snydewinder, wyglądając przez okno.

Król znów łyknął herbaty, szeleszcząc przy tym z cicha luźnymi szatami.

— Wysoki stopień umiejętności we wszystkich godnych monarchy zajęciach jest stosowny dla osoby królewskiego statusu, sire.

— Nie mam ochoty. Odejdź.

Po twarzy lorda kanclerza przemknął chwilowy wyraz przerażenia.

— Ależ, wasza królewskość, to bardzo ważne, kwestia życia i śmierci... eee... może nie dojść do kwestii życia lub śmierci, jeżeli wasza wysokość będzie dbał o umiejętności jeździeckie.

W głosie Snydewindera pojawiła się nuta desperacji.

— Jest za wcześnie.

— Ależ wasza królewska mość, będę... eee... konie będą zawiedzione, jeżeli... .

Lord kanclerz jął bawić się guzikami marynarki. Klayth zauważył, że jest niespokojny. Górę wzięła w nim ciekawość.

— Nie chcielibyśmy zmartwić naszych rumaków, prawda?

Snydewinder podniósł wzrok i wyraźnie się rozluźnił. Wysoki garb pomiędzy jego ramionami osiadł o kilka cali.

— Nie, sire, skądże znowu. Czy mogę w takim razie przyjąć, że wasza wysokość zechce nam tego ranka towarzyszyć?

— Tak. Niech i tak będzie. Poinformuj Bartosza i Matusza. — Klayth pociągnął kolejny łyk herbaty Earl Grey.

— Już to zrobiłem, sire.

— Bardzo dobrze.

— Zgromadzimy się przy moście zwodzonym i będziemy oczekiwać rychłego przybycia... — pośpieszył do wyjścia, rzucając jeszcze przez ramię — ... waszej wysokości.

Król łyknął herbaty i, nie po raz pierwszy, zagłębił się w żywionych co do Snydewindera podejrzeniach. Był pewien, że ten coś kręci.

Po kilku chwilach odłożył filiżankę i poszedł przebrać się w strój myśliwski.

\* \* \*

Pomiędzy zewnętrznymi fortyfikacjami, a wewnętrznym murem zamku czekała cierpliwie grupka czterech koni w pełnym myśliwskim rynsztunku. Dwóch olbrzymich strażników pałacowych karmiło je kostkami cukru i klepało po aksamitnych chrapach. Snydewinder bawił się strzemionami, kopał kamienie i mruczał pod nosem. Gdyby wynaleziono już zegarek na rękę, wciąż rzucałby na niego okiem, przeklinając mijające nieuchronnie sekundy. Nagle odbiegł od grupki, wyrzwał przez bramę i wrócił, z ożywieniem szarpiąc guziki swego stroju. Zdecydowanie coś chodziło mu po głowie.

— Ach, jakże miło zobaczyć waszą wysokość w tak piękny poranek! — Jego głos zabrzmiał cienko i nieszczerze.

Ignorując go, Klayth podszedł do grupy i z sympatią poklepał jednego z koni.

— Witaj, Bartosz, witaj, Matusz — zawołał.  
— Dzi-dzi-dzień dobry, sire.  
— Dobry, wasza wysokość.  
— Czy już wyruszamy, sire? Proszę, sire? Już, sire? — Snydewinder znów wyjrzał za bramę.

Król dosiadł swego konia i usadowił się w siodle. Czuł się dobrze. Lubił jazdę konną.

Bartosz i Matusz ociężale, a Snydewinder niczym nadpobudliwy szympanś wdrapali się na swoje potężne rumaki.

Wkrótce czterech jeźdźców pokierowało konie przez bramę i most zwodzony. Snydewinderowi wydawało się, że przejeżdżanie nad zieloną, zarośniętą liliami wodnymi fosą trwało całą wieczność. Bez przerwy oglądał się przez lewe ramię, zdając się czegoś (lub kogoś) wypatrywać.

Gdy przejechali przez most, lord kanclerz zadał w róg myśliwski i ukłął wierzchowca ostrogami. Pozostali podążyli za nim między drzewa i oddalili się od zamku.

Chwilę później para koni ciągnących pusty wóz wyjechała zza sporej kępy drzew i powoli ruszyła w stronę bramy.

\* \* \*

Kilka mil od zamku Rhyngill — i kilka godzin później — dwie postaci odpoczywały w cieniu drzew. Niższa i tęższa z nich wciąż dyszała, zmęczona wywlekaniem i wyciąganiem drugiej, wyższej i szczuplejszej, z rynsztoka przy brudnej uliczce w pobliżu Królewskiej Czapy.

— Jestem głodny — zagaił Beczka.

— Pff!

— Jesteś głodny?

— Pff!

— Założę się, że jesteś!

— Tak, i czuję się beznadziejnie. Zawiodłem. Przepraszam, Beczka, nie powinienem był cię w to wciągać. Głupiec ze mnie, jesteś moim najlepszym przyjacielem, nie powinienem brać cię ze sobą — łkał Firkin.

— I nie wzięłeś. Poszedłem za tobą.

— Powinienem odesłać cię z powrotem. — Łzy spływały cicho po brudnym policzku chłopca.

— Nie posłuchałbym. Stanowimy zespół.

— Zawiodłem ciebie i Jutrzenkę. — Firkin pociągnął nosem. — Tylko spójrz na nas. Spójrz, gdzie się znaleźliśmy.

— Właśnie, gdzie?

— Nie wiem! I nie wiem, co robić! Nie mamy pieniędzy, jedzenia, map! Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie mamy zamachowców. Ciągłe boli mnie głowa i gdybym znał drogę, maszerowałbym teraz do domu! — Głos chłopca drżał pod wpływem emocji. — Ale nie mogę wrócić. Nie wiedziałbym, co powiedzieć Jutrzence. Zawiodłem ją i ciebie. Zawiodłem! — Przewrócił się na brzuch i zaszlochał żałośnie w trawę, jeden z łokci pakując w coś brązowego i nieprzyjemnego.

Beczka wiercił się. Tak, ma rację, pomyślał, ale przecież tak daleko zaszliśmy i tyle zrobiliśmy.

Tok jego myśli zakłócił odległy dźwięk. Nadstawił ucha. Poprzez szelest liści, z oddali usłyszał głos rogu. Potem drugi raz, głośniejszy. Zbliżał się, i to szybko. Ziemia zadrżała.

Potrząsnął przyjaciela za ramię, ale Firkin usłyszał już dźwięk i rozglądał się wokół zmieszany. Oczy wciąż mu błyszczały.

Głosowi rogu towarzyszył tętent kopyt czterech ciężkich koni. Także coraz głośniejszy. Firkin usiadł, pociągnął nosem i przetarł oczy. Beczka skulił się za kłodą, na której siedział. Słyszeli cztery konie, ale przez gęstą zasłonę drzew nie mogli ich dostrzec. Tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy. Róg stawał się coraz głośniejszy. Firkin skulił się pełen najgorszych obaw. Ziemia drżała, jakby lada moment miała eksplodować.

Nagle zza drzew wyskoczyły cztery największe konie, jakie chłopcy w życiu widzieli. Firkin skamieniał ze strachu i skulił się na widok galopujących w jego stronę rumaków. Ciężko dyszały, ich chrapy falowały. Osiem par kopyt waliło w ziemię, mknąc długimi susami. Wszyscy jeźdźcy odziani byli w czern. Pierwszy z nich pociągnął mocno za wodze i pochylił się nad potężnym karkiem zwierzęcia, które skoczyło nad kłodą. Jeździec krzyknął w radosnym podnieceniu. Zanim kopyta rumaka dotknęły ziemi, w powietrzu znalazł się drugi i ignorując grawitację, zatoczył wielki łuk nad chłopcami. Wkrótce przeskoczyły trzeci i czwarty, najpierw nieskończenie długo przenosząc swoje brzuchy nad głowami przyjaciół, by potem wzbić tumany ziemi uderzeniami kopyt.

Firkin z wzrastającym gniewem obserwował, jak jeźdźcy oddalają się, wrzeszcząc obłąkańczo, podczas gdy wiatr rozwiewał im peleryny. Był pewien, że pierwszy z jeźdźców miał na głowie małą koronę. Rozmyślał, odprowadzając ich wzrokiem i strzepując sobie ziemię z pleców.

— Co to?... Kto to?... Mogli nas rozdeptać! — wyrzucił z siebie Beczka, czerwieniejąc na twarzy.

Firkin, milcząc, zmarszczył brwi i nachmurzył się w głębokim zamyśleniu.

Po chwili odwrócił się w stronę Beczki i powiedział:

— Polowanie, tak, król — ale nie w tej kolejności!

- Co?...
- Odpowiedzi na twoje pytania.
- Ach... tak więc to był... KRÓL!!!
- Jestem pewien.
- Skąd wiesz?

— Cóż, to logiczne — duże konie, dobrze odżywione; duzi strażnicy, dobrze odżywieni, w czarnych zbrojach; no i korona. W miarę królewska. I mogli nas stratować! Nawet nas nie zauważyli! Mogli skosić nas, pojechać dalej i...

Firkin zamyślił się. Czuł się bardzo mały i bardzo wściekły. Uderzył go ogrom jego zadania, lecz jednocześnie zapłonął w nim ogień słusznego gniewu. Jak on śmie traktować ludzi w lesie? Jak śmie ignorować nas, jakbyśmy byli robakami? Jak śmie traktować Jutrzenkę i resztę ludzi z Middin jak zwierzęta? To zaszło już za daleko, nie ujdzie mu na sucho.

Firkin wiedział, że potrzebują pomocy. Bez niej nie będą mogli wypełnić swego zadania. Ale w ciemnościach zaświeciła iskierka nadziei. Musi wciąż szukać. Dla dobra wszystkich nie mógł się poddać. Był to winny Beczce. Fort Knumm okazał się nieprzydatny, ale gdzieś na pewno ktoś się znajdzie. Wystarczy szukać, to tylko kwestia czasu. Firkin podniósł się, schwycił torbę i ruszył w ślad za czterema jeźdźcami.

Poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. To był Beczka.

— Nie teraz, proszę. Jeszcze nie. Niedługo za nimi podążymy. Ale, ale ja umieram z głodu! — zawył.

Firkin chciał wyruszyć bezzwłocznie, lecz nagle zdał sobie sprawę, że zbyt mocno naciska Beczkę. Ślad był wyraźny, trudno przeoczyć osiem par odcisków kopyt i liczne połamane gałęzie.

— W porządku — odparł. — Ja pójdę tędy, ty tamtędy. Widzę cię tu za dziesięć minut z wszystkimi orzechami i jagodami, jakie znajdziesz. Nie zgub się. No i... tego... udanych łowów.

— Bardzo zabawne — rzucił Beczka sarkastycznie.

Uspokojeni zmianą nastawienia Firkina i wciąż jeszcze wstrząśnięci po spotkaniu z jeźdźcami, uśmiechnęli się do siebie nawzajem i zajęli żywotną kwestią zbieractwa.

\* \* \*

Dwa konie pociągowe zmagaly się z uprzężą, ciągnąc po moście zwodzonym załadowany po brzegi wóz. Okute żelazem koła stukotały po nierównej drewnianej nawierzchni. Dwaj mężczyźni siedzący na koźle nie zważali na hałas. Wie-



dzieli, że w zamku nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć. Pociągając lejce, nakazali koniom skręcić w lewo. W zasadzie nie potrzebowały tej sugestii. Setki razy pokonywały tę trasę i bez trudu wracały do domu, przez granicę, a potem przez Góry Talpejskie.

Wóz podskoczył, przetaczając się po nierównym końcu mostu. Z jednego z worków wypadły dwie małe marchewki. Uwieńczywszy swą misję sukcesem, woźnica poluzował lejce i wóz potoczył się spokojnie szlakiem prowadzącym z zamku Rhyngill.

\* \* \*

Patrzyli na drzewa, w krzaki, pod drzewa, za krzaki. Nic. W bardzo krótkim czasie przeczesali zaskakująco rozległy teren, ale Firkin wracał na polanę z pustymi rękoma.

— Strata czasu — narzekał.

Kilka minut wcześniej Beczka biegał po lesie, wymachując rękami. Miał coś na oku i bardzo nie chciał, żeby to coś mu uciekło.

— Zaczekaj, aż zobaczysz, co mam. — Podszedł do stojącego w pobliżu pieńka. — Tylko tyle znalazłem, ale to zawsze coś. Wyciągnij nóż.

Beczka upuścił na pieńek swoją zdobycz.

Firkinowi opadła szczęka.

— Tylko tyle znalazłem — powtórzył Beczka przeproszającym tonem.

— Szukaliśmy jedzenia, a nie czegoś, co można włożyć do pudełka po zapalkach i nosić przy sobie jak zwierzątko!

— Wiem, że to niewiele, ale. . .

Firkin jeszcze raz dokładnie obejrzał propozycję przyjaciela. Była mała, bladezielona, i przyglądała im się z wyrzutem parą dużych, okrągłych, niemrugliwych oczu o bardzo złożonej budowie. Z głowy wystawały jej dwa czułki zakończone kulkami. Małe szczęki poruszały się bez przerwy. Nie wyglądała apetycznie. Firkin odwrócił się z obrzydzeniem.

— . . . lepsze to niż nic — zakończył Beczka niepewnie.

— Niewiele. Zjedz sam. Ja nie jestem głodny.

— Dostaniesz pół, jeśli chcesz — powiedział Beczka, dla podkreślenia swoich słów wymachując nożem.

— Nie, dzięki — odparł Firkin, kierując się w stronę nieco gęstsze fragmentu lasu. — Zrobię siusiu — dodał.

Zbierając się na odwagę, Beczka nachylił się nad małym owadem i lodowato uśmiechnął.

— Cześć, obiadku — rzucił, oblizując wargi i unosząc w górę nóż.  
Przymierzył się do cięcia.

— Jesteś pewien, że nie chcesz kawałka? — zapytał po raz kolejny.

— Nie — odrzekł Firkin, znikając między drzewami. — Pośpiesz się!

Beczka powtarzał sobie, że będzie smaczne. Przecież to głównie białka, sympatyczne, zdrowe białka z odrobiną chityny. Franek opowiadał o plemionach Pigmejów żywiących się wyłącznie robakami. Mnóstwem. Żywych. Chłopiec nagle pożałował, że pomyślał o chitynie.

— Jestem bardzo głodny — powiedział sobie. — Albo on, albo ja.  
Zacisnął zęby, zamknął oczy i uniósł nóż. Opuścił rękę...

— Nie, nie, stój — zapiszczał cienki głosik.

Beczka rozejrzał się. Zauważył jedynie kilka drzew i obiadek. Był pewien, że usłyszał głos. To musiał być wiatr, pomyślał.

Ponownie uniósł nóż...

— Nie, nie, stój. Mnie słyszysz, prawda to?

Beczka otworzył oczy szeroko. Wyprostowany do wysokości trzech czwartych cała robał wpatrywał mu się w oczy z wyrzutem.

— Obiadem nie będę.

Szczęka Beczki opadła z hukiem.

— Zjeść mnie naprawdę ty wcale nie chcesz.

— ... — odrzekł Beczka.

— Smakuję źle ja strasznie bardzo. Fuj. — Robał wykonał gest splunięcia.  
Godne podziwu u istoty z mnóstwem szczęk.

— ... — powtórzył Beczka i machnął nożem.

— Nie, nie. Mieć trzy życzenia ty możesz.

— Co...

— Trzy życzenia... dla ciebie... odłożony nóż być ma.

— Co masz na myśli? Jakie trzy życzenia? — Upuścił nóż.

— Mmmh! Nienormalnie się czuję od posiłku ostatniego. Sny szaleństwa, dziwne postaci poprzez moją świadomość skaczą. Męczące to jest! Mmmh! — Robał przechylił główkę na bok, nie przestając patrzeć Beczce w oczy.

— Ta, ale co z życzeniami?

— Taktyka opóźnienia, by użyciu noża twojego zapobiec. Postaci te sprowadzić tu mogę.

— Jakie postaci? Skąd?

— Z książek... Molem książkowym ja jestem, rozumiesz! Z Wymiaru Rozdziałów sprowadzić je tu mogę, w waszej rzeczywistości umieścić!

— Ranyyy... niezła gadka.

— Książki ja nie tylko zjadam.

— Możesz wywoływać bohaterów książek?

— Kogokolwiek... kontinuum tomowoprzestrzenne coś do czynienia z tym ma.

— Kogokolwiek?... Jak?

— Twoje oczy zamknięte, i mnie kogo ty chcesz, powiedz...

— Jeśli to żart, potraktuję cię jak obiad! — pogroził Beczka, przypominając sobie, że to on jest tu szefem.

Gdyby mól miał palce, w tym momencie mocno i porządnie skrzyżowałby je za plecami.

# **Zamek Rhyngill**

Cichy dźwięk zabrzmiał początkowo na poziomie trzech decybeli poniżej ludzkiego pułapu słyszalności. Dał się słyszeć niczym cykada w upalny śródziemnomorski wieczór na małej polanie wśród ogromnego lasu, mającej wkrótce stać się świadkiem tajemniczych wydarzeń, a położonej około pół mili od fortu Knumm. Kruchy, ostry dźwięk. Cykanie stawało się coraz głośniejsze. Dołączyło do niego drugie, identyczne, o tej samej częstotliwości. A potem kolejne. I kolejne. Łaskotały wewnątrz ucha jak źle ustawione radio tranzystorowe.

Słyszał je Beczka, Firkinowi zaś wydawało się, że coś słyszy. Intensywność dźwięków wzrastała, lecz wciąż doskonale współbrzmiały. Beczka rozejrzał się, usiłując zlokalizować ich źródło. Zdawały się dochodzić znikąd. Albo skądkolwiek. Stopniowo dawał się rozpoznać także coraz mocniejszy harmonijny akord. Idealna tercja mała. Dźwięk miarowo stawał się głośniejszy i głośniejszy.

Firkin dosłyszał go, i wychynął zza drzew i podszedł do przyjaciela.

Dołączył się akord kwintowy, by dodać molową harmoniczną. Było to jednocześnie piękne i irytujące, niczym chór komarów.

Beczka dostrzegł srebrną smugę przemykającą na granicy jego pola widzenia. Potem następną. Kwinta urosła w siłę. Teraz całość brzmiała, jakby ktoś pocierał palcami o brzegi setek kieliszków do koniaku. Efekt był hipnotyczny. Kilka srebrnych smug nadleciało z lewej i zaczęło wirować wokół siebie, tworząc małą drogę mleczną. Włosy na karku Firkina wibrowały.

Chłopcy wpatrywali się w te cuda z zachwytem. Mól książkowy miał oczy mocno zaciśnięte. Pomiedzy jego czułkami przeskakiwały drobne wyładowania elektryczne. Dźwięk tężał wraz z pojawianiem się na polance kolejnych srebrnych smug, które zbierały się i zlewały.

Do podstawy akordu dołączyła septyma. Dało się wyczuć napięcie. Dźwięk stał się trudny do zniesienia. Wewnątrz głów chłopców pojawiło się swędzenie. Wciąż było głośniejsze, już zupełnie nie do wytrzymania. Powietrze na polance, wypełnione srebrnymi smugami, zrobiło się ciężkie i nieprzejrzyste. Septyma rosła w siłę. I wtedy...

Cisza. Kompletna, absolutna cisza. Akord rozplynął się w nicość, smugi zaś uformowały w... pulchnego, wieprzkowatego jegomościa, odzianego w wytłuszczony fartuch i zapewne niegdyś białą czapkę kucharską, który dzierżył tacę przepysznie wyglądających pasztecików z kruchego ciasta. Beczka wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Potarł oczy, zamrugał, spojrzął na mola książkowego i z powrotem na Pasztetnika. Ten tymczasem jął przechadzać się po polanie we własnej, zdumiewająco realnej osobie.

— Paszteciki, paaszteciki! Dobrze, świeże paaszteciki! Pan mi wyglądasz na głodomora, że się tak wyrażę. Pyszny, zdrowy pasztecik dobrze panu zrobi!

Obaj przyjaciele stali jak wryci.

— Widzę, ale... — zaczął Firkin.

— Pasztecik... pasztecik... pasztecik... — szeptał Beczka, wpatrując się w stojącego przed nimi mężczyznę jak w obraz.

— Świeże, rano upieczone, ze składników pierwszej jakości, tradycyjne przepisy...

— ...oczom nie wierzę! — dokończył Firkin.

— ...z wieprzowinką, cynaderkami, dziczyzną...

Beczka, śliniąc się, pomknął jak w transie ku Pasztetnikowi. Widok chrupiących, złocistych pasztecików parujących łagodnie doszczętnie go otumanił. Nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu.

Mól książkowy także.

Podziałało. Było łatwe, nie musiał wypowiadać żadnej magicznej formuły, po prostu pomyślał o Pasztetniku — i stało się. Czuł, jak jego niewielka jaźń rozpryskuje się na miliony maluteńkich kawałeczków, które pędzą we wszystkich kierunkach na poszukiwania. Nieskończenie małe srebrne iskierki pomknęły buszować do innego wymiaru. Magiczne pociski niosące myśl o Pasztetniku wystrzełyły w pustkę, by wybrać maleńkie elementy z postaci występujących we wszystkich książkach. Plądrując biblioteki, najeżdżając księgarnie i pędząc wzdłuż półek wychwytywały z książek fragmenty, a następnie gromadziły je w jednym punkcie. Tam, niczym siarczan miedzi krystalizujący natychmiast z nasyconego roztworu, wszystkie te drobiny przyłgnęły do siebie w wyniku implozji nieentropijnej energii, i tak oto w środku lasu stanął, jakby był tam od zawsze, Pasztetnik. Stworzony z elementów licznych rymowanek dla dzieci z całego świata, objawił się fizycznie przed oczyma zdumionych chłopców i nie mniej zdumionego mola.

\* \* \*

Ciszę rozdarły niesione przez echo uderzenia kopyt o murawę przed zamkiem. Czterech jeźdźców powracało z przejażdżki. Król Klayth, ciężko dysząc, zatrzymał konia, przystając tuż przed mostem zwodzonym. Jego rumak zziąjął się z wysiłku i przestępował niespokojnie z nogi na nogę na miękkim podłożu. Dwaj strażnicy pałacowi przemknęli po moście i zniknęli w zamku. Jadący niedaleko za nimi Snydewinder krzyknął jeszcze: „Wspaniała przejażdżka, sire, bardzo przyjemna!”, i nie czekając na odpowiedź, przejechał po moście i znikł królowi z oczu.

Dziwne, pomyślał Klayth. Jestem pewien, że się uśmiechał. Zadziwiające, ile potrafi zdziałać zwykły koń!

Wzorem pozostałych ruszył w stronę zamku, lecz nagle się zatrzymał. Coś przykuło jego wzrok. Na ziemi, kilka jardów od niego, leżała malutka marcheweczka, wgnieciona w świeży odcisk podkowy.

Nie widział jej, kiedy wyjeżdżali.

Ale z drugiej strony, zastanawiał się władca, nie przyglądałem się wtedy. To nie takie oczywiste.

Jeszcze raz popatrzył na miejsce, gdzie kończyło się miękkie podłoże i choć nie mógł mieć całkowitej pewności, doszedł do wniosku, że wygląda to tak jakby ciężki wóz wyjechał z zamku i skierował się szlakiem ku góróm. Król w zamysleniu pokręcił jeszcze głową, wrzucił ramionami, postarał się zapamiętać, że powinien wypytać o to lorda kanclerza, i wjechał na most.

\* \* \*

— Zaraz, zaraz, czy ja dobrze rozumiem? — powiedział powoli Firkin do tryskającego radością Beczki. — Usiłujesz mi wmówić, że to wszystko robota mola książkowego?

— O'szsta.

— Co?

— Tak się nazywa.

— O'szst?

— Cóż, tak to zabrzmiało. Wydawał szczękami taki śmieszny odgłos, brzmiący mniej więcej... eee... no, O'szst.

— W porządku — tak więc to wszystko robota O'szsta?

— Zgadza się — przytaknął Beczka jak gdyby nigdy nic.

— I utrzymujesz, że paszteciki, które przed chwilą zjedliśmy, upiekł Pasztetnik, który jeszcze trzy minuty temu był zbiorem słów w książkach rozsypanych po całym świecie?

— Tak.

— I że tajemniczy dźwięk oraz te śmieszne srebrne cosie były fragmentami jego postaci, zbierającymi się razem, żeby go urzeczywistnić?

— Tak.

— ...i teraz jest realny jak ty i ja...

— Tak.

— ...i ty zażyczyłeś sobie Pasztetnika...

— Tak.

— ...i mamy jeszcze dwa życzenia...

— Tak.

— ...i możemy sprowadzić kogokolwiek...

— Tak.

— ...kto nam się zamarzy?...

— Tak.

— I ja mam w to uwierzyć?

— Tak.

— Wiedziałem, że to powiesz.

O'szst potakiwał wszystkiemu równie gorliwie jak Beczka.

Firkin usiadł i w zamyśleniu wlepił wzrok w mola. Ten odpowiedział pełnym samozadowolenia spojrzeniem.

— Pszam, chłopaki — zmaćił ciszę Pasztetnik — ale jak nic już nie chcecie, to będę spadał do Bajlandii, tak więc do zobaczyska, w porządku?

— Nie, nie, musisz pójść z nami — odezwał się błagalnie Beczka. — Proszę.

— Kiedy mam do opchnięcia te wszystkie paszteciki!

Firkin wstał, wsunął sobie O'szsta do kieszeni i podszedł do Pasztetnika. Jedną ręką obejmując jego wyfluszczone ramię, jął wyjaśniać, że udają się do zamku Rhyngill, i że „dostawca pasztetów jego królewskiej mości” brzmi bardzo fajnie, a poza tym na zamku są ci wszyscy ludzie, sam wiesz, no, rycerze, pisarze, panny, ooo tak, mnóstwo panien, z twoim wyglądem nie będziesz miał żadnych problemów, straszne mnóstwo panien, na pewno sprzedasz tyle, ile dziennie wypiekasz, plus coś ekstra, rozumiesz? Zapadła cisza, wszyscy pogrążyli się we własnych myślach.

Pasztetnik marzył o nowych przepisach, królewskich przepisach. Ma się rozumieć wtedy, kiedy nie marzył akurat o pannach.

Beczka marzył o gorących, parujących pasztecikach.

Firkin rozmyślał o wszystkich herosach ze wszystkich książek, jakie czytał. Wtedy to, po raz pierwszy w życiu, na tej polance pośród potężnego lasu, naprawdę pomyślał o magii na poważnie.

\* \* \*

Cukinia siedziała na wielkim dębowym stole kuchennym, bezmyślnie wymachując nogami. Przerwała to pasjonujące zajęcie, podniosła łyżkę i zaczęła odciskać sobie na nodze zanikające powoli czerwone kółka. Val Jambon zajęty był w drugim końcu kuchni wykańczaniem popołowaniowej przekąski dla króla. Cukinia obserwowała przez ostatnie piętnaście minut, jak szatkował, ucierał, kroił i siekał. Na piecu gotowało się niespiesznie w kilku garnkach. On był zajęty. Ona znudzona.



Nuda, nuda, nuda. Chcę kogoś do zabawy, myślała sobie, chociażby zwierzątko.

— Przyniosę trochę wody — odezwała się, zeskoczyła ze stołu, wzięła wiadro i wyszła z kuchni.

— Świetnie — nieobecny głosem zawołał zza pleców Val Jambon.

Drzwi, przez które wyszła Cukinia, oczywiście nie prowadziły bezpośrednio na zewnątrz. Zbyt łatwo by to życie wojskom najeźdźcy. Prowadziły do niewielkiego przedsionka z trzydziestoma lub czterdziestoma okienkami strzelniczymi, następnie przez kolejne drzwi i ciemny korytarz, szeroki w sam raz dla Cukinii, która przemknęła pod murem i fosą, potem poszła w górę, by w końcu wychynąć z naturalnie wyglądającej jaskini we wzgórzu nieopodal zamku.

Korytarz ten w przeszłości spełniał nieocenioną funkcję, pozwalając na zaopatrywanie zamku podczas oblężeń. Rzecz jasna, miał też system obronny. Oprócz okienek strzelniczych rozmieszczonych w wielu punktach na całej jego długości istniał mechanizm pozwalający zatopić tunel wodą z fosy. Z możliwości tej skorzystano tylko raz, ale za to z niezwyklejmi efektami, podczas oblężenia w roku 936 OG, kiedy to król Stigg... to zresztą temat na osobną opowieść.

Cukinia zamruwała w jasnym świetle poranka i wsłuchiwała się w dość późne chóry ptaków pragnących zaznaczyć swe terytoria. Z uwagą słuchała trel skowronków walczących o dominację w porannym powietrzu. Z niskich krzaków dobiegało świergotanie czyżyków, w oddali dało się słyszeć kukułkę. Cukinia uwielbiała śpiew ptaków. Marzycielsko wpatrując się w gałęzie i nucąc coś pod nosem, ruszyła w kierunku studni.

\* \* \*

Jednocześnie na całym świecie ze wszystkich kopii pewnej bajki po cichu i nagle usunięto elementy pewnej postaci. Stojąc w wyjątkowo cichej bibliotece, wsłuchując się uważnie i patrząc na właściwą pozycję, dałoby się prawdopodobnie zauważyć, jak niemal nieskończenie mała srebrna smuzka wlatuje do książki, by po chwili opuścić ją, powiększywszy się nieco, i odlecieć w kierunku, z którego się pojawiła. Ba, dałoby się nawet usłyszeć przy tym cichy świst! Gdyby zaś książka leżała otwarta, jej stronic mogłyby zafalować nieco, jakby poruszył ją leciusieńki podmuch wiatru.

Wszystkie elementy wyrwane z powierzchni stronic, na których spoczywały od lat, mknęły niesione przez srebrne magiczne pociski w kierunku jednego punktu zbiorczego.

Punkt ten znajdował się około dwóch mil od wielkiego zamczyska, na polance pośród potężnego lasu. Na owej polance stali: Firkin, Beczka, Pasztetnik i mały mól książkowy. Dzięki odżywczej wartości pasztecików i determinacji Firkina przeszli tego ranka kawał drogi.

Wszyscy czterej obserwowali, jak tworzy się przed nimi mała srebrna galaktyka. Chór komarów znów doskonale sobie radził, więc gdy z lewej nadleciała kolejna grupa srebrnych drobinek, septyma zaczęła wybijać się w akordzie. Pasztetnik podrapał się po głowie, między czułkami mola skakały wyładowania elektryczne, zdawało się, że lada moment nadejdzie potężna burza. Dźwięk stawał się coraz wyższy i głośniejszy. Wstrzymali oddech, powietrze wirowało od srebrnych smug. Firkin modlił się o rozwiązanie komarzego chóru. Włosy w jego nozdrzach zadrżały, nagle gwałtownie zachciało mu się kichać. Dźwięk stał się głośniejszy. I znów. I . . .

Na polance zapadła cisza, jakby ktoś zamknął ją w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Firkin kichnął. Kiddy otworzył oczy, zorientował się, że mają towarzystwo. Przed nimi na rozstawionych nogach stał zwałisty mężczyzna w pełnej średniowiecznej zbroi odbijającej popołudniowe słońce. Przyłbicę hełmu miał spuszczoną. W pochwie na szerokich plecach dyndało swobodnie wielkie, dwuręczne mieczysko, na lewym nadgarstku wisiał krótszy, bogato zdobiony mieczyk, do lewego ramienia miał umocowaną małą, okrągłą tarczę, udekorowaną koroną z brązu i dwiema wstążkami na beżowym tle.

Chłopcy, zaszokowani ponownym sukcesem, nie mogli ustać w miejscu, O'szst zaś wyglądał na zadowolonego z siebie — gdyby miał paznokcie, wycierałby je o koszulę na piersi.

Firkin podszedł niepewnie do opancerzonego osobnika i przemówił podniesionym głosem, jak sądził, odpowiednim w tej sytuacji.

— Czołem waszej wysokości — rzekłszy to, skłonił się głęboko i z namaszczeniem.

Rycerz stał niewzruszony.

Firkin spojrzał za siebie. Beczka i Pasztetnik, uśmiechnięci głupawo, bezgłośnie powtarzali ruchem warg: Da-waj, da-waj!

— Hmm, hmm, uszanowanie waszej wysokości. Eee . . . pokornie błagamy jegomości o parol, iż weźmie udział w słusznej, a szlachetnej wyprawie, którejśmy się samowtór podjęli.

Firkin zmagął się ze swoją nikłą zdolnością do stylizacji językowej.

— Trwamy przy nadziei — kontynuował przemowę do lśniącego metalowego monolitu — iż jegomość uzna za stosowne, by u naszego boku, z orężem swoim, przyjąć służbę . . .

Rycerz rozkrzyżował ręce i powolnym ruchem uniósł przyłbicę. Z zacienionego wnętrza hełmu wyjrzało dwoje przeszywających, błękitnych oczu.

— ...naszą, a jednakowoż zobowiązać się do... ooo. — Firkin spoglądał w parę błękitnych oczu. — Czołem — dodał jeszcze słabnącym głosem.

— O żeż, a się wam kielbasi z tymi „jegomościami” i „jednakowozami”! Od lat żem tego nie słyszał!

Firkin stał zdumiony, Beczka zaś wiercił się nerwowo.

— Chcesz pan pysznego pasztecika? — zagadnął Pasztetnik, wyczuwając okazję handlową i jednocześnie pragnąc przerwać krępującą ciszę.

— Mata, kumie, ze świniną i grochem? Ni ma to jak groch.

— Niestety nie, psze pana. Jestem dostawcą pasztecików bez grochu.

— Juści, bez grochu nie Iza. Wcalem nie taki głodny. A ty — zwrócił się siedzący na pniaku rycerz do Firkina — coś żeś chyba przed chwilą bałakał? Coś o „szlachetnej wyprawie”, cy cuś.

— No... tak — odparł zbity z tropu Firkin, podchodząc do rycerza w lśniącej zbroi i starając się sobie przypomnieć, czy Franek wspominał, że on tak śmiesznie mówi. Trochę to potrwa, myślał, zanim się przyzwyczaimy.

Rycerz zdjął hełm i położył go na ziemi. Kaskada kruczoczarnych włosów spłynęła po ramionach wojownika. Był dokładnie ogolony, a jego podbródek opisać właściwie mogło wyłącznie słowo „szlachetny”. Twarz miał uczciwą, znamionowała wielką siłę woli. Odpowiadał marzeniom każdej panny — wysoki, czarnowłosy, przystojny rycerz w lśniącej zbroi.

— Cóż, widzi pan, to jest tak... — Firkin zaczął opisywać ich trudne położenie.

Książę Chandon słuchał uważnie, co jakiś czas zadając w swej dziwacznej gwarze pytania. Kiedy Firkin skończył, książę wstał, nonszalancko dobył swego dwuręcznego miecza i wyciągnął go ku niebu. Wyglądał fantastycznie, gdy stał tak na polanie. Promienie słońca odbijały się od zbroi, dodając mu istic bajkowego charakteru.

— Ja, książę Chandon, się do was przyłączam. Ramię w ramię z wami stanę i od wszelkich przeciwności obronię.

— Och, dziękujemy! — zawołał Firkin.

— To bardzo miło z pana strony — przytaknął Beczka.

— Tyla przynajmniej mogę zrobić — odparł książę skromnie. — No i mnogo lat będzie, odkądżem ostatni raz porządnie komu skórę złoł. Tylko jedno pomiarkujwa — muszę zachować anonimowość, co by się nikt nie zwiedział, kto ja jestem. Od teraz wołajta mnie skrótem: „ksiCh”.

Ze względu na wymowę, zabrzmiało to jak „Krzyś”.

— W porządku, eee... Krzysiu, ale po co ta tajemnica? — spytał Firkin, mając nadzieję, że uda mu się zrozumieć odpowiedź.

— Nie chcę, co by się wszystkie ludziska dowiedzieli, żem tu jest. Juści, bez obrazy... to nie są sprawy, którymi się winna królewskość zajmować.

Firkinowi zdawało się, że rozumie co ważniejsze punkty wypowiedzi księcia.

— Mię nie biega o te, jakże im tam, „cuda odwagi”, cy coś. To mię akuratnie w sam raz urządza! — Książę obejrzał się za siebie i ściszył głos konfidencyjnie. — Mię o dziouchy biega. Psiekrwie spokoju nie dadzą! Dzień za dniem się od tego tałatajstwa, panien i damulek, trza oganiać! Lubię ratowanie, mnogo radości daje, ino one są potem wszystkie, psia jucha, wdzięczne, i się setkami za mną uganiają. Aż skóra na człeku czasem cierpie!

Paszetnik wpatrywał się w niego z zazdrością, mrużąc pod nosem coś o nierównych szansach.

— Ale, kiedy wam się jeszcze jedno życzenie ostało! — odezwał się książę, zmieniając temat — Żeśwa wymyślili, kto się tą razą pojawi?

Firkin powiedział mu. Co ciekawe, jego własny sposób mówienia brzmiał teraz dziwnie.

— Słuszne gadanie!

Beczka przekazał molowi książkowemu ich trzecie życzenie.

Wszyscy stanęli wyczekująco. O'szt wyprostował się do pełnego wzrostu (trzy czwarte cala), zamknął oczy i zamyślił się. Teraz, kiedy pojawił już, o co chodzi, a w dodatku miał publiczność, uległ pokusie cichego mamrotania pod nosem i tajemniczego manipulowania czułkami — po prostu dla zrobienia lepszego wrażenia. Zatoczył się do przodu i do tyłu, jakby opanowały go jakieś dziwne duchy. Wiedział, że oczy wszystkich utkwione są właśnie w nim.

— Hopsiupmykmyk — pisnął (także dla lepszego wrażenia), łącząc czułki.

Jego jaźń eksplodowała po raz kolejny, znów stał się punktem zbornym dla fragmentów dzieł literackich. Niemal natychmiast pojawił się szklany szum, nabierający intensywności wraz z formowaniem się człękkształtnego pola. Tercja wzniosła się nad podstawę akordu, a niebawem dołączyła do niej kwinta. Tłumek zgromadzonych na polance istot wpatrywał się w gęstniejącą chmurę srebrnego pyłu, każdy chciał pierwszy dostrzec kształty formującej się postaci.

Gdy septyma wzrosła w siłę, a gęstość magicznych pocisków zbliżyła się do krytycznej, Firkina zaczęła swędzieć skóra na głowie. Wstrzymał oddech, oczekując rozwiązania. Nagle w znajomy akord wdarła się fałszywa nuta. Zapadła cisza, a na polanie pojawiła się następna postać.

— Wy... — zdążyła wyrzec, po czym błyskawicznie zniknęła, zostawiając po sobie jaśniejsze widmo masy siwiejących włosów i symfonię kolorów.

\* \* \*

Na polance panowała grobowa cisza.

Wszyscy wpatrywali się oskarżycielsko w uparcie usiłującego wzruszyć swoimi nieistniejącymi ramionami mola książkowego.

— Na mnie nie patrzcie! — pisnął mól. — Winy mojej nie ma w tym! Nie rozumiem tego ja!

— Spróbuj jeszcze raz.

O'szt zamknął oczy i spróbował jeszcze raz. Znów zabrzmiał coraz intensywniejszy szklany dźwięk. Tercja wzniosła się nad podstawą, nabrała mocy, po czym niespodziewanie rozjechała się, uziemiona serią błękitnych iskier tworzących łuk między czułkami O'szsta, i pozostawiając po sobie delikatny zapach ozonu. Mól rozejrzał się wokół strapiony.

— Przepraszam. Niemożliwe to teraz jest. Interferencja zbyt wielka. Ktoś czyta o nim prawdopodobnie.

Firkin miał dość. Zacisnął zęby i przygnębiony objął rękami kolana.

Beczka kazał molowi próbować co dziesięć minut, aż mu się uda.

Cała czwórka zasiadła na polanie, opierając się plecami o pnie drzew i słuchała opowieści księcia o ratowaniu dam przed smokami, wiedźmami, paleniem na stosie i tym podobnymi zagrożeniami.

Opowiedział także o cudach odwagi dokonanych przez innych rycerzy, kończąc historią o jednym, który ocalił pannę przed gotowaniem żywcem w potężnej wieży, a skończył z plamą na honorze, gdy owa panna zaciągnęła go do łóżnicy.

— Widzita — podsumował. — Kupczenie pasztetami może i takie chwalebne nie jest, juści bezpieczniejsze — na pewno.

— Masz rację — zgodził się Pasztetnik, w głębi duszy pragnący jednak zasmakować „chwalebnego” ryzyka, chociażby raz, króciutko.

Nagle grupka usłyszała znajomy wysoki dźwięk. O'sztstowi udało się, chór komarów powrócił i powołując nową postać do istnienia, grał coraz głośniej. Srebrny pył nadlatywał ze wszystkich stron, powodując na polance prawdziwą srebrną zamieć. Wysokość dźwięku rosła, aż stał się głośny i ostry, nie do zniesienia, i po chwili na polance ukazała się w całej swej okazałości trzecia postać.

Odziana była w pelerynę koloru E-dur, udekorowaną wszystkimi znakami zodiaku, gwiazdkami i księżycami, wykończoną futrzanym kołnierzem i mankietami barwy c-moll. Ogólnie rzecz biorąc — krzykliwy dysonans. Miała też pasujący do wiolonczerywonych szat wysoki kapelusz, osadzony pod dość swobodnym kątem na głowie, pokrytej burzą rozczochranych, przeważnie siwych włosów.

Twarz zdobiła mu długa, gęsta broda, a pod pachą dzierżył różdżkę.

Starzec wlepił swe lodowate oczy w Firkina.

— Ty musisz być Firkin.

— No... tak — odparł chłopiec zdumiony.

— Ja jestem Merlot. Lubisz brzoskwinie?

— Podziałało znów, widzicie, widzicie? — zagwizdał mól.

Jego słowa zagłuszył hałas dochodzący spomiędzy pobliskich krzaków. Gałęzie zahuśtały się, liście zaszeleściły, jakby jakaś istota w wyjątkowo złym humorze usiłowała się wyprostować. Nagle, niczym kula armatnia, w chmurze piór, liści i zdumionych owadów, z krzaków wystrzeliła sowa uszata. Popędziła prosto na Merlota, w ostatniej chwili rozkładając skrzydła, machając nimi łagodnie i osiadając melodyjnie na odzianym w c-moll ramieniu. Wyprostowała się, przygładziła pióra ogona i starannie złożyła skrzydła, odzyskując tym samym swój normalny wygląd.

— Och, jaka śliczna sowa! — jęknął Beczka.

Sowa wyprostowała się i przymknęła oczy.

— Jaka sowa? — odparła spokojnym, wyważonym głosem.

— Arbutusie, to bardzo niegrzecznie, czyż nie? — upomniał sowę Merlot.

— Phi! A wyrwanie nas tak, w połowie rozdziału, jest niby szczytem grzeczności? — Arbutus zamknął leniwie oczy, przemieniając się w doskonałą ilustrację terminu „osowiasty”.

— To nie moja wina, jak ci doskonale wiadomo — odparł Merlot. — To twoja sprawka, czyż nie? — powiedział, intensywnie wpatrując się w małego zakłopotanego robaczka, który siedział na pieńku.

— Imponujące, doprawdy imponujące. Porwałś się z motyką na słońce, czyż nie? — Zachichotał, a z jego brody posypały się okruchy. — Musisz się jeszcze wiele nauczyć o etykiecie magii, mój mały, zielony przyjacielu. Pozwól na jakiś czas do mnie. — Wziął robaczka w starczą, pomarszczoną dłoń i zwrócił się do Firkina.

— Cóż — kontynuował — wesola tu macie gromadkę, młodzieńcze. Wesola, czyż nie?

— Eee... dziękuję, tak. Bardzo się cieszę, że mógł pan do nas dołączyć — powiedział Firkin przepaszająco.

— Nie miałem wyboru, czyż nie? Nazywają to przyzywaniem. Cóż, jeśli nadal interesuje was to całe królobójstwo, powinniśmy ruszać. Jak to mówią, kuj cośćam póki... eee...

— Gorące — zaskrzeczał Arbutus, pociągając dziobem za mysi ogonek zwisający spod kapelusza czarodzieja.

— Tak — zakończył Merlot. — Za mną! — zakrzyknął i wymachując różdżką, chwiejnym krokiem opuścił polanę.

— Pierwsze, co powinieneś wiedzieć o czarach przyzywających — mówił do robaczka siedzącego mu na dłoni — jest to, że nie da się ich zignorować, czyż nie? Pomyśl o telefonie... ach, nie, nie znasz ich, w takim razie pomyśl o czymś, co bardzo trudno jest zignorować, a potem spróbuj intensywnie myśleć o zignorowaniu tego, rozumiesz? Pewnego razu, będąc w środku wyjątkowo wielkiego...

Merlot, kontynuując przemowę skierowaną do wnętrza swej dłoni, z Arbutusem dumnie wczepionym w ramię, zniknął między drzewami.

Reszta, wzruszywszy ramionami, podążyła za nim.

\* \* \*

W zupełnie pustej kuchni, gdzieś w dolnych poziomach zamku Rhyngill, ktoś się poruszył lub raczej — przemknął. Wiedział, że nie powinien się tu znajdować. Wiedział, że jeśli zostanie przyłapany, będzie miał kłopoty.

W chwili nieuwagi postawił stopę na połówce łupiny orzecha. Łupina pękła głośno. Stał bez ruchu. Dźwięk odbijał się echem po kuchni, zbyt głośno i zbyt długo. Powoli rozejrzał się wokół.

Para małych, czarnych oczu przyglądała mu się zza drżących wąsików i krendensu. Nie zauważył myszy, a gdyby nawet — zignorowałby ją. Wypatrywał ludzkiego towarzystwa; szpiedzy zazwyczaj nie przypominają gryzoni.

Mysz obserwowała wysokiego, szczupłego intruza, przekradającego się w kierunku spiżarni znajdującej się po drugiej stronie kuchni. Po kilku minutach widziała, jak wraca, dźwigając jutowy wór pełen ziarna dla ptaków.

Gdy złodziej majstrował przy zasuwce od drzwi kuchennych i wymykał się na korytarz, zlustrowawszy go uprzednio wzrokiem, z worka wypadło i potoczyło się po podłodze kilka ziaren. Mysz znów została sama.

\* \* \*

Wysłuchawszy pierwszej lekcji, O'szst pochrapywał łagodnie w kieszeni Merlota. Udało mu się urządzić całkiem wygodnie wśród kawałków sznurka, słomek, różnorodnych skrawków tkanin i strzępków pergaminu, noszonych tu przez czarodzieja. Merlot nienawidził wyrzucania czegokolwiek, utrzymując, iż: „To, że nie potrafię znaleźć dla czegoś zastosowania, nie oznacza, że jest bezużyteczne, czyż nie?”. Jego szaty pełne były drobnych śmieci, które normalny człowiek na jego miejscu już dawno by wyrzucił. Nikt do końca nie miał pewności, w jaki sposób udaje mu się zachować pion, mimo że dźwiga ze sobą taką masę odpadków.

Istniało wiele aspektów zachowania Merlota dla wielu nie do końca jasnych. Jednym z nich była jego niezwykła wiedza o rzeczach, o których nie powinien mieć zielonego pojęcia. Krążyła plotka, że Merlot żyje wstecz i pamięta pewne rzeczy z przyszłości. Plotka, że uparcie pamięta wszelkie przeszłe dementi.

Jedną z rzeczy, z których zdawał sobie sprawę czarodziej, była minimalna wiedza chłopców na temat prowadzenia działań wojennych. W całości czerpali ją z poznanych jeszcze w Middin opowieści rodziców i Francka. Merlot rozumiał także powody przyzwania księcia Chandon — był wielkim rycerzem z jednym, czy dwoma wielkimi mieczami, mógł odegrać rolę zarówno obrońcy, jak i zamachowca. Rzecz jasna, chłopcy nie mieli pojęcia, że zbroja księcia lśniła, błyszczczała i iskrzyła się jak nowa tylko dlatego, że właśnie taka była: pierwszorzędna i nowiuteńka. Jak to zbroja paradna, cienka, lekka, zaprojektowana, by dobrze się prezentować. Bez wątplenia wygięłaby się i popękała, znalazłszy się po mniej przyjemnej stronie jakiegokolwiek przyzwoitego cięcia lub pchnięcia.

Oczywiście, dla księcia nie miało to znaczenia. Dlaczegoż miałoby mieć? Jego wyczyny z pól bitewnych przeszły do legend. Setki przeciwników uśmierconych niemalże od niechcienia, królestwa ocalone przez jego dzielne, heroiczne i nieprawdopodobnie wprost odważne czyny. Każdy o nim słyszał, od biednych wieśniaków po koronowane głowy. Miał doskonałego rzecznika prasowego i niezwykle kreatywny zespół autorów legend, którzy pomagali informować o tych... eee... faktach.

Właściwie nie miał zamiaru brać udziału w samych bitwach. To nie była jego sprawa. Niewolników, chłopstwa, nielegalnych imigrantów owszem, ale nie wysoko urodzonych. Nie księcia Chandon. Oczywiście, nie miał nic przeciwko szermierce i był zaskakująco dobry w, jak sam to określał, „tojeniu skóry”. Ale robił to podczas turniejów, gdzie obowiązują ogólnie przestrzegane zasady. Bez żadnego rąbania, gdy przeciwnik leży na ziemi, kopania, uderzania pięścią; przerywanie po gwizdku i, rzecz jasna, niepodważalna decyzja sędziego. Łatwo przyszło mu złożenie przysięgi wierności wobec sprawy Firkina i Beczki. Jego wyobrażenie o niebezpieczeństwie kończyło się na skręceniu kostki podczas niezwykle forsownego turnieju, a „ryzyko” oznaczało podjęcie decyzji o próbie trudnego, podwójnego uderzenia przez ostatnią bramkę w meczu krokieta o stawkę pięćdziesięciu szylingów.

Firkin i Beczka byli dobrzy w „mieczach”. Tak im się przynajmniej zdawało. W Middin nie było lepszych od nich w walce na patyki, znali też wszystkie ważne słowa, jak „pchnięcie”, „parowanie” i „agard”. Nigdy przedtem nie widzieli prawdziwego miecza, nie wspominając nawet o próbie podniesienia takiego. Co się tyczy Pasztetnika, pozostawał on zagadką, ale z pewnością nie miał dość krępy, by okazać się mistrzem walki na miecze.

Nie, ocenił w myślach Merlot, bezpośrednia próba wtargnięcia głównym wejściem, pokonania straży, zabicia króla, a następnie władania królestwem przy użyciu brutalnej siły nie była dla tej gromadki dobrym rozwiązaniem. Czarodziej w zamyśleniu przygryzał brodę. Nie, tu potrzeba czegoś subtelniejszego, bardziej finezyjnego, czyż nie?



Nagle odwrócił głowę i uśmiechnął się do sowy nonszalancko uczeptionej jego ozdobionego tonacją c-moll ramienia.

— Arbutusie, mój drogi przyjacielu, oto, czego chciałbym, abyś się dla mnie podjął.

\* \* \*

To nic nie pomagało. Nie mógł się skoncentrować. Miał przed sobą dobrą książkę, pełną emocji i przygód doprawionych odrobiną niebezpieczeństw, ale nie potrafił przestać myśleć o innych sprawach. O tym, jak wyglądają ponad sześćset czterdzieści dwa lata żywności. Wciąż powracał do tego w wyobraźni, nie potrafił pozbyć się tej myśli od czasu ostatniego spotkania, podczas którego tak bardzo spierał się z Snyderem. Dosłownie stanowiła ona pokarm dla umysłu Klaytha. Wyobrażał sobie spichlerze zapchane po sufit. Rzędy upchniętych w pudła warzyw sięgające aż po stropy; półki pełne przetworów i powideł; stosy sałaty, selerów i szpinaku; góry galarety, gęsi i golonek! Ta cała żywność musiała stanowić niesamowity widok. Zamknął książkę i z mocnym postanowieniem opuścił bibliotekę. Musi zobaczyć to na własne oczy!

Spichlerze znajdowały się poza właściwym zamkiem, na sporym dziedzińcu w obrębie głównych murów. Były dobrze zabezpieczone przed atakiem z zewnątrz; w razie oblężenia mogły przez rok zapewnić wyżywienie w pełni zaludnionemu zamczysku.

Pół godziny później Klayth przestąpił przez małe drzwi w północnym skrzydle zamku, które prowadziły na dziedziniec. Tu stały spichlerze. Były olbrzymie, większe nawet, niż sobie wyobrażał. Stały w dwóch rzędach po sześć, zwrócone ku sobie drzwiami, wzdłuż podwórza wiodącego do Bramy Północnej. Każdy wyglądał na gotowy pomieścić przynajmniej po dwa zeppelin i dodatkowo mniej więcej pół tuzina balonów napełnionych gorącym powietrzem.

Wszystko to zrobiło na królu imponujące wrażenie.

Szedł dalej i po przebyciu bardzo długiej, w swoim mniemaniu, drogi dotarł w pobliże pierwszego spichlerza. Rozsuwane frontowe drzwi, osadzone na szynach, sięgały prawie po dach. Wyglądały na niewyobrażalnie ciężkie. Podchodząc bliżej, Klayth z ulgą zauważył, że w głównej bramie umieszczone są drzwi mniejsze, rozmiarów człowieka.

Stojąc przed spichlerzem, poczuł się malutki. W jego głowie znów zakotłowało się od myśli o spoczywających wewnątrz dobrach. Sięgnął do małej gałki przy drzwiach, przekręcił ją i wkroczył do przestronnego, ciemnego wnętrza. Czekał na tę chwilę z niecierpliwością. Stał z zamkniętymi oczami, czekając, aż

przyzwyczajają się do ciemności. Otworzywszy je, szybko przebiegł wzrokiem po otaczającym go niesamowitym widoku. Zakręciło mu się w głowie, gdy próbował oszacować rozmiary tego miejsca.

Jak okiem sięgał, ciągnęły się rzędy półek, w górę po sufit i w głąb ginąc w ciemnościach. Wyglądało to jak wprawki w perspektywie, równoległe linie zbliżające się do siebie, a następnie zanikające, wchłonięte przez ogromną pieczarę. Wnętrze spichlerza było olbrzymie. Porażające. Potężne. . .

Oraz zupełnie puste.

Jak i pozostałych jedenastu spichlerzy.

\* \* \*

Chłodna trawa łaskotała nogi Cukinii niespiesznie wędrującej przez las w stronę studni. W myślach bawiła się, wyobrażając sobie, że jest wiewiórką, i starając się wybrać wśród gałęzi trasę, która doprowadziłaby ją do studni bez zetknięcia z ziemią. Szło jej całkiem dobrze. Wzdłuż tego konaru, skręt w lewo przy przegniłym sęku, w dół po tej małej gałązce, rozbieg i skok! Ostrożnie, ostrożnie, to długi skok i twarde lądowanie. Teraz w górę po tej gałęzi, wyminąć sowę, w dół w poprzek. . . w poprzek. . . sowę?

Oczy dziewczynki zawróciły wzdłuż gałęzi, natrafiając na siedzącego spokojnie pięknego samca sowy uszatej. Nie mogła uwierzyć własnym oczom! Jak zaklęta wpatrywała się w pozostającego w bezruchu ptaka, starając się zapamiętać każdy szczegół. Jedno z pomarańczowych oczu otworzyło się powoli i łypnęło na nią z góry. Ostre spojrzenie przeszło ją na wskroś i utkwilo w samym sercu. W owym momencie Cukinia doświadczyła uczucia, które później miała poznać jako miłość. Jej serce zabiło mocniej, nie mogła złapać oddechu. Drżała z emocji, usiłując jednak zachowywać się na tyle spokojnie, by nie przestraszyć sowy. Powoli, niczym ciężką aksamitną kurtynę, ptak uniósł drugą powiekę. Był piękny.

Pomimo zachwyty Cukinia zdawała sobie sprawę, że sowa może stanowić niebezpieczeństwo. Słyszała o innych zwierzętach tego rodzaju — czarnych pantarach, z pozoru tak łagodnych i delikatnych, a potrafiących odgryźć rękę błyskawicznym kłapięciem szczęk; maleńkich żabkach, kolorowych jak pisanki, pokrytych trucizną mogącą zabić, gdy się ich dotknęło. Dziewczynce wydawało się, że najpiękniejsze i najbardziej kolorowe zwierzęta są często najbardziej niebezpieczne. Gdyby była królikiem, pamięć gatunkowa i instynkt sprowokowałyby ją, śmiertelnie przerażoną, do szybkiego uderzania tylnymi łapami o ziemię. Prawdopodobnie czekałyby ją tylko sekundy życia, nim uskrzydłone szpony porwałyby ją w powietrze i wyrwały z tego padołu łez. Gwałtownie, w całkowitej ciszy, sowa

poderwała się z gałęzi i runęła w kierunku Cukinii, z wysuniętymi przed siebie szponami i oczyma lśnącymi okrucieństwem. Bezlitosne, precyzyjne spojrzenie oczarowało dziewczynkę, która później doszła do wniosku, iż zahipnotyzowały ją te ślepie, z każdą chwilą większe i większe... Przez krótką chwilę, wydającą się dla niej wiecznością, świat wokół składał się wyłącznie z opierzonych skrzydeł oraz ich ogłuszającego łopotania. Zamknęła oczy w oczekiwaniu na ostateczne uderzenie szponów.

Cisza. Nie uderzyły. Wstrzymała oddech i trwała w bezruchu. Po nieskończeniu długiej chwili postanowiła otworzyć jedno oko. Nic. Obejrzała się przez prawe ramię. Nic. Obróciła głowę i ostrożnie wyjrzała przez lewe ramię. Podskoczyła gwałtownie, ujrawszy sowę w całej okazałej okazałości. Siedziała jej na ramieniu.

Łądowanie było tak miękkie, że dziewczynka niczego nie poczuła. Sowa patrzyła na nią, delikatnie skubiąc ją w ucho. Cukinię opuścił strach.

— Ojej! Jaki jesteś śliczny... jak ci na imię?

Arbutus powstrzymał się przed odpowiedzią.

— Założę się, że bardzo milutko — kontynuowała dziewczynka. — Na przykład Oswald, Mędrzec, albo...

Arbutus skulił się.

— O, tu jesteś, paskudniku jeden! Arbutus, przyleć tu natychmiast! — Odpowiedź przyszła wraz z krzykiem wybiegającego zza drzewa Firkina.

— Arbutus! — zapiszczała zachwycona Cukinia. — A nie mówiłam, że bardzo milutko? To znacznie lepsze niż Oswald albo... — Była pewna, że sowa jej przytaknęła. Zastanowiło ją, czy sowy potrafią się uśmiechać.

— Och, Arbutusie, uwielbiam cię! — oznajmiła. — Muszę wziąć cię do taty. Chodź. Jesteś taką mądrą, śliczną sową. Jesteś wspaniałą i...

I tak dalej, i tak dalej.

Arbutus, rzecz jasna, był tym zachwycony. Cukinia — całkowicie nim urzeczona. Nie dość, że spotkała prawdziwą sowę, ta w dodatku siedziała jej na ramieniu! Zawróciła w stronę niewielkiej jaskini stanowiącej wejście do zamku i weszła do niej. Poniekąd zdawała sobie sprawę z tego, iż podążają za nią dwaj chłopcy, z których jeden jest właścicielem sowy, ale nie miało to dla niej znaczenia. Nie teraz, nie kiedy mogła obnosić się z prawdziwą sową.

Była za to zupełnie nieświadoma, że w niewielkiej odległości podążają za nimi również: mężczyzna w fartuchu i z tacą pasztecików, rycerz w lśniącej zbroi oraz rzeczywisty opiekun Arbutusa<sup>7</sup>.

<sup>7</sup>W gruncie rzeczy Arbutus do nikogo nie należy. Przestaje po prostu z tymi, których lubi — zwłaszcza jeśli mają na podorzędziu zapasy myszy.

Wprowadzając do zamku bandę niedoszłych zamachowców, Cukinia nie przedstawiała ani na chwilę szczebiotać słodkich bzdurek do usadowionego na jej ramieniu ptaka.

\* \* \*

A w roku 1025 OG trzy miesiące upłynęły od legendarnej już dwuipółminutowej wojny z Rhyngill. Około trzech tysięcy jeńców zasiedliło nowe, dobrze strzeżone miejsca pobytu. Zbiory skórek z lemingów przebiegły zgodnie z planem, choć podano w wątpliwość sens zrealizowania założeń kontraktu podpisanego z Roschem Mh'Tonnayem — wykorzystanie wykopów w celu, dla którego zostały stworzone, okazało się niepotrzebne, a ponieważ projekt ten drastycznie kolidował z założeniami Planu Ustepowiania Gór Talpejskich, skryba Handlu i Przemysłu zablokował wypłatę. Wkrótce miał z tego wyniknąć poważny spór prawny, ale wyjąwszy ten drobny zgrzyt, w królestwie Cranachanu wszystko układało się jak najpomyślniej.

Pozycja Fiska mocno wzrosła i był teraz pewien, że ma w kieszeni awans. Jeśli pominąć uraz, spowodowany wyjątkową nieostrożnością podczas zmagania z pewnym gniewnym gołębiem pocztowym, który to uraz zmusił go do nałożenia czarnej, skórzanej opaski na oko, życie szefa Spraw Wewnętrznych stanowiło ostatnio pasmo sukcesów. Niestety, już wkrótce miało ulec nieodwołanym zmianom.

W Sali Konferencyjnej Cesarskiego Pałacu Fortecznego Cranachan, spokojna narada zmierzała ku niespodziewanie gorącemu przebiegowi.

— ... a więźniowie zachowują się dobrze, sire — donosił królowi Grimzynowi Wielce Gniewny Eutanazjusz Hekatom. — Ustanowiliśmy ścisły reżim i nalegamy, by jeńcy się doń przystosowali.

— Bardzo dobrze. Bardzo porządne zwycięstwo. Dobra robota! — radował się władca.

— Nie do końca, sire — niemal szeptem powiedział lord kanclerz Frundle.

— Cóż miała znaczyć ta uwaga? — zapytał król.

— Cóż, wasza wysokość, członkowie rady, jak mamy wykarmić trzy tysiące jeńców będących naszymi, hmm, hmm, gośćmi?

Pozostali czterej uczestnicy narady nagle uznali za niezwykle wprost interesujące końce swoich paznokci, rysy na tynku pokrywającym sufit i plamy na powierzchni stołu.

— Więc? — ponaglił Frundle.

Zebrani mamrotali coś niewyraźnie. Fisk bawił się swoją opaską.

— Przepraszam? Nie dosłyszałem. Jakież pomysły, Fisk?

— Co?... A, tak... ha! To banalne! — Szef Spraw Wewnętrznych znalazł się w centrum zainteresowania lorda kanclerza. — Hmm... dodatkowy przychód uzyskany ze sprzedaży skórek z lemingów pokryje całkowicie...

— Raczysz żartować! — przerwał mu Patafian. — Widziałeś dane o sprzedaży?

— Nie ostatnio, ostatnio byłem bardzo... — plątał się Fisk, zdrowym okiem miotając wokół gromy. — Czy są, tego, nie najlepsze?

— NIE NAJLEPSZE??? NIE NAJLEPSZE! Jeszcze trochę, a będziemy do nich dopłacać! — wykrzyczał czerwony na twarzy skryba Handlu i Przemysłu.

— O czym ty opowiadasz? — wtrącił się król.

Patafian pokazał zebrany wykres, bardziej przypominający trajektorię lotu rzuconej z wysoka cegły niż udane, dochodowe przedsięwzięcie. Rok 1025 OG okazał się, bez żadnej przesady, katastrofą.

Fisk przełknął ciężko.

— Dlaczego? — zagrzemiał król Grimzyn.

— Nie wiadomo — odparł Patafian. — Gdy tylko rozpoczęły się zaproponowane przez naszego szacownego kolegę... — przerwał i wpatrując się w Fiska, wziął głęboki oddech — bardzo kosztowne prace związane z przesuwaniem granicy urwiska, sprzedaż skórek lemingów zaczęła gwałtownie spadać. Na całym świecie. Pojawiły się plotki...

— Phi, plotki! — prychnął Fisk pogardliwie.

— Jakiego typu plotki? — zapytał król, karcąc spojrzeniem szefa Spraw Wewnętrznych.

— Plotki wiążące noszenie akcesoriów z lemingów z serią tajemniczych wypadków. Podobno gdy właściciele takich akcesoriów przebywali w wysokich budynkach...

— To niedorzeczne! — znów wtrącił się Fisk.

— ...wiele portfeli oraz torebek miało rzekomo opuścić kieszenie oraz ramiona i rzucić się samobójczo w dół.

— Muszę przyznać — przytaknął Frundle — że słyszałem coś podobnego.

— Doszły mnie też słuchy, że niektórzy zabrali swoje skórki do mediów... — ciągnął Patafian.

— Na przykład gazet? — przerwał znudzony Hekatombe.

— Nie, mediów — takich pośredników między światami.

— Coś w rodzaju sprzedawców alkoholu? — dopytywał się wyszczerzony od ucha do ucha minister Bezpieczeństwa i Wojen.

— Nie. Kryształowe kule, prawdziwa abrakadabra, te rzeczy. Zdaje się, że uznali oni, iż w skórkach pozostała wciąż odrobina... eee...

— Czego? — Król nalegał na odpowiedź.

— Cóż, sire, nie ma na to właściwego słowa...

— Wysł się.

— Odrobina lemingnozy!  
— To znaczy że świecą w ciemności? — zachichotał Hekatomb.  
— Nie, chodzi mi o to, to znaczy, im chodzi o to, że w skórkach wciąż przebywa część duszy poprzednich właścicieli i w czasie pełni księżyca...  
— Wracają, by się zabawić?! — dziko zakpił Wielce Gniewny Eutanazjusz.  
— Twoje zdolności byłyby nieocenione na pustyni. Nikt tak jak ty nie potrafi robić wody z mózgu!

Fisk był kompletnie dezorientowany.

— Usiłujecie mi wmówić — odezwał się, nerwowo szarpiąc opaskę — że ludzie przestali kupować produkty ze skórek lemingów z powodu bezpodstawnych, wyspanych z palca plotek?

— Tak by się zdawało — odparł Patafian.

— I że zaufanie do tych produktów legło w gruzach?

Frundle i Patafian przytaknęli jednocześnie. Hekatomb zaczynał mieć dość roztrząsania tego nieistotnego problemiku.

— I co z tego!?! — zagrział. — Ten cały żaloszny plan był stratą czasu, sami przyznajcie. Umyjmy ręce od tej kiepskiej sprawy!

— Nie możemy — odpowiedział mu zafrasowany Frundle. — Zaszliśmy za daleko. Co niby powinniśmy zrobić? Wypuścić jeńców, mówiąc im „przepraszamy za niedogodności”? Czy ciebie, Eutanazjusza Hekatomba, zachwyca taka perspektywa?

Minister Bezpieczeństwa i Wojen musiał przyznać, że tym razem stary przyk ma rację.

— Być może się powtarzam — zaczął król, przerywając zalegającą ciszę — ale co mamy zamiar w tej sprawie zrobić?

Patafian wzruszył żałośnie ramionami i odwrócił się w stronę lorda kancle-rza, który patrzył w pustkę. Hekatomb zabębnił palcami po stole i wlepił bojowe spojrzenie w Fiska.

— Jakież pomysły, Fisk?

— Kto, ja, sire?

— Tak, ty.

Dlaczego ja, zastanawiał się szef Spraw Wewnętrznych, dlaczego właśnie ja?

— Bo to był twój kretyński pomysł! — dodał król, miotając oczami błyskawice.

Fala paniki przetoczyła się przez umysł Fiska. Nagle poczuł się wyalienowany. Twarze podobne do jego własnej wydały mu się obce, wszyscy wpatrywali się w niego. Czuł się jak zwierzę w klatce, bardzo małe zwierzątko w klatce, do której klucz dzierżył stojący tuż obok lew.

— Cóż... ja... eee... tego...

— Jesteś nam bardzo pomocny — warknął władca.

Fisk rozglądał się w poszukiwaniu źródła inspiracji.

— Moglibyśmy... najechać ich spizarnie. Skoro wykarmiali się, przebywając w Rhyngill, musi być tam wystarczająca ilość żywności... — Uśmiechał się słabo we wszechogarniającej ciszy. — Nie... aha... głupi pomysł... wymagający zbyt dużej siły ludzkiej... ale ze mnie głuptas!

— Myślałeś, że to kupimy!? — zaśmiał się Patafian.

— Chwileczkę... to jest to! — krzyknął Fisk.

— Co jest „to”? Dokładnie? — Król jęknął, ukrywając głowę w dłoniach.

— Myto! A dokładnie — podatki!

Frundle nadstawił uszu.

— Podatki! — powtórzył Fisk. — Płacą je swojemu królowi w postaci dziesięciny. Król ją odbiera i składa w spichlerzach.

— Skąd wiesz? — zaciekawił się Frundle.

Fisk miał swoje metody i nie zamierzał ich zdradzać. Poklepał się po nosie długim palcem w czarnej rękawicy.

— Ale jaki mamy pożytek ze składowanej w Rhyngill dziesięciny? — spytał Patafian.

— Potrzebujemy tylko — ciągnął rozentuzjzmowany Fisk — jednego człowieka, który mógłby pracować na terenie obcego królestwa i mieć silną pozycję na zamku Rhyngill, a wówczas to my będziemy śmiać się ostatni!

Pozostali czterej zebrani popatrzyli po sobie w zamyśleniu, po czym przenieśli wzrok na Fiska i, rzeczywiście, wybuchnęli gromkim śmiechem. Szef Spraw Wewnętrznych odniósł wrażenie, że powiedział coś, czego w swoim czasie będzie szczerze żałował.

\* \* \*

Jeśli jeszcze raz powie: „Ojej, ale z ciebie śliczna sowa!”, urwę jej ucho! — myślał Arbutus, wciąż uczepiony ramienia Cukinii. Nie jestem „śliczny”! Dostojny, wyniosły, przystojny... u licha, jest tyle innych słów! Dlaczego ona musi wciąż powtarzać „śliczny”! Szczepiotanie dziewczynki szybko zaczęło działać Arbutusowi na nerwy.

— A więc to wasza sowa? — spytała Cukinia. W małym tunelu prowadzącym do zamku Rhyngill jej głos zabrzmiał głucho.

— Niedokładnie — odparł Firkin. — Opiekujemy się nim w czyimś imieniu.

— Niezbyt dobrze z tego, co widziałam — oznajmiła dziewczynka beczelnie.

— Odleciał. Czasami jest bardzo niegrzeczny.

Arbutus zaskrzeczał coś pod nosem.

— Tak przypuszczam. Ale, ojej, on jest taaaki... słodziutki! — zagruchała Cukinia.

Blisko było, bliżuteńko, pomyślał Arbutus, już prawie straciła ucho.

— To nasz przyjaciel — powiedział Beczka.

— Kto?

Jasne, ona musi być w centrum zainteresowania, pomyślał Arbutus. Charakterystyczne.

— Właściciel Arbutusa.

Właściciel! Phi! Cóż oni mogą o tym wiedzieć! Sowa tupnęła szponem zirytowana.

— A gdzie on teraz jest?

— Szedł za nami.

— Wkrótce powinien tu być — dorzucił Firkin.

— Tak jak mój ojciec — powiedziała Cukinia, patrząc na Arbutusa. — Nie mogę się doczekać, aż mu cię pokażę!

Otworzyła drzwi i weszła z przedpokoju do kuchni. Za nią podążyli Firkin i Beczka.

Obaj chłopcy stanęli jak wryci. Słowa „kuchnia” używali tak często i tak często je słyszeli, że dokładnie wiedzieli, co ono oznacza.<sup>8</sup> Słowo to jednak nie wydawało się stosowne w odniesieniu do miejsca, w którym się znaleźli.

Było to zapewne największe pomieszczenie, jakie dotychczas w życiu widzieli. Obie chaty, w których mieszkali, spokojnie dałoby się tu upchnąć w najmniejszym z kątów. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się wielki, czarny żelazny piec, na którym grzało się kilka garnków. Były tu półki pełne miedzianych rondli, waz, chochli, form do pieczenia i innych naczyń, których przeznaczenia chłopcy mogli się jedynie domyślać.

Na jednej z półek leżała taca ze stygnącymi ciasteczkami. Ściany zdobiły słoje, dzbanki i woreczki, a pod sufitem przywieszzone były haki na drób i dziczyznę. Zapachy były fantastyczne. Nieznane aromaty krążyły po wnętrzu tej świątyni gotowania niczym szalone węchowce demony, tworząc coś na wzór atmosferycznego odpowiednika zupy minestrone. Jednakże czegoś tu brakowało...

Znalazszy się w kuchni o rozmiarach wioski, spodziewałbyś się ujrzeć sporo ludzi. W tej kuchni, z wyjątkiem dwóch chłopców, dziewczynki, sowy oraz przerażonej myszy, było zupełnie pusto.

---

<sup>8</sup>– Kuchnia z I, Im D. -i a. -chen: 1. mały kącik w drewnianej chacie, przeznaczony do gotowania gulaszu z rzepy. Znajdują się tam dwa rondle, cztery talerze i przypadkowy zbiór noży, widelców i łyżek.



\* \* \*

Są na świecie nieposkromione siły, których obecność filozofowie, poeci i naturaliści postrzegali już od zarania dziejów. Nadali tym siłom nazwy: Przeznaczenie, Los, Hormony. Sklasyfikowali je: szansa i fart, deja vu i przypadek, testosteron i czyste pożądanie. Z rzadka udawało im się nawet zaobserwować sieci zdarzeń, które siły te plotły wokół niespodziewających się niczego ofiar. Ale pomimo usilnych prób — a niektórzy na swe badania dostali nawet granty z PAN-u<sup>9</sup> — nigdy ich naprawdę nie pojęli. Niektórzy doświadczyli ich silniej niż pozostali, ale stykamy się z nimi, prędzej czy później, to tu, to tam, wszyscy.

Te siły wiodą łososię wiele mil w górę szkockich rzek, by tam połączyły się w pary i zdechły; te siły dają dopiero co odstawionym od smoczka dzieciom słuch muzyczny, pozwalający im komponować nieśmiertelne symfonie; te siły wreszcie zmieniają mięczaków w romantycznych, zawadiackich bohaterów, dodając im odwagi przy przepływananiu fosy pełnej piranii, wspinaniu się na zamkowe mury, walce z strażnikami, by czekającej panie dopomóc w ucieczce po uprzednim wręczeniu jej bombonierki.

Siły te oddziaływały na jednego z trzech ludzi wchodzących do zamku bez pozwolenia. Odczuwał ich obecność już wcześniej i był pewny, że miało to coś wspólnego z samą istotą zamków. Coś wspólnego ze sposobem, w jaki kamienie ułożone są na sobie w wysokie, potężne, strzeliste wieże, sięgające nieba dla podkreślenia ludzkich możliwości. Czuł niepokój. Gdy mijał ostatni zakręt tunelu pod fosą i wkraczał przez drewniane drzwi do kuchni, umysł miał pełen wizji. Wizji wysokich wież i spiralnych schodów, solidnych, drewnianych drzwi pękających pod naporem odzianego w stal ramienia, wizji zakwefionych, skąpo odzianych, uginających się pod ciężarem biustów Dam w Opresji, okazujących mu szczerą wdzięczność doprawioną, niekoniecznie małą, dawką pożądania.

— Panny! — pomyślał Krzyś. — O nie, tylko nie... znowu!

---

<sup>9</sup>Paranormalna Agencja Naukowa. Ciało utworzone w celu zapewnienia zaplecza socjalnego i sal bankietowych rozlicznym, różnorodnym zjazdom stanowiącym ozdobę kalendarza pracy czarodziejów. Zjazdy te zazwyczaj z miejsca przekształcały się w warcholskie popijawy, co sprawiało, że po siarczystem klótni z gospodarzem, spowodowaniu kilku pożarów i przetestowaniu wyrozumiałości i odporności na stres wszystkich znajdujących się w promieniu pół mili od miejsca wykonywania tradycyjnych piosenek czarodziejskich kolejna konferencja organizowana być musiała być nowym miejscem. Paranormalna Agencja Naukowa w rzeczywistości mieści się w drewnianej chacie, położonej trzy mile od najbliższego skupiska ludzkiego, dźwiękoszczelnej i zaopatrzonej w zapas różnorodnych piw, win i wódek wystarczający, by powalić małą armię. Niestety, mimo że miejsce to miało służyć prowadzeniu badań, nie odkrywa się w nim nic z wyjątkiem denek kolejnych szklanic. Jednakże Paranormalna Agencja Naukowa w stanie głębokiego upojenia rozdaje granty. Szybko co prawda żałuje swej rozrzutności, nie zmienia to jednak faktu, że brać naukowców bywa niekiedy dofinansowywana przez żałośnie niewielkie dotacje z PAN-u.

\* \* \*

Tej dziewczynce przydałaby się lektura słownika! — przyszło na myśl Arbutusowi, gdy Cukinia po raz n-ty określiła go jako „miłego”, gdzie n było liczbą sporą i zdecydowanie dodatnią.

Cukinia siedziała na wielkim dębowym stole i wymachiwała nogami, podczas gdy Firkin i Beczka pałętali się po kuchni, czekając na pozostałą trójkę. Arbutus obrócił łeb prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni i po raz kolejny zastanowił się nad najlepszym sposobem usunięcia ucha dziewczynce bez narobienia przy tym niepotrzebnego szumu. Lubił być przygotowany.

— Och, ojczu, gdzie jesteś, kiedy naprawdę cię potrzebuję? — spytała Cukinia retorycznie, wzdychając dla pełniejszego efektu.

— A gdzie są pozostali? — zainteresował się Beczka.

Cukinia spojrzała na niego.

— Pozostali?

— Rozumiesz, pozostała obsługa kuchenna — wyjaśnił Firkin. Wiedział, jak powinno to wyglądać. Franek im opowiadał.

— Jaka obsługa?

— No wiesz — odparł Beczka — pomywacze, cukiernicy, rzeźnicy...

— O czym ty opowiadasz? — zdziwiła się dziewczynka.

Arbutus wzniosł oczy ku niebu, wyrażając swoją dezaprobatę.

— Byłaś już kiedyś w kuchni, prawda? — zapytał Firkin.

— Oczywiście. Mój ojciec jest kucharzem — oznajmiła, z dumą dodając: — królewskim!

— ... a co z innymi?

— Och tak, przyrządza jedzenie dla wszystkich — powiedziała, drapiąc Arbutusa pod miejscem, gdzie jej zdaniem powinien mieć brodę.

— Eee... — nieśmiało odezwał się Beczka, sądząc, że coś najwyraźniej mu umknęło. — Czy karmienie tych wszystkich ludzi nie jest dla niego nieco zbyt pracochłonne?

— Och, nie, pomagam mu.

— Wspaniale, a kto poza tobą? — Firkin czuł, że jest coraz bliżej prawdy.

— Nikt, tylko ja — odparła Cukinia z dumą.

— Dwie osoby przygotowują posiłki dla wszystkich mieszkańców zamku? — zapytał oszołomiony Firkin.

— Tak — odparła.

Nagle olbrzymie drewniane drzwi otworzyły się, trzeszcząc przy tym niemiłosiernie. Do środka wpadł wysoki czarodziej w wiolonczzerwonych szatach, które

nieznacznie tylko zmieniły tonację. Za nim wszedł jeszcze wyższy rycerz w bardzo lśniącej zbroi oraz niski, gruby i zatłuszczony Pasztetnik.

— Arbutusie! Znalazłeś nową przyjaciółkę, czyż nie? — zawołał Merlot donośnie, wyciągając przed siebie rękę.

Na obliczu sowy pojawił się wyraz ulgi. Bez wahania pomknęła w stronę znajomego i kochanego ramienia w barwach c-moll.

— Ty jesteś Cukinia, co? Lubisz brzoskwinie? — Czarodziej uśmiechnął się do zdumionej dziewczynki.

Arbutus dziobnął mysy ogonek wystający spod Merlotowego kapelusza.

— No nie, panienska bez wątpienia wołałaby pasztecika. Mam podać? — padło pytanie.

— Ach, a to, młoda damo — przerwał Merlot — jest nasz towarzysz podróży, a zarazem dostarczyciel najznakomitszych ciast i pasztecików. . . — Położył ręce na ramionach krągłego dżentelmena — Pan Pasztetnik! — dopełnił przedstawienia.

— Szacuneczek — wyszeptał Pasztetnik, dotykając dłonią czoła.

Cukinia siedziała oszołomiona, nie mogąc się zdecydować, na kogo patrzeć. Tylu nieznajomych, i to naraz!

— Po mej prawej stronie stoi nasz obrońca, odważny, mężny rycerz, znawca historii i etykiety, bohater przekazów ustnych i pisemnych, książ. . . hmm, tego, Krzyś!

Cukinia była zafascynowana. Rycerz, prawdziwy rycerz w jej kuchni! Nigdy wcześniej nie widziała rycerza. Stał, niemal zahaczając głową o sufit, wciąż lśniący, pomimo skroplonej pary pokrywającej mgiełką zbroję.

— Juści, co to kumie wygadujeta? — Krzyś rozejrzał się zakłopotany.

— Właśnie przedstawiłem cię tej czarującej młodej damie, czyż nie? — oznajmił Merlot wyniośle.

Krzyś z trudem skupił swój przeszywający, błękitny wzrok.

— Nie — stwierdził, kręcąc głową. — Nie, kiej to nie ta. Za mało w opresji.

Wszyscy wpatrzyli się w potężnego, opancerzonego mężczyznę.

— Co ja tu robię w tej izbie kuchennej? Ona musi być tam! — Wskazał na drzwi prowadzące w głąb zamku i postąpił krok w ich stronę.

Firkin był przerażony.

— Krzysiu! Zaczekaj! Dokąd ty idziesz?

Rycerz zrobił drugi krok.

— Co ty robisz? Nie możesz nigdzie iść. A co z Królem? Co z nami?

Firkin szedł za rycerzem, wymachując rękami w celu zwrócenia jego uwagi.

— Damy — brzmiała jedyna odpowiedź.

Chłopiec zaczynał się martwić. Podbiegł i położył się przed rycerzem, który, niczym w transie, przekroczył nad nim bez wysiłku.

— Nie możesz teraz iść! — wrzasnął chłopiec, rzucając się ku rycerzowi i chwytając go za nogę.

Krzyś postąpił jeszcze dwa potężne kroki, po czym olbrzymią opancerzoną dłonią delikatnie odsunął miotającego się chłopca od swojej kostki i opuścił przyłbicę. Wszyscy mogli już tylko wpatrywać się w księcia Chandon, który zmierzał jak we śnie, najpierw powoli, a potem biegiem, w stronę drzwi. Wyglądał jak niekontrolowany, niezatrzymywalny pociąg w kształcie rycerza, pełną parą opuszczający stację.

Kilka minut później, gdy opadły już wszystkie dębowe drzazgi, przebywający w kuchni słyszeli kroki metalowych butów stukających energicznie w pustym korytarzu oraz od czasu do czasu okrzyk:

— Cicha j ta, dzieuchy, idę ku wam!

\* \* \*

Delikatny szum skrzydeł, dochodzący z trzydziestu kilku wietrznych klatek umieszczonych wysoko w najwyższej wieży zamku Rhyngill, stał się nieco głośniejszy, gdy ich mieszkańcy usłyszeli trzy obroty klucza w drzwiach. Gdy puścił ostatni zamek i drzwi zostały otwarte, pośród ptasiego szumu zabrzmiał nowy dźwięk. Ludzkie przekleństwo.

Wyrzekł je cicho, ale nie starając się ukryć obrzydzenia, pasji i gniewu, jakie ze sobą niosło.

Snydewinder był wściekły. Nie było w tym nic niezwykłego. Zdawać by się mogło, że nawet gdy wszystko szło w najlepszym porządku i nie było się czym martwić, lord kanclerz zawsze potrafił coś wymyślić. Niezmiennie przebywał w stanie głębokiej irytacji.

Ten dzień nie stanowił wyjątku.

Wystarczająco się zirytował, gdy musiał pośpiesznie zorganizować polowanie dla króla i tych idiotów strażników.

Codziennie wystarczająco denerwujące było wspinanie się po setkach stopni na tę cholerną wieżę, żeby wykarmić te koszarne gołębie, a tego dnia było to wyjątkowo denerwujące ze względu na głupi wór, z którego wysypało się więcej ziarna, niż doniósł na górę.

Ale żeby zrobić to wszystko po to, by król Grimzyn z Cranachanu mógł wydać prawdziwe królewską ucztę...!

Zaklął jeszcze raz, tym razem siarczyściej, i kopnął w klatki.

Gołębie zatrzepotały niespokojnie skrzydłami i zagruchały głośniej.

Snydewinder nasypał ziarna do wszystkich miseczek, piszcząc przy tym „A kysz! A KYSZ!”. Następnie wziął zwitek pergaminu i napisał na nim:

Zadanie wykonane Stop  
Królewska uczta w drodze Stop  
AUST! Stop S

Zwinął list i włożył do tuby, którą przywiązał do nogi gołębia, trzymając się na bezpieczny dystans od jego pazurków. Skrzywił się na wspomnienie wypadku ze swoim okiem — wiedział, jak niebezpieczne potrafią być te powietrzne szkodniki.

Kilka chwil później, obserwując ptaka odlatującego ku dalekiemu Cranachanowi, Snydewinder uśmiechnął się zimno i okrutnie. Wysłanie tej wiadomości nieznacznie poprawiło mu humor. Całe to poranne zawracanie głowy z polowaniem, te cholerne gołębie, to cholerne królestwo. W zasadzie była to drobna, żalonna zniewaga, coś w rodzaju pokazania komuś przez ścianę gestu „o... takiego...”, ale pozwoliła mu poczuć się lepiej, dowartościować się.

Zachichotał na myśl o liście. AUST!

— Tylko ja jeden wiem, co to znaczy, oni wszyscy są zbyt tępi, by to rozpracować — wyszeptał szelmowsko pod nosem.

Wychylił się przez okno w stronę Talp i Cranachanu i na cały głos wykrzyczał:

— A udławcie się tym!! Cha, cha, cha!

\* \* \*

W jednej z najniżej położonych części zamku trwał turniej. W pustej stróżówce dwaj najpotężniejsi mieszkańcy zamku Rhyngill zwarli się w walce. Bartosz oceniał pozycję przeciwnika i rozważał własny plan. Był pewien, że istnieje sposób, by przy minimalnym wysiłku zupełnie odwrócić sytuację. W odwodnionej melasie jego umysłu kolejne plany i posunięcia wylęgały się, by na powrót zatonać w neuronowej mazi.

Nagle Bartosz wlepił wzrok w Matusza i zaśmiał się złośliwie. Pracujące wytrwale w jego głowie koenzymy wątpliwości i zamętu zawiodły. Pomimo ich heroicznego wysiłku, wbrew wszelkim przeciwnościom, uknuł pewien plan. Wpadł nań w jednym z rzadkich przebłysków jasności umysłu. Wiedział już, jak wygrać. Niemal natychmiast, w serii następujących po sobie pstryknięć, Bartosz obskoczył małym czarnym krążkiem prawie całą planszę do gry w warcaby.

— Wygrałem! — zakrzyknął zwycięsko, ale nie bez pewnej ulgi.

— Co?

— Wygrałem.

— Dlaczego?

— Bo ty przegrałeś. Dlatego.

Grymas bóleści przebiegł po twarzy Matusza, gdy ten zdał sobie sprawę, że rzeczywiście, na planszy nie ma już żadnych białych pionów.

— Och! — jęknął smutno, a głos jego odbił się od gołych ścian pustej stróżówki. Po chwili jednak zasugerował pogodniej: — Do dwóch wygranych? — Bartosz przytaknął i z zapalem wzięli się do ponownego ustawiania pionów na planszy, następnie przerwali i po krótkiej dyskusji uzgodnili ustawienie ich wszystkich na czarnych polach.

— Zaczyna ten, co przegrał — przypomniał, szczerząc się, Bartosz.

— Ty zaczniesz następnym razem — odparł Matusz, unosząc piona i zastanawiając się, gdzie go postawić.

— Słuchaj! — powiedział wpatrzony w pustkę Bartosz. — Coś słyszę. — Podrapał się po głowie.

— Nie rozprasza mnie. Ja myślę.

— Słyszysz coś?

— Nic.

— A ja tak — utrzymywał Bartosz.

Matusz zwinął potężną dłoń w trąbkę, przystawił do ucha i nasłuchiwał, podczas gdy drugi strażnik badał wnętrze swojego organu słuchu masywnym paznokciem.

— A co powinienem usłyszeć? — zapytał Matusz. — Nic nie... — Jego twarz rozjaśniła się w momencie, gdy usłyszał.

— A nie mówiłem! — zatryumfował Bartosz, podczas gdy jego kolega starał się zidentyfikować nowy dźwięk.

Z początku był to bardzo cichy, odległy tupot, jakby kot skradał się w pantoflach. Z czasem jednak stał się głośniejszy, cięższy, bardziej dźwięczny, i teraz już nie można go było nie usłyszeć. Regularne uderzenia metalu o kamień. Bez wątplenia był to bardzo duży człowiek w metalowych butach, przebiegający szybko pustym kamiennym korytarzem tuż obok stróżówki.

Głowy obu strażników jednocześnie uniosły się, by śledzić dźwięk kroków, dudniących w biegu obok ich pomieszczenia. Dłoń Matusza wciąż tkwiła zwinięta przy uchu. Ciężko obuty mężczyzna przebiegł w odległości zaledwie stopy od nich, po czym nagle zapadła cisza.

— Ciekawe, co to było.

— Nie wiem.

— Ja też. — Bartosz wzruszył swymi masywnymi ramionami. — Twój ruch — dodał.

— No.

Skoncentrowany Matusz powoli ustawił białego piona na planszy.

Nagle dotarł do nich słaby okrzyk. Brzmiał mniej więcej:

— Tylko nie panikujta, kumo! Idę ku wom!

\* \* \*

W zamkowej kuchni na dobre rozgorzała dyskusja. Młodszy stali w grupce, gdzie Firkin maglował Cukinię.

— Sześć!?

— Tak, sześć — powtórzyła dobitnie dziewczynka.

— Jak to możliwe? To znaczy, w takim dużym zamku powinny być tysiące!

— Szeroko rozłożył ręce.

— Słuchaj, nie pytaj mnie, dlaczego w tym zamku żyje tylko sześć osób. Tak jest i już!

Splotła ręce i odwróciła się. Beczka obszedł stół i kontynuował rozmowę, tym razem jednak łagodniej. Firkin głośno wyraził swoje zniecierpliwienie i podszedł do Merlota oglądającego resztki drzwi.

— Ta dziewczyna jest głupia! — poskarżył się czarodziejowi.

Arbutus przytaknął z namysłem.

— Eee... co? — zapytał Merlot, wpatrując się w kupkę ziarna na podłodze.

— Jest głupia. Twierdzi, że w tym zamku mieszka tylko sześć osób!

Arbutus znów pokiwał głową.

— I ma rację — odparł czarodziej, trącając ziarno szpiczastym butem.

Dzwoneczek na końcu buta zadzwonił z cicha.

— Ale...

— Nie ma żadnych „ale”. To prawda.

Arbutus przestąpił z nogi na nogę i wlepił spojrzenie w sufit. Firkin tymczasem wiercił się nerwowo w miejscu.

Po chwili Merlot przeniósł wzrok z podłogi na Firkina i skupił na nim uwagę.

— Cóż, młody człowieku, nie jest dobrze, czyż nie?

— Martwię się — odparł po chwili zastanowienia chłopiec.

— Aha.

— Nie wiem, co robić.

— Mhm — wymruczał czarodziej, przygryzając brodę.

Firkin wzruszył ramionami i ciągnął:

— Zaszedłem tak daleko, Beczka tyle przeze mnie przeszedł, a teraz jesteśmy tu, w zamku... no i...

Przez chwilę milczał, po czym podniósł wzrok. Jego oczy pałały gniewem i skrzywdzoną dumą.

— To przez Krzysia! Zdenerwował mnie. Zawiódł nas wszystkich. Obiecał pomoc, a teraz uciekł. To nie w porządku. Potrzebujemy go, a jest bezużyteczny!

— Spokojnie, nie osądzaj tak szybko, młody człowieku. — Głos Merlota był ciepły i kojący jak ulubiona sofa.

— Nie wiem, co robić — kontynuował Firkin. — Jesteśmy już blisko, ale nie wiem, gdzie jest król.

— Ho, ho! A więc na tym polega twój problem? Dlaczegoś od razu nie powiedział, młody człowieku? — Uśmiechnął się mądrze. — Gdzie mieszkają królowie?

Firkin wpatrywał się w czarodzieja.

— W zamkach — odparł sarkastycznie.

— A gdzie się teraz znajdujemy?

— Tak, wiem! — wybuchnął zniecierpliwiony Firkin, tupiąc nogą. — Ale nie wiem, gdzie szukać. Nigdy przedtem tu nie byliśmy. Nie wiem, dokąd... iść...

— Urwał, podążając wzrokiem za spojrzeniem Merlota. Popatrzył na Cukinię, pogrążoną w rozmowie z Beczką.

Wpatrywał się w nią prawie przez cały czas. Ona będzie najlepszym przewodnikiem! Ta myśl podniosła Firkina na duchu.

\* \* \*

Damy w Opresji, jak sugeruje to określenie, nie należą do zamieszkującej bezpieczne, zaciszne komnaty śmietanki zamkowej społeczności. O nie, nie dla nich plusze, parterowe apartamenty wyposażone w drzwi wychodzące na patio z całorocznym widokiem na przyszyżone zamkowe ogrody. Nie dla nich bankiety i bale wyższych sfer, pełne upudrowanej i odzianej w peruki szlachty. Nie dla nich wolność.

By osiągnąć odpowiedni stopień opresji, Damy te muszą być narażone na właściwe dawki trudności, niewygód i kołowrotek. Żadna Dama nie może być w pełni uważana za będącą w Opresji bez małego, chybotliwego kołowrotka u stóp.

Jednakże kluczem do zapewnienia opresji największego kalibru jest miejsce. Wiadomo, iż „współczynnik opresyjności” rozmaitych wymyślnych tortur jest synergicznie zwiększany za sprawą właściwego doboru miejsca wprowadzania w życie tychże. Dla przykładu: wizja bycia przykutym kajdanami do ściany w barze z pełną obsługą kelnerską na hawajskiej plaży nie odpowiada powszechnym wyobrażeniom o piekle, podczas gdy umieszczenie tejże ściany w ohydny, zapchlony dole, w celi lub w ropiejącej masie cuchnących wnętrzności zdaje się



o wiele bliższe ideału. Z tego też powodu Damy w Opresji zawsze odnajduje się uwięzione na szczytach wysokich, pełnych przeciągów wież lub też wtrącone do głębokich, zamieszkałych przez szczury podziemnych lochów, gdzie za towarzystwo mają wyłącznie karaluchy oraz — czasami — smoki o wyjątkowo cuchnącym oddechu.

Wszystko to malowało się jasno przed oczami Krzysia, który z mieczem w ręku wbiegał pędem po spiralnych schodach na najwyższą wieżę zamku Rhyngill.

Był pewien, że na szczycie tej wieży odnajdzie Damę w największej Opresji ze wszystkich Dam, które kiedykolwiek... znalazły się w Opresji. Wieża była wysoka i pełna przeciągów, a więc stanowiła miejsce wprost idealne. Uderzając stopami o trójkątne kamienie, Krzyś dyszał ciężko z wysiłku. Wspiął się coraz wyżej, sprawdzając wszystkie pomieszczenia po drodze — szlak rozłupanych i zdgruzgotanych drzwi stanowił doskonałą graficzną ilustrację jego postępów.

Dwa piętra i cztery pary drzwi nad nim szczuły, kościsty Snydewinder w skupieniu wyglądał przez okno, obserwując dopiero co wysłanego gołębia.

— A udławcie się tym! — zachichotał, wyobrażając sobie powietrznodesantową zniewagę lecącą do Cranachanu i wyraz twarzy króla, gdy...

Nagle jego marzenia prysły, przytłoczone naporem rzeczywistości. Lord kanclerz napiął mięśnie ramion i nasłuchiwał.

Odgłos roztrzaskiwanego drewna dębowego dotarł do szczytu wieży. Snydewinder zamarł w miejscu.

Książę mruknął coś pod nosem, gdy zajrzał do kolejnego pustego pomieszczenia. Ruszył dalej po schodach.

Na odgłos kroków Snydewindera zdjęło przerażenie.

Kroki w mojej wieży, pomyślał.

Krzyś kontynuował poszukiwania, jeszcze jedno drzwi załamały się z hukiem.

Co się dzieje? — rozmyślał lord kanclerz. — Kroki! Moja wieża! Jak oni śmiają, już ja im pokażę! Policzymy się...

Przedostatnie drzwi ustąpiły hałaśliwie pod naporem masy Krzysia.

Oburzenie ustąpiło miejsca ślepej panice i uciekło do rogu. Zaraz za nim pomknął Snydewiner.

Buty o rozmiarze czterdzieści osiem niosły księcia przez kilka ostatnich kondygnacji schodów. Nagle, bez ostrzeżenia, schody skończyły się, a drogę zablokowały drzwi. Szczyt!

Książę stanął przed nimi zziębnięty. To tu, pomyślał. To tu!

Obrzucił wzrokiem trzy zamki i olbrzymie żelazne zawiasy. W przeciągu krótkiej chwili, jak przystało na doświadczonego wyłamywacza drzwi, ocenił rozłożenie działających na nie sił, słabe punkty i punkt przyłożenia — oraz siłę, którą on powinien przyłożyć w celu szybkiego i całkowitego obalenia ich na ziemię.

Po drugiej stronie Snydewinder rozpaczliwie szukał kryjówki. Znalazł się w pułapce i doskonale o tym wiedział.

— Bez obaw! Już tam idę! — krzyknął książę.

Snydewinder na chwilę zastygł w bezruchu, ale w obecnym stanie swojego umysłu uznał te słowa za groźbę. Wypatrzył niewielką szparę pomiędzy kilkoma klatkami, a ścianą. Ślepa panika przekonała go, że zmieści się tam bez problemu, rzucił się więc do kryjówki. Gołębie odsunęły się od wymachującego rękami lorda kanclerza, w swej ptasiej łagodności rozmyślając, przed czym to się tak chowa.

Odpowiedź nadeszła gwałtownie.

Najpierw było odliczanie w postaci pięciu mocnych kopniaków, a potem świat skończył się eksplozją drzazg, zawiasów, zamków i oszołomionych korników.

Książę stał we framudze i rozglądał się groźnie. Wraz z opadającym pyłem na podłogę poszybowało przypadkowe piórko.

Nic poza nim się nie poruszyło. Nawet gołębie siedziały cicho.

Snydewinder zacisnął powiekę zdrowego oka mocniej niż kiedykolwiek, a na opasce pojawiły się zmarszczki. Leżał widoczny do połowy za klatkami, czekając na cios pięści w metalowej rękawicy lub w najgorszym wypadku dotyk zimnej stali na ciele. Przerażenie i panika trzymały go pospołu w żelaznym uścisku, jego serce przestało bić, porażone napięciem elektrycznym. . .

— Do jasnej cholery! Gołębnik!

Książę rozejrzał się za kołowrotkiem i nie zauważywszy żadnego, uderzył rękawicą w pozostałości drzwi, następnie odwrócił się i zbiegł po schodach, by kontynuować poszukiwania.

Snydewinder drżał za klatkami.

\* \* \*

— No i...? — zapytał Firkin zrzędliwie, a jego głos odbił się głuchym echem po pustym kamiennym korytarzu.

— Co „no i”? — odpowiedziała podenerwowana Cukinia.

— Którędy teraz? Ty jesteś przewodnikiem!

Grupka intruzów stała na skrzyżowaniu pięciu identycznych korytarzy. Ich cienie drżały niespokojnie, gdy niezauważalny podmuch załamywał światła pochodni przymocowanych do ścian.

— Nie wiem. Nigdy przedtem tu nie byłem.

— Tak więc zgubiłaś się! — warknął Firkin, bardziej z ogólnej złości niż gniewu.

— Powiniennem być wziąć kłębek nici — jęknął Beczka.

— Nie zgubiłam się — odparła Cukinia butnie. — Zupełnie nie!... Ja tylko... — Głos się jej załamał. — Ja po prostu... eee... nie do końca wiem, gdzie jesteśmy... To wszystko!

— Wspaniale. — Firkin wzruszył ramionami i rozważył plusy płynące z obrażenia się.

— Ile palców widzisz? — zapytał nagle Merlot, przerywając zimną, posępną ciszę.

— Co to ma wspólnego... — zaczął Firkin.

— Ile palców widzisz? — powtórzył czarodziej cierpliwie.

— Co to ma wsp... .

— Nie kłóć się ze mną, młody Firkinie! Ile? — Czarodziej wpatrywał się intensywnie w oczy chłopca.

— Trzy, ale... .

— Dziękuję. — Merlot wyprostował się i zaczął odliczać korytarze zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zakończył, wskazując na trzeci korytarz.

— Tędy — oznajmił. — Za mną!

\* \* \*

Snydewinder wytrząsnął z włosów resztki wielkich, niegdyś zamykanych na trzy zamki drzwi, strząsnął ze swych czarnych, skórzanych szat ostatnie kilka piór, po czym... zatrząsnął się cały.

Strach, gniew i ponura trwoga spowodowały niekontrolowane wstrząsy jego chorobliwie chudego ciała. Pytania w jego głowie domagały się odpowiedzi, jak motłoch podczas polowania na czarownice domaga się sprawiedliwości.

Kto to był?

Czemu tu wtargnął?

Czego szukał?

Czy wróci, żeby dokończyć, co zaczął?

Pytań było wiele setek więcej, ale nie potrafił dojść z nimi do ładu.

Dłoń rozsądku, dzierząca sędziowski młotek spokoju, uderzyła nim hałaśliwie, przyzywając do porządku i stopniowo uciszając rozwydrzony motłoch w jego głowie.

Ten niespokojny spokój pozwolił mu usłyszeć własne myśli. Wszystkie prowadziły do bardzo podobnych konkluzji: jeśli został odkryty prawdziwy powód jego trzynastoletniej obecności w Rhyngill, to... cóż, wołał o tym nie myśleć.

Przez rozpaloną wyobraźnię Snydewindera przemknęła wizja rozdziawionej, zaślinionej lwiej paszczy. Lodowaty dreszcz zmroził mu kręgosłup. Ktokolwiek

rozbił w drobny mak drzwi i wdarł się do jego wieży, musi zostać powstrzymany. Jakoś.

Nadszedł czas na działanie.

\* \* \*

— Twój ruch.

— Tak?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo ja się właśnie ruszyłem.

— Aha, w porządku — powiedział Matusz przekonany tym argumentem, po czym przesunął piona o jedno pole do przodu.

— Hej, twoje są białe! Cofnij go! — wrzasnął Bartosz, z urazą wskazując palcem spornego piona.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Ale ja myślałem. . .

Bartosz nigdy nie dowiedział się, o czym myślał Matusz, sam zainteresowany też zresztą rychło zapomniał. Ich dyskusja została gwałtownie przerwana przybyciem lorda kanclerza. Wpadł jak burza do stróżówki, niemal zrywając drzwi z zawiasów i teraz, dysząc ciężko, wpatrywał się w nich wzrokiem szaleńca.

— Wstawać! Szybko! Najazd! — Krople potu lśniły na wysokim czole Snydewindera. — Chodźcie! Ruszcie się! Natychmiast!

Dwaj strażnicy wstali powoli, patrząc na lorda kanclerza ze wzrastającym poruszeniem.

— Teraz? — zapytał czujny jak zwykle Matusz. — Ale my ciągle gramy.

— Tak, teraz! — Snydewinder chwycił planszę i cisnął ją w odległy kąt pomieszczenia, rozsypując przy tym czarne i białe pionki.

— Koniec gry. — Uśmiechnął się gorzko. — Trzeba działania — ciągnął, usiłując zachować spokój. Nie udało mu się. Przewrócił okiem, aż wyszło mu z orbity. — Szpiedzy! Włamali się! Są ich setki! Wyłapać! Pozabijać! Unicestwić! — zakończył głosem, który wspiął się na niezdrową wysokość.

Podbiegł do Matusza od tyłu i jął z całej siły popychać go w stronę drzwi.

— Rusz się!

Obiegł go z powrotem i niecierpliwie pociągnął za rękaw.

— Ruszaj się natychmiast albo cię zabiję!

Podziałało. Zrobiłby to, nie żywił dla życia szacunku. Matusz widział kiedyś, jak Snydewinder wyrwał stonodze wszystkie nóżki z wyjątkiem jednej i chichocząc przy tym maniakalnie, obserwował, jak zatacza niezdarnie koła.

W tej chwili podskakiwał, napinając swe chude, kościste ręce i wpatrując się z obłędem w oku w Matusza. Panika ogarnęła go bez reszty. Wyglądał jak królik oświetlony reflektorami czterdziestotonowej, pędzącej wprost na niego ciężarów-ki. Ale ten królik był inny. Nie był królikiem, który zamknie oczy, licząc na to, że ciężarówka przemknie kilka cali od niego. Nie był królikiem, który odwróci się i pobiegnie, wymachując na alarm białym ogonkiem. Był królikiem, zamierzającym pewnie stać na swoim miejscu. Królikiem z planem!

Snydewinder wybiegł ze stróżówki, a za nim niespiesznie podążyli Matusz i Bartosz.

— Przeszukać zamek! Znaleźć ich i aresztować! — krzyczał wściekle lord kanclerz. — I zgłosić się do mnie! Będę w swoich kwaterach!

Stał jeszcze chwilę, trzęsąc się niczym budyń po amfetaminie, po czym gwałtownie odwrócił się i odbiegł długim korytarzem.

\* \* \*

Krople potu wciąż przylegały mu do czoła. Przebiegł przez drzwi od swoich spartańskich kwater, zatrzasnął je za sobą i oparł się o nie, usiłując złapać oddech. Smugi paniki wirowały wokół jego kostek jak mgła w niskobudżetowych horrorach. Zamknął oczy i zadrżał. Niechciana straszliwa wizja pojawiła się w jego głowie. Oto patrzył dwojgiem małych oczu, z wysokości zaledwie kilku cali nad ziemią. Patrzył na królewską, złowieszczą postać groźnego zwierzęcia. Uderzało ono czarnymi pazurami o ziemię, ale nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Lwia paszcza wpierw uśmiechnęła się szyderczo, by po chwili rozewrzeć się, ukazując żółte zębiska okolone czarnymi wargami. Kłębowisko złotej grzywy było coraz bliżej. Snydewinder wpatrywał się w górę, w czarno-czerwoną paszczę, zapowiedź śmierci. Wraz z oddechem z potężnego gardła dobył się krzyk tysięcy martwych od dawna ssaków. Czuł, jak jego głos dołącza do tej kakofonii. Krzycząc. Paszcza była coraz bliżej i bliżej. Zbyt blisko. W przerażającym momencie, gdy czuł już duszące ciepło oddechu, lwi pysk jakby stopniał. Spłynął ciekłą grozą, by błyskawicznie niczym rtęć zamienić się w szyderczą twarz sprzed trzynastu lat. . .

Snydewinder krzyknął, otworzył oczy i stał, dygocząc. Uśmiechnięta szyderczo twarz króla Grimzyna wciąż lśniła — utrwalony obraz, wypalony głęboko w jego siatkówce. Macki paniki prześlizgnęły się pod drzwiami i chwyciły go za

kostki. Rzucił się w stronę biurka, wskoczył na krzesło, podciągnął nogi i objął je mocno. Ukrył głowę między kolanami i kiwał się wolno tam i z powrotem.

Po raz pierwszy od trzynastu lat Snydewinder się bał.

Już prawie zapomniał, jakie to uczucie. By przypomnieć sobie coś takiego, musiał cofnąć się pamięcią o trzynaście lat. Była to chwila, kiedy po samotnym przebyciu Gór Talpejskich przygotowywał się do wkroczenia do wrogiej fortecy, zamku Rhyngill, uzbrojony wyłącznie w plik fałszywych dokumentów, listy uwierzytelniające, swój sprawny umysł i zdolność łgania w żywe oczy. Żołądek podchodził mu do gardła, gdy na pozór spokojnie podszedł do potężnego strażnika i oznajmił, że chce się widzieć z królem. Tak, teraz. To bardzo ważne i nie, nie możesz się dowiedzieć o charakterze mojej sprawy. Nie, niczym nie handluje. Jestem lord Snydewinder i to powinno ci wystarczyć. Pośpiesz się, człowieku, zaprowadź mnie do jego wysokości. Tak, teraz!

Od tego czasu niemal zdołał przekonać samego siebie, że jest lordem Snydewinderem, a nie byłym szefem Spraw Wewnętrznych Cranachanu. Jeśli chodziło o świat, to umarł Fisk, niech żyje Snydewinder. W przeciągu następnych kilku lat władza zepsuła go do szczytu i po serii pokretnych i fachowych manewrów rozszerzających jego uprawnienia, manewrów zbyt skomplikowanych, by młody król Klayth je pojął, wysforował się na pozycję zapewniającą mu kontrolę nad wszystkimi aspektami funkcjonowania zamku. Każdy, kto okazywał choćby najmniejsze podejrzenia, znikał, a wszyscy pozostali zostawali zwolnieni. On tu rządził. Nie Klayth, myślał, nie ten marionetkowy władca, który wszystkiego, co wie, nauczył się ode mnie, którego prowadziłem, którym manipulowałem, jak i wszystkim w tym małym, zgniłym, tandetnym królestwie. Snydewinderowi udało się ocenzurować wspomnienia o dość haniebnym wydaleniu z Cranachanu i scenie, w której król Grimzyn wraz z komisją przedstawił mu, bez ogródek, los, jaki go czeka, jeśli jego plan nie przyniesie spodziewanych efektów lub jeśli Snydewinder nawet w ogóle pomyśli o ponownym postawieniu stopy w Cranachanie.

Ale wszystko powiodło się znakomicie, plan okazał się sukcesem. Im więcej o tym myślał, tym bardziej czuł się zmieszany i zakłopotany. To nie miało sensu. Wykonał swoje zadanie, dotrzymał swojej części umowy. Cranachan otrzymywał dziesięcinę z Rhyngill, zapobiegł najechaniu tego miejsca. I na co to wszystko? Jakie dostał podziękowania? Po trzynastu długich latach niewolniczej harówki u tronu, rozmyślał, przysyłają wielkich, rozwalających drzwi rycerzy, by mnie nastraszyć. Ale to im się nie uda. Nie ujdzie im na sucho. O co to, to nie! Ja im pokażę!

Obejmując mocno kolana i kiwając się na krześle, Snydewinder mamrotał, jęczał i narzekał pod nosem.

\* \* \*

- Słuchajcie! — powiedział Beczka ponaglająco.  
W długim, mrocznym korytarzu jego głos zabrzmiał głucho i dudniąco.  
— Czego? — spytała Cukinia.  
— Ktoś tu idzie.  
— Najwyższy czas — westchnął zrzędlawie Firkin. — Idziemy tym korytarzem ze sto lat!  
— Nie, znowuż nie tak długo! — odparł Beczka, broniąc Cukinii.  
Kroki stały się głośniejsze.  
— Może uda nam się spytać tego kogoś o drogę — rzucił Firkin sarkastycznie, patrząc na dziewczynkę. Tym komentarzem trafił w czuły punkt.  
— Słuchaj, to nie moja wina, że nigdy wcześniej tu nie byłam! — krzyknęła, tupiąc nóżką Cukinia. — To duży zamek.  
— A więc znowu się zgubiłaś? — Firkin był spięty, dostrzegalne stawało się ogólne napięcie.  
Cukinia odwróciła wzrok.  
Kroki się zbliżały. Firkin zrobił nachmurzoną minę.  
— Ależ proszę was, proszę! Nie tak powinniście się zachowywać! — Merlot stanął pomiędzy dwojgiem nastolatków, szeleszcząc przy tym melodyjnie. — Nie tak, czyż nie?  
Arbutus przytaknął zgodnie.  
Firkin spojrział na jaskrawo odzianego czarodzieja.  
— A co sugerujesz? — Chłopcu zaczynały puszczać nerwy.  
— Powinniśmy współpracować! — zaapelował Beczka.  
— Jasny gwint, zgrabnie to ujął, prawda, Arbutusie? — powiedział Merlot.  
Sowa przytaknęła, wkładając w to całą swą sowią mądrość.  
— Ująć to nas może ten ktoś, co pędzi korytarzem — oznajmił Pasztetnik, zmieniając temat konwersacji na o wiele bardziej przyziemny i na czasie.  
Kroki dudniły regularnie o podłogę korytarza. Cała grupka spoglądała w stronę, z której dobiegał hałas. Pasztetnik zmrużył oczy, Merlot zezował w półmroku, Firkin i Beczka stali zakłopotani, a Arbutus otworzył powoli jedno oko, spojrział w korytarz i po chwili znów je zamknął.  
— Nic nie widzę — oznajmiła Cukinia.  
— Nie jestem pewien, czy chciałbym coś zobaczyć — wyszeptał Beczka.  
— Ale tu wcale nie jest ciemno — dodała dziewczynka. — Boję się.  
— A ja chciałbym wiedzieć — powiedział Firkin cicho — dlaczego ten ktoś biegnie...  
— Mmm — rozwiął wątpliwości kolegi Beczka.

— ... i czy nie powinniśmy poszukać jakiejś kryjówki.

Merlot popatrzył na niego.

— To znaczy... eee... co, jeśli idą nas zaaresztować... Jeśli wiedzą, że tu jesteśmy...?

Wokół nich grało echo kroków. Wszyscy wpatrywali się w pusty korytarz. Dudnienie było coraz głośniejsze, odbijało się od ścian. Brzmiało tak, jakby dochodziło z wnętrza ścian. Powinni już byli kogoś dostrzec, kogoś bardzo dużego, sądząc po krokach, coraz głośniejszych i bliższych, bliższych...

— Czy w tym zamku straszy?! — Beczka starał się przekrzyczeć dudnienie.

— Boję się — pisnęła Cukinia.

... i bliższych. Tajemnicza postać powinna już do nich dobiec.

— Nic nie widzę! — dodał Beczka.

Próbowali skupić się na źródle dźwięku, wciąż donośniejszego i coraz bliższego. Zbyt bliskiego. Znajdowało się nad nimi. Jak jeden mąż wszyscy unieśli głowy i odprowadzili wzrokiem tupot niewidzialnych stóp na suficie, mijających ich i stopniowo cichnących.

Z korytarza nad nimi, przez kamienie, przedarł się niewyraźny krzyk.

— Idę ku wam, kumo, idę!

\* \* \*

Dwaj strażnicy biegli jednym z tysięcy pustych zamkowych korytarzy. Bartosz był bardzo podniecony, najazd oznaczał, że będzie coś do roboty. Był także zły na siebie. Otrzymał bezpośredni rozkaz od Snydewindera. Wiedział, że pozostaje to w zgodzie z naturalną kolejną rzeczy, wszak Snydewinder jest, bądź co bądź, lordem kanclerzem. Ale Bartosz miał sobie za złe, że otrzymując rozkaz, nie narobił odpowiedniego zamieszania ani nie spróbował rozżłościć Snydewindera. W otrzymywaniu od niego rozkazów Bartosz lubił jedynie krótkie chwile, kiedy wyłożywszy swoje racje, ten mały, wstrętny człowieczek czerwieniał na twarzy i popadał w furję, słysząc jego pomrukiwania i odchrząkiwania. Bartosz opanował do perfekcji sztukę wyczuwania właściwej chwili godzenia się na wypełnienie rozkazu, tak by spowodować przy tym maksymalną wściekłość lorda kanclerza i jednocześnie minimalnie ryzykując. Była to jedyna uboczna korzyść z pracy, jaką Bartosz czerpał, więc teraz żałował straconej okazji do podrażnienia się ze zwierzchnikiem.

Jedynym powodem, dla którego tym razem zrezygnował ze swojego zwyczaju, był niepokojący wyraz twarzy Snydewindera. Przez wszystkie lata obecności lorda kanclerza w zamku, Bartosz nigdy nie widział go przestraszonego. Tego na-



prawdę przestraszonego, drżącego wraka z wybałuszonymi oczami, nie widział nigdy przedtem.

Perspektywa spotkania z kimś lub czymś, co mogło wzbudzić w Snydewinderze tak godny politowania strach, napełniała Bartosza głębokim podnieceniem. Pragnął uściskać temu komuś lub czemuś dłoń i postawić mu kufelek.

Strażnicy wypadli z za zakrętu i stanęli na skrzyżowaniu korytarzy.

— Którędy teraz?

— Eee... w prawo — zdecydował Bartosz.

Pobiegli w tym kierunku, wypatrując jakichś znaków obecności najeźdźców: narysowanych kredą strzałek, fragmentów odzieży zawieszonych na co ostrzejszych kawałkach kamieni lub nawet długiego sznurka, po którym mogliby podążać do wyjścia. O tak, coś takiego okazałoby się bardzo pomocne, ale oczywiście nic z tych rzeczy nie znaleźli. To byłoby zbyt proste.

— Jak myślisz, ilu ich będzie? — zapytał Bartosz, a jego głęboki głos zadudnił w pustym korytarzu.

— ... — brzmiała odpowiedź.

— Jak myślisz... — Bartosz ponowił pytanie, obracając się przez ramię.

Nagle stanął w miejscu i rozejrzał się. Matusz zniknął. Bartosz stał samotnie w korytarzu i drapał się po głowie. Gdzie on się podział? Popatrzył przed siebie. Nic z tego. Od czasu ostatniego skrzyżowania żadnego innego nie było, więc...

Popatrzył w stronę, z której przyszedł. Tam dostrzegł stojącego jeszcze przed skrzyżowaniem Matusza, który wzruszał ramionami i głupawo machał ręką.

— Kompletny brak wycucia kierunku — mruknął Bartosz. — Następnym razem powiem po prostu „Za mną!”.

\* \* \*

Na terenie każdego zamku znajduje się miejsce, w którym architekt pozwolił sobie na wyrażenie własnej indywidualności. Niektórzy bez wyraźnego powodu dodają ślepe zakończenia korytarzom, inni w serii dziesięciu, czy dwunastu par drzwi jedne zmniejszają w stosunku do reszty o trzy cale i dodają dowcipny napis w rodzaju „Kucaj lub Kicaj”, inni na zwisających parapetach ustawiają rzędami pokazujące obsceniczne gesty gargulce, inni z kolei bawią się w dowcipy wzrokowe, przyprawiając skrzydła łukom przyporowym.

Na nikogo jednakże w tej materii nie można było liczyć tak bardzo jak na McEschera, wynalazcę pionowego, przenośnego łuku przyporowego, samonapełniającego się wodospadu i ruchomych schodów Möbiusa. Był on bez wątpienia bezdyskusyjnym mistrzem tak zwanej „Artytektury”. Już jako dziecko okazał

się geniuszem kognitywnego rozumowania trójwymiarowego i interpolowanej re-aranżacji hiperprzestrzennej. Pewnego letniego dnia rodzice wzięli go na piknik, gdzie bawił się klockami. Gdy zaniepokojeni tym, że chichocze cicho pod nosem, poszli zobaczyć, co porabia, ze zdumieniem odkryli, dlaczego mrówki nie zaatakowały pikniku: całe ich setki zawzięcie maszerowały po spiralnych, jednopoziomowych, czterostronnych schodach, które prowadziły donikąd. Wiele lat później, gdy McEscher dostał wolną rękę przy projektowaniu i budowie zamku Rhyngill, stworzył najbardziej mistrzowski przykład artytektonicznego labiryntu, jaki kiedykolwiek zaprojektowano i jakiego budowę uwieczono sukcesem.

Aleja Vertigo, jak przezwali ją budowniczy, znajdowała się mniej więcej w centrum zamku. Była punktem, w którym zbiegały się wszystkie korytarze. Stając na samym dole i patrząc w górę, dostrzegało się ich setki — wyłaniały się ze wszystkich stron i pod wszystkimi kątami. Niektóre połączone były krótkimi schodami, inne schodami ruchomymi Móbiosa, inne z kolei dłuższymi schodami, ustawionymi wobec krótszych pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Niektóre korytarze kończyły się po prostu pionowymi spadkami. Aleja stanowiła arcydzieło trójwymiarowej, hiperprzestrzennej geometrii. Niektórzy filozofujący matematycy utrzymywali nawet, że wykraczała poza przeciętną trójwymiarowość i dopuszczała do bardziej tajemniczych wymiarów. Wystarczy, powiadali oni, stanąć na „szczytach najwyższych” schodów, zamknąć oczy, rozluźnić się i poszybować w powietrze, a być może upadnie się tak para-wymiarowo, by wykroczyć poza prawa konwencjonalnej geometrii i znaleźć się w świecie, w którym kto wie, ile wymiarów wchodzi w grę. Co dziwne, nikt nigdy nie zebrał się na odwagę, by wypróbować tę teorię na własnej skórze.

Niestety, zaprojektowanie i budowa alei Vertigo odcisnęło na McEscherze niezatarte piętno, spychając go w dół spirali szaleństwa. Koniec końców, odnaleziony po latach u podnóża schodów w stanie kompletnej umysłowej aberracji, dożył swych dni w domu dla szalonych architektów, usiłując skrzyżować gady z żabami.

\* \* \*

Tymczasem niewielka grupka intruzów wyszła na wielką, otwartą przestrzeń i stanęła w miejscu. Nagle wszyscy poczuli się bardzo, bardzo mali. Jak jeden mąż unieśli głowy i spojrzeli na płataninę połączonych schodów, przejść i sunących powoli schodów ruchomych. Firkinowi z wrażenia opadła szczęka, Beczka czuł się kompletnie skołowany, a Pasztetnik padł jak długi.

— Prze... prze... przepraszam, Cukinio — wyszeptał, pojawiwszy prawdziwe rozmiary zamku, Firkin. — Jest olbrzymi.

— A nie mówiłam?  
— Założę się, że nie masz pojęcia, którądy teraz powinniśmy iść.  
— Nie.  
— Ile masz palców, Merlot? — zapytał Firkin.  
— Zbyt mało, czyż nie? — odparł czarodziej, podczas gdy Pasztetnik z trudem podnosił się z ziemi.  
— Ten korytarz wygląda niezłe. — Beczka wskazał taki, w jakim zauważył więcej pochodni niż w pozostałych.  
— Ale te wszystkie schody... — jęknął Pasztetnik.  
— No właśnie. Król raczej nie mieszka na parterze — wyjaśnił chłopiec.  
Pasztetnik wzruszył ramionami.  
— Skoro wybieramy się na górę — oznajmił Merlot — to patrzcie na schody przed wami. Czuję tu Magię.  
Firkin ruszył przodem, wspinając się po wąskiej kondygnacji kamiennych schodów.  
Po chwili minęli niewielki podest i skierowali się styczną do ich początkowego azymutu. Wspinali się po coraz szerszych schodach.  
Firkin spojrzął do „góry” i nagle poczuł, że stopień pod nim faluje, jakby jechał na wielbłądzie podczas trzęsienia ziemi. Skołowany, chwycił się poręczy. Było mu niedobrze. Wiedział, że patrzy do góry, podpowiedziała mu to grawitacja, ale wszystkie zmysły krzyczały, że patrzy w dół. Daleko, daleko w dół. Potrząsnął głową i z ukosa popatrzył w pustkę. Złe posunięcie. Zakręciło mu się w głowie, a żołądek podszedł do gardła, gdy ujrzał przepaść poruszającą się jednocześnie w górę i w dół. Przestał iść, mocno przywarł do ściany, obejmując solidny kamień i przyciskając do niego policzki w poszukiwaniu równowagi. Tętno podskoczyło mu gwałtownie w wyniku tak intensywnego kontaktu ze sztuką. Ściana poruszyła się, był tego pewien. A może to tylko on się zachwiał? Pojęcia „góry” i „dołu” stały się złowieszczymi plotkami, które słyszał dawno, dawno temu. Zaczął wirować. Kręcił się wokół własnej osi, lecąc w dół, wprost ku niebu — a może w górę, ku twardej ziemi? Ktoś chwycił go za ramię...  
— W porządku? — zapytał Beczka.  
— Ni... ni... nie patrz w dół... albo w górę — odpowiedział blady, dygoczący Firkin.  
— Czemu nie?  
— Ni... ni... nie i już! Nie patrz. To przerażające.  
Nadal mocno trzymał się ściany, szczerze wierząc, że gdy ją puści, runie w górę, w dół lub gdziekolwiek indziej, wprost w wirującą pustkę, z której nie ma ucieczki. „Piekło” Dantego istniało, miało się dobrze i czyhało trzy stopy za nim.  
— Rusz się, zejdz z drogi — ponaglił go Beczka. — Stoisz na drodze, rusz się!  
— Jakiej drodze?

— W górę.

— Jakiej drodze?

Beczka delikatnie popchnął przyjaciela do przodu i pilnując każdego jego kroku oraz cały czas go zagadując, doprowadził do drugiego podestu. Poruszali się bardzo wolno. Firkin, osiągnąwszy podest, upadł na kolana i pocałował podłogę, jakby było dawno niewidzianym przyjacielem, który wyjechał na wakacje za granicę i tak mu się spodobało, że chciałby zostać tam na stałe, a teraz wracał niechętnie tylko dlatego, że skończyły mu się pieniądze. Położył się, zamykając mocno oczy, i szeptał żałośnie, czując podnoszące na duchu przyciąganie ziemskie, przyciąganie w jednym tylko kierunku. Kierunku, który nazywał „dołem”.

W ciągu kilku minut, dysząc jak lokomotywa, dołączył do reszty zamykający pochód Pasztetnik.

— Nigdy się niczego nie nauczysz, czyż nie? — skarcił Firkina Merlot.

Przed nimi ciągnął się zakończony zakrętem korytarz, wejście do drugiego, mniejszego, znajdowało się po prawej. Firkin, wzruszając ramionami, wpełzł doń i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Zimny kamień sprawił, że poczuł się pewniej i stopniowo opanował nerwy. Jego zmysły doszły do siebie i wkrótce zdał sobie sprawę z toczącej się obok rozmowy. Dotarł do niego głos Cukinii.

— Co jesz?

— Czasztko — brzmiała odpowiedź Beczki.

Zmieszany Firkin otworzył oczy i ujrzał Beczkę jedzącego duże, złociste ciastko zbożowe.

— Skąd je masz? — dopytywała się dziewczynka.

— Eee... ja je... tego... znalazłem! — odparł zakłopotany chłopiec.

— Gdzie?

— Leżało sobie i... eee...

— Tata się wścieknie, kiedy to zauważy.

— I tak było ich za dużo dla waszej szóstki.

— Ale to kradzież!

— Nie, to podatek! — butnie odparł zarzut Beczka. — Najwyższy czas, żebyśmy coś odzyskali, prawda, Firkin?

Uśmiechnął się i podał przyjacielowi ciastko. Firkin ugryzł kawałek.

— Moich pasztecików już nie łaska? — dobiegł zza ich pleców kpiarski głos Pasztetnika.

— Po prostu miałem ochotę na... .

— Ciii! — pisnął Firkin, kładąc palec na usta.

— Co? — szepnął Beczka.

— Słyszę jakieś głosy.

Zza rogu korytarza dobiegało głębokie, powolne mamrotanie. Firkin podkradł się tam, rozejrzał i po chwili wrócił.

— Dwóch Czarnych Strażników — obwieścił drżącym głosem.

— Co my teraz zrobimy? — zapytał przerażony Beczka.

— Zostawcie to mnie — powiedział stanowczo Merlot. — Mam w tym wprawę.

Ruszył spokojnie i melodyjnie do przodu, delikatnie podzwaniając dzwoneczkami u butów. Firkin, Beczka i Pasztetnik z otwartymi ustami obserwowali, jak czarodziej skręca za róg.

— Jaki on odważny! — wyszeptała z respektem Cukinia.

Gdy zniknął im z oczu, oczekiwali odgłosów taumaturgicznej destrukcji czynionej przez Merlota ciskaniem w przeciwników błyskawicami energii. Zamiast tego jednakże zza rogu dobiegł ich ciepły i kojący głos czarodzieja.

— Dzień dobry panom. Będą panowie tak łaskawi i powiedzą nam, gdzie moglibyśmy znaleźć króla, czyż nie?

Bartosz i Matusz popatrzyli po sobie z niedowierzaniem, przytaknęli, zrozumiałwszy się bez słów, po czym popędzili za uciekającym za róg czarodziejem, powiewającymi połami jego peleryny i lecącą u jego boku sową.

— Tędy! — krzyknął Merlot do Firkina, wskazując niewielki korytarz po swojej prawej stronie. Po chwili wszyscy poza czarodziejem mknęli nim co sił w nogach, będąc daleko już od wyłaniających się zza rogu strażników.

— Poszli tamtędy — poinformował strażników Merlot, palcem wskazując mniejsze z przejść. Ci podziękowali skinieniem głowy i nie zwalniając, pobiegli dalej.

Głośne kroki sześciu par biegnących stóp i krzyki w rodzaju „Chodź tu do mnie!”, „Wracaj!” oraz dość częstego „Ratunku!” zaskakująco szybko zmieniły się w zwykłe echo.

— Doskonale, Arbutusie — powiedział Merlot, nonszalancko opierając się o ścianę i nasłuchując gwałtownie cichnących dźwięków. — To powinno ich zająć. Teraz weźmy się do prawdziwej roboty. — Entuzjastycznie zatarł ręce.

— W porządeczku, kapitanie! — zaskrzeczał głupawo Arbutus.

— Skoro tak, to czy nie miałbyś ochoty pogadać z pewnymi gołębiami...?

\* \* \*

Król Klayth na powrót znalazł się w swoim ulubionym miejscu, bibliotece, robił to, co lubił robić najbardziej — czytał.

Coś jednak było z nim nie w porządku. Wpatrywał się uważnie w karty książki leżącej przed nim na masywnym stole, ale jego myśli krążyły wokół zupełnie innych spraw. Stał pochylony nad otwartą księgą, wspierając głowę na rękach i opierając się łokciami o stół. Podrapał się po głowie i popatrzył w sufit, bez-

myślnie bębniąc palcami po blacie. Ciężko westchnął. W myślach opuścił już fabułę książki, bibliotekę i zamek. Znów przebywał w spichlerzach. Wciąż nie mógł uwierzyć, że są takie wielkie, a przede wszystkim — kompletnie puste. Wyprostował się i jął bez celu przechadzać się po bibliotece. Obojętnie mijał rzędy zatechłych ksiąg, upchniętych na wysokich, zakurzonych regałach, o których zawartości mogły dawać wyobrażenie jedynie drobne literki oznaczające poszczególne działy. Szwendał się tak, co jakiś czas wyciągając z półki jakąś przypadkową książkę, kartkując ją od niechcienia i odkładając na miejsce. W końcu dotarł do sekcji, w której był przedtem może z raz czy dwa. Ta część biblioteki nazywała się „Akta”. Niczym poczerńnięte zęby z półek wyzierały tu rzędy oprawnych w czarną skórę ksiąg. Król przyglądał się tytułom na wiekowych grzebietach: „Akta należności”, „Żywy inwentarz od 933 do 1014 OG”, „Zatrudnienie” i tym podobne.

Przybity Klayth wyciągnął z półki „Akta należności” i spojrzał na stronę, na której się otwarły. Zapełniały ją kolumny maciupęńkich, ręcznie zapisanych liczb, zsumowanych w prawym, dolnym rogu stronicy. Niektóre z liczb rozpoznał jako daty, a po chwili stwierdził, że „urg” oznacza zapewne „uregulowany”, lecz cała reszta równie dobrze mogłaby być napisana hieroglifami. Poirytowany odłożył księgę na półkę, ale wiedziony leniwą ciekawością wyciągnął drugą, „Zatrudnienie”. Opasłe tomisko otwarło się na zapisach z roku 1025 OG. Klayth przyjrzał się stronie, starając się odgadnąć znaczenie zapisów. Tym razem zapełniały ją kolumny słów, wpisanych tym samym drobnym, starannym pismem, co w poprzedniej księdze. Były tu nazwiska, adresy, lista funkcji pełnionych przez pracowników, kolumny z płacami, datami rozpoczęcia i zakończenia pracy oraz szczególnie szeroka kolumna „Powody odejścia”. Ta księga zaciekała go, poniosł ją więc w stronę najbliższego pulpitu.

Przeoglądając ją, przeniósł się do innego świata. Nazwiska i adresy, o których nigdy wcześniej nie słyszał, strona za stroną układały się w zgrabne, małe wersety. W trzeciej kolumnie dostrzegł słowa, których nie znał: stajenny, podkuwacz koni, pomocnik kowala, szewc, płatnerz, niegodziwiec — lista ciągnęła się bardzo długo: pokojówka, szwaczka, dworzanin. Kręciło mu się w głowie od nieznanych słów. Stronice pełne nazw zawodów. Odwrócił stronę i niemal zakrztusił się ze zdumienia. Tu nie było już zgrabnych literek. Ich miejsce zajęły niechlujne gryzmoły, wykraczające poza nakreślone linie, orzące powierzchnię pergaminu — słowem, okazujące zupełny brak respektu dla subtelnych niuansów stylu i grafiki poprzednich zapisów, a co więcej — niepokojąco znajome. Takie bazgroły mogłby stworzyć pajak zanurzony w inkauscie i ciśnięty na nietkniętą wcześniej stronicę, miotający się w celu usunięcia z siebie atramentu.

U góry tej strony widniał pierwszy wpis tym charakterem pisma: „N. O. Tariusz, ul. Garnarzy, Rhyngill, skryba, 1012 do 1025 OG, zwolniony”.

Nagle Klaytha uderzyła pewna myśl; przestał czytać i podniósł wzrok nad księgi. Wszystkie te słowa oznaczały zawody. Wszystkie te nazwiska oznaczały

ludzi. Wszyscy ci ludzie tutaj pracowali. Skierował wzrok na kolumnę „Powody odejścia”. Z wyjątkiem rzadkich wpisów w rodzaju „zmarł” lub „deportowany”, przy wszystkich nazwiskach widniał ten sam powód. Zwolniony. Wszystkie pochodziły z drugiej połowy roku 1025 OG. Pytania krążyły wokół umysłu króla jak ómy wokół świecy w letni wieczór.

Gdzie oni się podziali?

Kto ich zwolnił?

Czemu to pismo jest tak przeraźliwie znajome?

Czemu Klayth czuł, że coś się w tym wszystkim zdecydowanie nie zgadza?

Jak brzmiało słowo oznaczające niedające spokoju odczucie, spowodowane pewnymi fragmentami informacji, zdarzeń i bodźców pozamysłowych (patrz Przeczucia), zbiegającymi się w jeden wniosek — pierwsza „P”, jednaście liter, w środku „d”?

Gdyby Klayth miał słownik, mógłby w nim sprawdzić.

Podtopienie. Nie, bez sensu.

Podniecenie. Dobrze, tyle że niewłaściwe.

Potrojenie. Za krótkie i nie ma „d”.

Podniebienie. Bez żartów!

P... od... Nie, nic z tego.

Podej... Mam!

Podejrzenie.

Król wyprostował się i nie wiedząc jeszcze dlaczego, pobiegł w stronę spi-chlerzy. W tym samym czasie w drugim końcu biblioteki pojawiła się i zaczęła czegoś szukać wysoka postać, która pamiętała, że to czego szuka, znaleźć można w kilka minut.

\* \* \*

Uderzenia skrzydeł i skrobanie szponów o parapet okienny oznajmiły przybycie Arbutusa na szczyt najwyższej z wież. Sowa podskoczyła, rozejrzała się dokoła, a następnie wleciała do środka i przysiadła na zakurzonej drewnianej półce.

Szczałki dębowych drzwi wciąż leżały tam, gdzie upadły, na grubej warstwie kurzu i drzazg dostrzec można było jedynie nieliczne ślady podeszew.

Trzydzieści par oczu wyglądało z klatek w tępej ptasiej ciekawości.

Arbutus złożył skrzydła za plecami, zgiął nogi w kolanach i wydał z siebie serię skrzeków i treli, gołębi odpowiednik: „Czołem pracy! Co tu się wyrabia, chłopaki?”.

\* \* \*

— AAAAAAAAAaaaaaa!!! — wrzeszczał, wymachując rękami, pędzący ciemnym korytarzem Beczka. Po piętach deptali mu Cukinia oraz Pasztetnik, którzy zapewne krzyczeliby coś podobnego, gdyby tylko udało im się złapać dech. Na samym końcu biegł Firkin, usilnie starający się myśleć o czymś innym niż ścigający ich potężni Czarni Strażnicy i ich zamiary wobec intruzów. Nie udawało mu się to. Na razie.

W polu widzenia pojawiło się skrzyżowanie. Decyzja została podjęta w przeciągu tysięcznej części sekundy. Rzucili się na prawo.

— AAAAAAAAA! — powtórzył Beczka, tym razem jednak nie pojawił się efekt Dopplera.

Beczka zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w dół. W dole, pomiędzy jego palcami u nóg, w powodującej skręt kiszek pionowej perspektywie rozciągała się aleja Vertigo. Cofnął się krok do tyłu, w sam raz, żeby pochwycić i obrócić nadbiegającą Cukinię, zatrzymując ją przy tym bezpiecznie, oraz by ocalić samego siebie od strasznego, przyprawiającego o mdłości ataku zawrotów głowy. Odwrócił się i jał wymachiwać zamasyście rękami w stronę pozostałej dwójki, która pędziła na złamanie karku w stronę przepaści. Pasztetnik, z zamkniętymi oczami, posuwał się naprzód przedziwnymi susami, dzięki czemu mógł trzymać przy sobie tacę i, jak dotąd, nie zrzucić z niej ani jednego pasztecika. Firkin nagle zdał sobie sprawę, że przed nim, tuż za miejscem, gdzie stał Beczka, znajduje się... hmm... inne wejście do alei Vertigo. Mniej więcej w tym samym czasie skonstatował, że Pasztetnik w żaden sposób nie okazuje zamiaru zwolnienia tempa, rzucił się więc desperacko i powalił go na ziemię wprawnym chwytem rodem z rugby. Obaj ciężko runęli i zwarci, twarzami w dół, ślizgiem sunęli w stronę przepaści. Firkin poczuł, że przyspiesza, gdy siła bezwładności Pasztetnika mocno go pociągnęła. Trzymał się kurczowo jego kostek i zaciskał zęby. Wiedział, że kilka krótkich stóp przed nim znajduje się wiele długich stóp drogi w dół. Przypomniał sobie skręcające żołądek uczucie, jakiego doświadczył po drodze na górę. Teraz, podczas podróży w dół, będzie przynajmniej krótsze.

— Och, Tarcie, nie porzucaj mnie! — błagał Firkin w chwili zwątpienia.

Fartuch Pasztetnika zostawiał za sobą tłusty ślad, porządnie smarując ten odcinek korytarza. Nie zamierzali się zatrzymać. Firkin zarył palcami nóg w podłoże. Piekielnie zabolalo. Stopniowo i obiektywnie rzecz biorąc, zdecydowanie za wolno, zaczęli zwalniać. Firkin podniósł głowę. Zbliżał się koniec korytarza, krawędź była zbyt blisko. Czuł, że jego palce u nóg lada moment eksplodują. Nieuchronnie zbliżali się do przepaści. Beczka chwycił za ramiączko fartucha Pasztetnika i pociągnął tak silnie, jak tylko potrafił. Powoli, jak wypłata odszkodowania



przez firmę ubezpieczeniową, pędzący ślizgiem się zatrzymali. Ramiona Pasztetnika wystawały znad krawędzi. Firkin, przygnieciony jego stopami, wpatrywał się w otchłań. Nagle dostrzegł pasztecik przetaczający się koło niego i niespiesznie spadający w przepaść. Leciał bardzo, bardzo długo, aż w końcu setki stóp poniżej pozostawił po sobie tłustą plamę. Obaj szczęśliwcy wzdrygnęli się z przerażenia. Pasztetnik uroczyście przyrzekł od tej chwili używać wyłącznie niskotłuszczowego ciasta, decyzję swą argumentując pragnieniem zapewnienia sobie długiego i zdrowego życia.

Firkin wciąż leżał, ciężko dyszał i marzył o tym, by móc wsiąknąć jak kamfora. Wiedział, że w każdej chwili, tuż za ich plecami. . .

— Ha! Tu jesteście! — zagrzmiał Bartosz. — Niech nikt się nie rusza. Stąd nie ma ucieczki!

— Ale ubaw! Moglibyśmy tak jeszcze raz? — cieszył się Matusz.

— Nie. Musimy znaleźć Snyderwidera.

— To nie w porządku! Lubię sobie pobiegać, pokrzyczeć i. . .

— Rozkaz to rozkaz! Ruszaj.

Wielki strażnik oddalił się powoli, mamrocząc coś pod nosem.

— Co. . . co. . . co macie zamiar z nami zrobić? — wy dyszał Beczka.

— Ja nic — odparł Bartosz. — Resztą zajmie się Snyderwider.

— Jaką resztą? — spytał Pasztetnik i natychmiast tego pożałował.

— Tortury, ingi. . . ingiwi. . . iwigin. . . przesłuchania i takie tam.

Cukinia wybuchnęła płaczem.

Na skrzyżowaniu korytarzy pojawił się Matusz. Na twarz wypełził mu głupawy uśmiech.

— Ojoj! Nie tędy droga — zamruczał, po czym zniknął, otrzymawszy jeszcze na odchodnym szybkiego kopniaka od Bartosza.

Nie po raz pierwszy od czasu opuszczenia Middin Firkin skarcił się w myślach za to, że nie starczyło mu zdrowego rozsądku, by porzucić szlachetne myśli o heroicznych czynach i prawym oburzeniu, i by zrobić to, co na jego miejscu uczyniłby każdy myślący człowiek: zostać w łóżku, naciągnąć koc na głowę i mieć nadzieję, że to przejdzie.

Nad grupą intruzów zapadła męcząca cisza, przerywana tylko łkaniem Cukinii i dźwiękami, które wydawał Beczka, mając nadzieję, że są pocieszające.

Bartosz stał w bezruchu na końcu krótkiego korytarzyka. Pasztetnik wyjrzał w dół na aleję Vertigo, zastanawiając się przez chwilę, czy nie byłoby lepiej, gdyby Firkin pozwolił mu skończyć jako spora tłusta plama. Zdecydował, że nie. Rozważył też ewentualność rzucenia się naprzód w akcie niezrównanej odwagi, zaatakowania i pokonania strażnika, i tym samym zapewnienia wszystkim bezpieczeństwa — jednakże, ponieważ wciąż miał problemy ze złapaniem oddechu po całym tym bieganiu, zarzucił także ten pomysł. Uspokoił się i wybrał opcję trzecią. Skoro to nieuniknione, zrelaksuj się i miej z tego jak najwięcej rozrywki!

Gdy kilka minut później Firkin podniósł wzrok, ujrzał Matusza, który stał wyczekująco obok kolegi.

— Z drogi, tępaki! Przepuście mnie! — krzyknął Snydewinder, ciosami i kuksańcami starając się utorować sobie drogę pomiędzy strażnikami.

Bartosz zrobił krok w bok i lord kanclerz przeleciał między nimi, walcząc o utrzymanie równowagi. Obrzucił strażników zabójczym spojrzeniem przez ramię, poprawił swoją skórzaną zbroję i zwrócił się do więźniów.

— W porządku, zabawa skończona! Rzućcie broń!

Cisza.

— Wszyscy.

Cisza.

— Natychmiast! Na podłogę, tutaj! — krzyczał Snydewinder, wskazując za siebie.

Czterej jeńcy wpatrywali się w niego.

— No już, na co czekacie!? Róbcie, co każę! — piszczął, czerwieniejąc na twarzy.

— A... — zaczął Beczka.

— Broń na ziemię, ale już!

— Tego... a co, jeśli...

— Bez wymówek, negocjacji, układów!

— ...nie mamy żadnej broni? — zakończył Firkin.

— Łżesz! Najeźdźcy zawsze mają broń... chyba że — Snydewinder w zamyśleniu pogłaskał się po podbródku — chyba że... jesteście szpiegami. Tak właśnie. Szpiedzy! Straże, aresztować ich! — ponaglił Bartosza i Matusza.

Nie mieli dokąd uciekać. Zostali zapędzeni w kozi róg.

Wraz ze zbliżaniem się strażników oddalała się nadzieja.

\* \* \*

O'szst rozglądał się wokół siebie z niedowierzaniem. Był głodny jak wilk, a obok niego leżała otwarta olbrzymia, oprawna w skórę księga, najapetyczniejsza, jaką w swym trzyipółcalowym życiu widział. Woń dojrzałej ligniny rozchodziła się po całym stole. Soki trawienne małego mola książkowego wzięły nadgodziny, jego żołądeczek burczał cichutko. Nie jest łatwo przebywać wśród niewyobrażalnych ilości jedzenia. O'szst ukradkiem ruszył w stronę księgi.

Wysoki, ślęczący nad nią osobnik wyteżał wzrok w półmroku panującym w bibliotece, od czasu do czasu, gdy jego palce natrafiły na interesujący wpis, wydając z siebie jakiś dźwięk: zamyślane „Hmm” lub bardziej natchnione „Aha!”.

Siedzący na półce Arbutus muskał swoje lotki, przyglądając się, jak stary czarodziej w zamyśleniu przygryza brodę. Wyprawa do zakurzonego gołębnika pozostawiła na upierzeniu sowy sporo brudu.

— Jak długo jeszcze zamierzasz tu pozostawać? — zapytał Arbutus znad wyjątkowo ubrudzonego pióra, z nutką irytacji w głosie.

— Co? — Merlot usłyszał, że ktoś coś mówi, ale był tak pochłonięty księgą, że zupełnie nie zwrócił uwagi na treść przekazu.

— Jak długo?

— Tyle, ile będzie trzeba! — odburknął czarodziej. — Wiesz, uważam, że powinieneś nauczyć się doceniać książki. To bardzo pożyteczne — dodał lżejszym tonem, po raz pierwszy spoglądając na ptaka.

O'szst przytaknął gorliwie. Wgryzał się właśnie w róg księgi i musiał przyznać, że jest wyjątkowo pożyteczna.

— Dobrze wiedzieć — mruknął Arbutus, pedantycznie układając skrzydła.

Merlot wyciągnął mysz z kapelusza, rzucił ją sowie i powrócił do lektury.

— Przestań! — krzyknął, zauważając O'szst'a. — Nie niszczyć dowodów! — Odsunął księgę, podetknął molowi strzęp pergaminu i ponownie zaczął czytać.

Ta księga go zafascynowała. Był to spis wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek pracowali w zamku, ich zajęć, a przede wszystkim powodów odejścia — tę samą księgę przeglądał Klayth. W danej chwili Merlot odczytywał te same zapisy. Tu znajdował się klucz do całej intrygi, przebiegle zamaskowanej i perfekcyjnie wprowadzonej w życie. Czarodziej nie mógł uwierzyć w arogancję typu, który własnoręcznie parafował wszystkie te złowieszcze decyzje.

Snydewinder w ciągu ostatnich trzynastu lat zatwierdził ponad dwieście zwolnień pracowników zamku, umożliwiając tym samym swój awans na stanowiska głównego doradcy strategicznego, głównego księgowego, doradcy podatkowego, lorda kanclerza, nauczyciela i tak dalej, by wymienić tylko niektóre.

W krótkim czasie zdołał zmanipulować oraz usunąć zatrudnionych w zamku ludzi i posiadał tym samym możliwość dokładnego dyktowania królowi, co ma zrobić. Nie było nikogo, kto mógłby zaprotestować. Merlot wciąż potrzebował odpowiedzi. Trapiły go dwa kluczowe pytania:

Skąd wziął się Snydewinder? I z jakiego powodu dążył do władzy w Rhyngill?

Wiedział, gdzie znaleźć odpowiedzi, i że Arbutus po swojej wizycie u gołębi prawdopodobnie potwierdzi jego przypuszczenia. Wyglądniały O'szst obserwował, jak Merlot odkłada księgę na półkę.

— Proszę! Jedzenia potrzebuję! — zaskomlał.

Czarodziej wybrał jakiś nieszkodliwy romans, podniósł mola i włożył go do kieszeni wraz z książką.

— Jedzonko. Baw się dobrze, przyjemnego trawienia, mój mały zielony przyjacielu! *Bon appetit*, czyż nie? — powiedział, ruszając ku spichlerzom.

Arbutus delikatnie osiadł na melodyjnym ramieniu czarodzieja.

— A ty powiedz mi — ciągnął Merlot — co mieli ci do przekazania twoi podniebni kuzyni? Tylko nie mów, że „gruchu, gruchu”.

\* \* \*

Snydewinder bełkotał z ożywieniem. Jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, napędzana wysokooktanową perspektywą zadawania bólu czterem korzącym się przed nim jeńcom. Szli w dół korytarzem, potem schodzili po schodach, z których spadli, potknąwszy się o coś w słabym świetle pochodni strażników. Wciąż w dół, w dół i w dół. Obecnie znajdowali się znacznie poniżej poziomu gruntu.

— Ruszać się! — wrzasnął Snydewinder. — Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia przed świtem! Noże trzeba naostrzyć, żelazo rozgrzać do białości, szubienicę...

— Zamknij się, zamknij się! — krzyknął wyzywająco Beczka. — Naprawdę nie musisz tego wygadywać! — Objął Cukinię ramieniem.

— Ojej, czyż to nie słodziutkie? — zadrwił lord kanclerz, który odzyskał już dawny temperament. — Przestańcie! Nie życzę sobie niczego w tym rodzaju, kiedy jesteście moimi więźniami! — szydził z nich zza potężnych pleców Matusza.

Cukinia była bliska łez.

— Nie uważacie, że „ucieleśnienie” to dobre słowo? — dumął Snydewinder na głos, gdy zbliżali się do lochów. — A „uwięzienie” albo „zadawanie”, wiecie, na przykład bólu!? — piszczał obłąkańczo w drżącym świetle pochodni.

Firkin zacisnął zęby i pięści.

— Osobiście — ciągnął lord kanclerz — zawsze lubiłem brzmienie słowa... „powieszenie”! Che! Brzmi tak... ostatecznie, nie uważacie?

To było dla Cukini zbyt wiele, rozpląkała się. Wciąż szli naprzód, powłócząc nogami. Snydewinder zatarł ręce, jego skórzane odzienie zaskrzypiało złowieszczo.

— Widzę, że będę miał z waszą czwórką mnóstwo uciechy. Dam wam lekcję: nigdy nie zadzierajcie ze mną lub królem Rhyngill, bo damy wam w kość. I to jak! — Wybuchnął donośnym śmiechem, a właściwie okrutnym piskliwym zawodzeniem tchórzliwego sadysty, który uwielbia to, co robi.

Firkin odważył się rozejrzeć wokół. Zadumał się nad czymś, co właśnie wymknęło się Snydewinderowi. Policzył szybko. Cztery!

Nagle zdał sobie sprawę, że od momentu schwytania myślał wyłącznie o sobie. Ja! Ratujcie Mnie!

Gdzie podzieli się Merlot z Arbutusem? Nie zauważył, jak odchodzili. Nagle Firkin poczuł wszechogarniający wstyd. Czarodziej mógł się zgubić, być ranny, a nawet mart. . .

— No i jesteśmy — pisnął Snydewinder, gdy dotarli do ostrego zakrętu w mrocznym korytarzu. — Nareszcie w domu! — Przebiegł przez rzadko używany loch, otwierając drzwi cel. Małe, czarne, połyskliwe stworzonka rozbiegły się na wszystkie strony. Wiedziały, co robią. Snydewinder zaśmiał się okrutnie.

— Prosimy, prosimy, apartamenty czekają. — W ciemności jego oczy lśniły szaleństwem, jak nocą rtęć na plamie ropy.

W celach unosił się zapach wilgoci. Ściany pokrywał dywan z pleśni, w świetle pochodni połyskujący zielonkawo i pomarańczowo. Młode stalaktyty na kamiennym suficie przypominały lśniące guzki, a w co suchszych rogach czały się nieprzeliczone zastępy pajaków. Ciągłe kapanie odbijało się donośnym echem.

Odziana w rękawicę dłoń lorda kanclerza wepchnęła przerażonego Firkina do pierwszej celi, po czym zatrzaskała drzwi i — po spowodowanej rdzą chwili zmagania — zasunęła rygiel.

— Stąd nie ma ucieczki — przypomniał Beczce Snydewinder, gdy chłopca wpychano do drugiej celi.

Strażnicy zatrzaskały pozostałe dwie pary drzwi, skrzypiących i piszczących w skorodowanym proteście.

— Dalej, pośpieszmy się. Trzeba przygotować proces i szubienicę. Czas na wyrok skazujący. Ten proces musi przebiec wyjątkowo szybko! — Lord kanclerz wybiegł z lochów, śmiejąc się obłąkańczo.

Za nim ruszyli strażnicy, zabierając ze sobą pochodnie i zostawiając jeńców w ciemności, pośród dźwięków kapiącej z sufitu wody, czarnych nówek drobiańczych po podłodze i łkań Cukinii.

\* \* \*

W Sali Konferencyjnej zamku Rhyngill rozległ się dźwięk małego ręcznego dzwonka. Dzwonienie uderzyło, eksplodując dźwięcznym echem, w kamienne ściany, odbiło się od kolumn i rykoszetem od broni pokrywającej ściany. Próbo- wało uciec.

Kilka chwil później do Sali Konferencyjnej wkroczył odziany w czarną, skórzaną zbroję rzeczywisty władca Rhyngill.

— Sire, błagam o posłuch.

— Oby to, z czym przychodzisz, było go warte! — odpowiedział król, wymachując wielkim ceremonialnym mieczem katowskim w uświęcony przez tradycję sposób.<sup>10</sup>

— Och, jest, jest, jest, wspaniale, wspaniale... — bełkotał podekscytowany lord kanclerz. Dyszał ciężko, jakby przed chwilą biegł co sił w nogach. W rzeczy samej, biegł.

— Zamierzasz powiedzieć, o co chodzi, czy mam zgadywać?

— Wasza wysokość, bezzwłocznie przybywam tu z lochów.

— Coś ty tam robił?

— Szpiedzy! — Snydewinder wyraźnie rozkoszował się tym słowem.

— Szpiedzy? — Klayth odłożył miecz. Zanośliło się na to, że na nieszczęście będzie to warte posłuchu.

— Schwytałem czwórkę szpiegów! — krzyczał podniecony Snydewinder. Był tak szczęśliwy, że zapomniał o wszystkich „mościach” i „wysokościach”. — Namierzyłem ich podczas rutynowego obchodu. Knuli zbrodnicze plany. Ująłem ich! — Nawet wzmianki, jednego słowa, niewyraźnej aluzji na temat roli, jaką odegrali w tym wszystkim Bartosz i Matusz.

— Kim oni są? Czego chcą? Czemu tu są?

W głosie króla brzmiało zmieszanie i strach. Nie podobało mu się to. Szpiedzy i podejrzenia. To nie w porządku.

— Trzech obcych i ich wtyczka, córka kucharza — odparł lord kanclerz, z trudem opanowując targający nim obłęd.

Słowa te wstrząsnęły Klaythem do głębi.

— Założenia ich misji: nieznane — ciągnął Snydewinder, powściągając dość skutecznie uczucia wywołane piorunującą mieszanką gniewu, strachu i chęci odwetu. — Cel: nieznany! Przebywają w celach, oczekując na proces!

— Kiedy miałyby się odbyć? — zapytał Klayth, drżąc przed odpowiedzią.

Snydewinder zrobił dramatyczną pauzę.

— O świecie — oznajmił w końcu prawie zupełnie spokojnym głosem. Wewnątrz wrzał.

Król o mało co nie zasłabł na tronie.

— Jestem święcie przekonany — kontynuował spokojnie lord kanclerz — że są oni niebezpiecznymi szpiegami. Liczę, że jutro, sire, wyda pan pełny wyrok. —

---

<sup>10</sup>Tradycję tę zapoczątkował król Stigg, pierwszy i jak dotąd najokrutniejszy władca Rhyngill, po tym jak lord kanclerz uznał, że warto wyciągać go z łóżka w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie.

Nieszczęściem dla lorda kanclerza król doszedł do wniosku, że biorąc pod uwagę łożnicę, butelkę whisky i wyjątkowo nienasyconą konkubinę, sprawa ta w gruncie rzeczy nie jest wcale taka ważna. Do akcji wkroczył wiszący na ścianie długi na cztery stopy ceremonialny miecz katowski i lord kanclerz natychmiast dostał wymówienie. Na zawsze i od wszystkiego.

Po jego twarzy przemknął potworny grymas. Stwierdził, że musi szybko wyjść, bo zaczyna tracić nad sobą panowanie.

— Muszę jeszcze poczynić wiele przygotowań do jutrzejszej krwawej... eee... sądowej rozprawy, sire. Proszę o pozwolenie oddalenia się, żebym mógł jutro rano wypruć z nich... to znaczy, wysunąć przeciw tym szpiegom logiczne argumenty! — Zatarł gorączkowo rękawice. W jego chytrym oku, oku nadciągającego cyklonu, pojawił się szatański błysk.

Odwrócił się i wybiegł z Sali Konferencyjnej jak opętany przez jakiegoś demona. Klayth wpatrywał się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał lord kanclerz.

— O świecie! Wszystko, tylko nie proces o świecie!

Głowa opadła mu na rękę.

— Ja tak nie potrafię!

\* \* \*

Setki stóp poniżej Firkin drżał na zbitej z desek ławce w wilgotnej, śmierdzącej celi. Przysłuchiwał się, jak Beczka pociesza Cukinię. Szło mu znakomicie, teraz dziewczynka przez większość czasu pociągała nosem, tylko niekiedy wybuchając spazmatycznym szlochem.

Firkin czuł się pusty w środku i nie znajdował słów pociechy, otuchy.

Doskonale wiedział, że ponosi winę za całą tę sytuację. Padające z jego strony słowa pocieszenia mogłyby tylko nasypać soli na świeżą ranę i wrócić, ciśnięte mu w twarz. Byłby otwarty na gwałtowną reakcję, gniew, strach i złość ze strony ich wszystkich, w tym samego siebie. Nienawidził się. Zawiódł. Zamknął oczy i spróbował powstrzymać narastające w nim uczucia.

Był też inny, bardziej konkretny powód, dla którego nie mógł nikomu nieść otuchy — sam zmagał się z wielką gulą w gardle, większą, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Miał wrażenie, że coś usiłuje się z niego wydostać, coś żywego. Ciężko mu było oddychać, ale nie ośmielił się otworzyć ust. Gdyby to zrobił, zamiast słów pociechy, ociekającą wodą ciemność straceńczych cel przeszyłby krzyk bólu i przerażenia.

Zacisnął zęby, objął kolana rękami, jak potrafił najsilniej; nieco większy nacisk, a pękną, zalewając go gorącą mazią stawową. Z całych sił starał się nie myśleć o jutrze. Bez powodzenia.

Cóż za ironia losu: zaczęło się od Jutrzenki, skończy o świecie. Początek i koniec. Pełne koło. Pomyślał o siostrze, o chwili kiedy po raz ostatni widział ją roześmianą, o swoich płonnych nadziejach, głupich, żalonych, młodzieńczych

mrzonkach. Wydawało się to tak odległe, tak dawne, jak doświadczenia z innego wieku, innego świata. Stopniowo, gdy zmęczenie dołączyło do emocjonalnego ciężaru na barkach chłopca, zwiększając jego wrażliwość oraz podwyższając i tak już nadzwyczajną uczuciowość, powoli dał się wciągnąć w wojnę obliczoną na wyczerpanie przeciwnika — i przegrał bitwę z emocjami.

Po brudnym policzku łagodnie spłynęła ciepła, słona łza rozpaczy, błysnęła, odrywając się od oblicza chłopca, i wskoczyła w zielonkawą kałużę u jego stóp.

\* \* \*

Jak można się było spodziewać, w środku nocy panowała na zamku cisza. Panowała w nim od trzynastu lat, lecz tym razem było wyjątkowo cicho, zupełnie jakby zamek wstrzymał oddech w oczekiwaniu na świt. Wszyscy, głównie z powodu emocjonalnego wyczerpania, mocno spali. Beczka na drewnianej ławce w swojej celi rzucał się niespokojnie i kręcił z boku na bok. Cukinia z całej siły wtulała głowę w dłonie. Nikt nie chrapał. Trudno jest chrapać na kilka godzin przed umówionym *rendez-vous* z niemal pewną śmiercią.

Tylko w jednym pomieszczeniu rozbrzmiewały odgłosy wytężonej pracy — w ciemnej izbie, głęboko we wnętrzościach zamku, dużo poniżej poziomu gruntu. Cztery spore pochodnie buchały wielkimi płomieniami, zabarwiając kamienne ściany na karmazynowo i przydając powietrzu gęstego, dymnego posmaku. Tu właśnie lord kanclerz kończył przygotowywać swoją prywatną wersję piekła, sprawdzając ostatnie łoża do rozciągania więźniów. Sen był ostatnią rzeczą, o której myślał, jego ciało pulsowało adrenaliną, a umysł planami i listami rzeczy już zrobionych i czekających na swoją kolej. Był na nogach całą noc, już wcześniej rozebrał i pokrył smarem pozostałe cztery łoża, po tych zabiegach funkcjonujące niebywale gładko. Naostrzył także wszystkie kolce w żelaznej dziewicy, wypolerował zgniatacze kciuków, oczyścił kajdany i rozpałił ogień, tak że pogrzebacze lśniły teraz zabójczą, jasną czerwienią.

Skończył oporządzać ostatnie łoża i odepchnął je do tyłu. Skrzypiąc drewnianymi nogami po kamiennej podłodze, dołączyło do stojących w zgrabnym rzędku pozostałych czterech. W przypadku tortur, pomyślał Snydewinder, najważniejszy jest porządek i zwracanie uwagi na najdrobniejsze szczegóły. Pobiegł w przeciwny kąt sali tortur, gdzie podniósł kilka skrzynek i pięć piekielnie ostrych błyszczących skalpeli. Potrząsnął klatkami i obserwował, jak skorpiony agresywnie strzelają ogonami. Nie przestając gadać do siebie, ustawił na stole klatki, a obok nich położył skalpele, po czym wytoczył tacę pełną wymyślnych stalowych narzędzi dentystycznych. Obcęgi, kłamry, wiertła — odliczał je w myślach,



przez cały czas maniakalnie chichocząc i nawet na chwilę się nie zatrzymując. W każdej, dosłownie każdej chwili jakaś część jego ciała drżała, trzęsła się lub podrygiwała. Nie panował nad tym; w ten sposób jego ciało uwalniało wypełniające je pokłady zdławionych nerwów — gdyby teraz usiadł, najpewniej by eksplodował. Stał przy masywnych, ciemnych dębowych drzwiach i rozejrzał się, oceniając wykonaną pracę i utwierdzając się w przekonaniu, że robi doskonałe wrażenie. Nieznacznie przesunął jedną z pochodni w uchwycie, tak by nadawała przyrządom dentystycznym blasku, który przykuje uwagę sprowadzonych i przywiązanych do łoży więźniów. Szczegóły, pomyślał, szczegóły są najważniejsze! Zatarł ręce i oblizał wargi.

— Gotowe! — oznajmił, uśmiechając się okrutnie. W jego oku błyskała żerująca na wyczekiwaniu iskra szaleństwa. — Czas ruszyć w tany!

Zaklaskał odzianymi w rękawice dłońmi i opuściwszy pędem salę tortur, pobiegł licznymi korytarzami ku stróżówce. Wetknął do niej głowę, wywarczał rozkazy zdeorientowanym strażnikom i pomknął dalej.

Kilka minut później, nieco tylko zdyszany, dotarł do publicznych komnat króla.

Władca siedział zamyślony, w tej samej pozycji od wielu godzin. Twarz miał bladą i zmartwioną. Nocą nie zmrzył oka, myśli uparcie przypominały mu o prawdziwym znaczeniu procesu o świcie. Zadrżał, gdy uzmysłowił sobie, co przyniesie ta krótka godzina.

Proces o świcie był jedynym procesem, podczas którego można było wydać wyrok śmierci, głównie dlatego, że wyrok śmierci był jedynym wyrokiem, który można było wydać podczas procesu o świcie. Stało się to obowiązującym prawem w okresie panowania króla Stigga Niemiłosiernego, który podczas porannych procesów zawsze wydawał wyroki śmierci, nawet za najdrobniejsze wykroczenia. Zapytany o powód, odparł: „Poranki? Nienawidzę poranków. Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl po przebudzeniu, jest śmierć”.

Obowiązkiem Klaytha było kontynuować tę politykę.

Napięty głos Snydewindera wdarł się w jego świadomość i przerwał rozmyślenia.

— Sire, proszę waszą cesarską obecność o nadzór nad procesem i wydaniem wyroku na szpiegów, których wczoraj pochwyciliśmy — wyrzucił z siebie lord kanclerz.

— Nonsens. Nie jadłem jeszcze śniadania!

— Hmm, hmm... Obawiam się, wasza wysokość, że dzisiejszego ranka nie będzie śniadania.

— Wyjaśnij, proszę!

— Z wyżej wymienionymi szpiegami została wczoraj pochwycona córka kucharza. W związku z tym wydałem rozkaz aresztowania Vala Jambona, który zo-

stanie osądzony jako współwinny. Oczywiście będzie miał proces równie uczciwy jak pozostali. — Po twarzy Snydewindera przemknął grymas szaleństwa.

— To niedorzeczne. Usiłujesz zakłócić funkcjonowanie zamku? Czy kara śmierci za przebywanie tutaj nie jest lekką przesadą? Jak to uzasadnisz? — Król usilnie pragnął wykrzyzczyć to na cały głos. Podejrzenia, wątpliwości i duża dawka lęku przed wydaniem wyroku skłaniały go do oznajmienia Snydewinderowi kilku rzeczy, ale powstrzymał się i milczał. Na razie.

— W porządku. Miejmy to z głowy — powiedział zamiast tego.

Przełknął ciężko i zamroczony, i otępiały, jak to ludzie, którzy mają za sobą nieprzespaną noc, ruszył w stronę sali tortur. Po piętach deptał mu lord kanclerz, zacierając hulaśliwie rękawice i prawie całą drogę podskakując.

\* \* \*

Firkina zaczęły już boleć ręce. Leżał na łożu, z rękami i stopami przymocowanymi do obrotowych bębnow nad głową i pod nogami. Liny były naciągnięte. Pozostała czwórka znajdowała się w równej linii na lewo od niego. Na samym jej końcu Cukinia przez łzy wyjaśniała wszystko ojcu, przysłuchującemu się z mieszaną żalu, zakłopotania i smutku. No i gniewu.

W drżącym świetle pochodni Matusz i Bartosz stali na straży, oczekując przybycia króla i lorda kanclerza. Matusz spojrział na leżące na stole narzędzia dentystryczne i wzdrygnął się. Lubił swoją pracę strażnika zamkowego. Był dumny, że chroni króla i dba o jego dobro, poza tym miał ładny mundur. Ale co się tyczy zadawania ludziom bólu, cóż. . .

Masywne dębowe drzwi otwarto się gwałtownie i do środka wpadł Snydewinder. Miał na sobie czarną, skórzaną zbroję i wielkie rękawice ze świeżo wypolerowanymi metalowymi płytkami na kostkach. Okute żelazem buciory brzęczały, gdy szedł po zimnej kamiennej podłodze. Obrzucił więźniów złowrogim spojrzeniem zdrowego oka.

— Proszę wstać, sąd idzie! Jeśli tylko dacie radę, che, che, che! Jego królewska mość, król Rhyngill Klayth! — Złożył głęboki i bardzo długi ukłon, po czym wskazał władcy tron ustawiony przodem do jeńców.

Król odziany był w pełną zbroję sądową, składającą się z długiej, czarnej, skórzanej peleryny obwiedzionej i wykończonej krecimi skórkami; czarnych, sięgających ud podkutych butów z łatwym dostępem do ukrytych w nich, doskonale wyważonych noży do rzucania; standardowej czarnej, skórzanej zbroi na ciało i — zamiast korony — z wykonanej w całości z białej skóry peruki, opadającej na ramiona długimi, wąskimi loczkami. Przeszedł powoli przed więźniami, pa-

miętając, by patrzeć wyłącznie przed siebie. Z powodu nieprzespanej nocy miał zaczerwienione oczy.

Firkin naprężył się, by dobrze mu się przyjrzeć. Oto jego wróg. Cel wyprawy. Przyczyna całej biedy, a także nieszczęść jego siostry, Beczki i pozostałych. Chłopiec nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ubiór wyglądał właściwie, otoczenie wyglądało właściwie, ale... nie mógł być przecież taki młody.

Pięcioro więźniów przyglądało się, jak król siada, nieprzyjemnie trzeszcząc pancerzem. Klayth nie mógł zmusić się do spojrzenia na prawo, gdzie leżeli kucharz i Cukinia. Wyciągnął z kieszeni mały młotek i z niechęcią go uniósł. Snydewinder wpatrywał się weń z oczekiwaniem.

— Zgromadziliśmy się wszyscy. Niechaj... rozpocznie się proces — cicho powiedział król. Następnie uderzył młoteczką o poręcz tronu, czując, jak wzrasta w nim nienawiść do samego siebie. Cóż, nie miał wyboru.

Do akcji wkroczył Snydewinder. Jął przechadzać się dumnie tam i z powrotem przed rzędem łoży, uderzając się rękoma po piersi.

— Sądzę, że wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteście? — krzyknął i wsłuchał się w echo swego surowego głosu. Nikt nie odpowiedział.

— W celu przeprowadzania procesu! Procesu pięciu obrzydliwych kreatur. Stoicie, przepraszam, leżycie tu przed nami oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Cranachanu. Teraz zastanówcie się dobrze, zanim odpowiecie. Przyznajecie się, parszywe mazgaje?

— Nie! — jęknęli chórem oskarżeni.

— A więc nie chcecie po dobroci! Cóż, zamierzam udowodnić waszą winę. Znacie oczywiście karę za... szpiegostwo? — Znali. Nocą, stojąc pod ich celami i szepcząc ochryple, powtórzył im ją wystarczająco wiele razy. Leżący potaknęli i wzdrygnęli się. Po policzkach Cukinii spłynęły łzy.

Snydewinder podszedł do niej i wyszeptał do ucha:

— Szubienica gotowa!

Wszyscy usłyszeli. Dziewczynka krzyknęła przerażona, a lord kanclerz zachichotał i zatarł ręce, głośno trzeszcząc rękawicami.

— Wczorajszego popołudnia wasza czwórka została zdybana na przebywaniu w zamku bez pozwolenia. Co robiliście?

— My tylko... — zaczął Firkin.

— Szpiegowaliśmy! — krzyknął Snydewinder. — Winni! Che, che, che!

Król niespokojnie wiercił się na tronie.

— Nie! — krzyknął Firkin, gdy lord kanclerz pociągnął dźwignię, zaciskając więzy. — Nie jesteśmy sz... szpiegami! Nie interesują nas wasze tajemnice!

— Tak więc wiecie o naszych tajemnicach! Jesteście szpiegami, tylko szpie-dzy wiedzą o naszych tajemnicach!

Snydewinder odwrócił się tyłem do łoż, pokazując wzór na swoim sądowym płaszczu. Namalowana czerwoną farbą kobieta w cienkiej sukni i z koroną na

głowie w jednej ręce dzierżyła pionowo miecz, a w drugiej małą pętlę. Procesy o świcie były bardzo sprawiedliwe. Dawały możliwość wyboru sposobu śmierci.

— Nie jesteście szpiegami. Jesteśmy wiernymi poddanymi jego królewskiej mości i chcieliśmy zobaczyć, jak mieszka! — wykrzyczał Firkin.

— Jakie to wzruszające — zadrwił Snydewinder. — Skoro tu jesteście, macie okazję wziąć aktywny udział w prezentacji naszego systemu sądowego! — Dосkoczył do łoża chłopca i pociągnął dźwignię, jeszcze bardziej zacieśniając więzy. W ciele Firkina coś odrażająco chrupnęło.

Matusz skulił się i zagryzł wargi.

— Ale... dlaczego nie błagaliście o posłuch, o wycieczkę z przewodnikiem? — zapytał Klayth, z każdą minutą coraz bardziej przerażony.

Firkin pomyślał szybko:

— Oprowadzała nas...

— Wasza współpracowniczka! — natychmiast przerwał mu lord kanclerz. — Ona! — dramatycznym gestem wskazał Cukinię.

— Nie! — krzyknął Beczka. — Zostaw ją w spokoju!

— Nigdy wcześniej ich nie widziałam — szlochała dziewczynka. — To przez ich sowę. Była taka śliczna.

— Sowę? Nie ma żadnej sowy! — wrzasnął Snydewinder.

— ...kochany Arbutus... on był Merlota... i...

— Sowa? Merlot? Brednie! Brednie wariatki! Nie możemy wierzyć w żadne jej słowo!

— Zostaw ją w spokoju! — krzyknął Beczka w bezsilnej złości.

— Chciałam ci go pokazać — szepnęła Cukinia do ojca. — Był śliczny. Przepraszam... — Zaszlochała cicho.

Na przekór sobie Snydewinder nieomal zaczął jej wierzyć. Nigdy nie był w stanie znieść płaczących kobiet. W jego umyśle pojawiły się wątpliwości. Jeśli jest niewinna, co robi w zamku pozostała trójka? Musi się ich pozbyć. On był celem tych trzech intruzów. Musiał być. Może król, jego król, rozpracował zniewę? Może się udławił? Może ci tutaj mieli go dorwać? Za to, że król Grimzyn się udławił? Twarz lorda kanclerza nabiegła krwią ze wściekłości. Zwrócił się stronę Klaytha, wargi drżały mu nerwowo.

— Sire, nie widziałem żadnej sowy. To sztuczka mająca na celu zmianę biegu postępowania karnego. Ci ludzie bez wątpienia są szpiegami z Cranachanu.

Cukinia jęła zawodzić ze strachu. Klayth miał tego wszystkiego dosyć.

— Nie widziałem żadnych dowodów! — krzyknął, wlepiając wzrok w rozgorączkowanego lorda kanclerza.

— Są niebezpieczni! Zabij ich! Zgładź ich! — Snydewinder rzucił kilka szalonych oskarżeń, po czym po raz kolejny naciągnął więzy Firkina. Chłopiec krzyknął z bólu.

— Gdzie dowody? — upomniał się władca.

— Tu, przed tobą. Żywe dowody. Zostali znaleźieni na zamku. To szpiegdy! Powiedzą mi, bez obaw. Powiedzą mi prawdę! — Snyderwinder przejechał palcem po ostrym jak brzytwa skalpeli, dobywając przerażający pisk ze skóry rękawicy.

— Sam ująłeś tych, jak ich nazywasz, „szpiegów”?

— Tak, tak, och tak! Na gorącym uczynku! — wybełkotał lord kanclerz, uśmiechając się pustym uśmiechem nieboszczyka.

Bartosz podrapał się po głowie i popatrzył na Matusza.

— Gdzie? — warknął król, szybko tracąc resztki zaufania do swojego doradcy i mentora.

— W górnym korytarzu, nieopodal alei Vertigo. — Snyderwinder spojrzał na Beczkę i przeciągnął skalpelem w pewnej odległości od swojej twarzy.

— A co, jak sądzisz, robili tam na górze, gdy ich schwytałeś?

— Szpiegowali! To szpiegdy!

— Sire...? — cicho wtrącił się Bartosz.

— Nie ma tam niczego, co warto by obejrzeć.

— Kto wie, po co tam byli? W każdym razie byli, a nie powinni. Gdyby nie moja czujność i sprawne działanie, już by nas zaatakowano. Albo oblężeni!

Klaythowi przemknęły przez myśl puste spichlerze.

— Sire... to my ich aresztowaliśmy. Matusz i ja.

— Tak, oczywiście! Ze względów bezpieczeństwa nie zaryzykowałbym własnej osoby — odparł Snyderwinder, uśmiechając się niewyraźnie. — Kto wie, jakie niebezpieczeństwo by mi groziło. Cranachańscy szpiegdy zawsze mają przy sobie broń. Straże powinny się tym zajmować. To ich praca. Znają się na tym. — Wiercił się, bezustannie przebierając palcami.

— Znalazłeś jakąś? — zapytał Klayth podejrzliwie. Zaczynały wzrastać w nim niepokojące domysły.

— Jakąś co? — Przez twarz lorda kanclerza przemknął wyraz paniki.

— Broń.

— No... nie, nie jako taką. Nie.

— W takim razie nie są szpiegami.

— Nie są szpiegami! To niedorzeczność! — Snyderwinder zacisnął zęby tak mocno i gwałtownie, że dał się słyszeć zgrzyt.

— Sire, nie jesteśmy szpiegami — odezwał się zdesperowany Beczka. Z każdego jego słowa przebijał paniczny strach. — Uwolnij pozostałych, a powiem ci prawdę.

Wszyscy popatrzyli w jego kierunku.

Król kręcił się niespokojnie na tronie, niepewny, gdzie leży prawda. Bartosz i Matusz patrzyli na niego wyczekująco.

Snyderwinder kipiał z gniewu.

— Kłamcy! Są szpiegami, mają obowiązek temu zaprzeczać! To podstawy szkolenia! Zabij ich! Zgładź, zanim będzie za późno!

Kolejna doza niepewności zachwiała domysłami Klaytha.

— Oto prawda! — przekrzykiwał Beczka wrzeszczącego lorda kanclerza. — Przyszliśmy w sprawie dziesięciny!

Król znów pomyślał o dwunastu gigantycznych spichlerzach. Dwunastu pustych spichlerzach. Wyprostował się. Dlaczego są puste? Czy Snyderwinder mimo wszystko ma rację? Czy ci szpiedzy przybyli, by ukraść zapasy?

Rozkojarzony Snyderwinder pojął w końcu, po co tu przybyli. Teraz pozostało pozbyć się ich. I oczyścić samego siebie z zarzutów.

— Twoje podatki są za wysokie! — krzyknął Firkin.

— I dlatego postanowiliście je wykraść! — oskarżył go lord kanclerz.

— Co? — Firkin musiał myśleć intensywnie. Nie mógł powiedzieć całej prawdy. — Jak niby mielibyśmy to zrobić? Byłoby tego za dużo.

— Wozy! Załadować na wozy i zabrać z powrotem. — Mam ich, pomyślał Snyderwinder.

W umyśle Klaytha kawałki tej dziwnej układanki zaczęły do siebie pasować. Sprawa była niejasna, ale coś tu zdecydowanie nie grało. Przed oczami stanęła mu marchewka leżąca w wyżłobionej przez wóz koleinie.

— Nie mamy wozów. Nie mamy jedzenia — łkał Firkin. — To wszystko kłamstwa! — Jego głos drżał z emocji.

Cukinia była zmieszana i zaskoczona.

— Ale ja widziałam wozy — wyjęczała cicho przez rwący potok łez.

— Co powiedziałaś? — zapytał wstrząśnięty Klayth.

Zachęcona przez ojca, dziewczynka powtórzyła pociągając nosem:

— Widziałam wozy.

Skrawki informacji wirowały w królewskiej głowie. Czuł się, jakby stał przed jednorękim bandytą, w którym zamiast owoców kręcą się bardziej rzeczywiste objekty. Po lewej stronie zwolnił i zaskoczył bęben z pustymi spichlerzami. Pozostałe wciąż obracały się wokół własnej osi.

— Bzdura! — pisnął Snyderwinder. — Majaczy! — Sprawy zaczęły przybierać niewłaściwy obrót. Wręcz fatalny.

— Kontynuuj — zachęcił król.

Nie mający o tym wszystkim zielonego pojęcia Firkin i Beczka byli zdumieni.

— Co kilka tygodni dwóch mężczyzn przyjeżdża wielkim wozem. Byli tu wczoraj rano — powiedziała cicho Cukinia pomiędzy pociągnięciami nosem.

Ślady wozu odcisnięte w błocie zaskoczyły tuż obok spichlerzy. Jednoręki bandyta wciąż wirował. Klayth przypomniał sobie pośpiesznie zaaranżowane poprzedniego ranka łowy. Czy nie był to pomysł lorda kanclerza? Kolejny bęben zwolnił i zaskoczył.

Snyderwinder wyglądał na zaniepokojonego. Przeskakiwał z nogi na nogę i gorączkowo zacierał ręce. Tracił nad sobą panowanie.

Nikt inny nie mógł zająć się końmi, w stajniach nikt nie pracuje. Kolumna pełna nazw zawodów zatrzymała się w kolejnym okienku.

— Załadowali wóz i odjechali — ciągnęła dziewczynka.

— W całym Middin mamy tylko jeden wóz — wyjęczał śmiertelnie przerażony Beczka. — Przyszliśmy tu pieszo, mogę pokazać odciski na nogach!

Król zignorował chłopca, całą uwagę koncentrując na opowieści zapłakanej dziewczynki.

— ... Powozili dwaj potężni mężczyźni. Nie cierpię ich. Są niemili. Mają kiję, którymi biją konie, i krzyczą na nie z zabawnym akcentem, i to jest bardzo niemiłe.

— Bzdura! — wybuchnął Snydewinder. — Kochają swoje konie, jak wszyscy Cranachanie! A w cranachańskim akcencie nie ma nic zabawnego! Tak cudownie jest usłyszeć go raz na jakiś czas, to taki miły akcent. . . oj!

Wszyscy utkwili wzrok w lordzie kanclerzu, który wyglądał jak mały chłopiec przyłapany z ręką w pudełku ciastek. Reflektory prawdy zalały salę tortur wielokilowatowymi falami światła prawości i sprawiedliwości.

— Coś ty powiedział!/? — krzyknął król, wstając z miejsca. — Znasz tych złodziei? Wiesz, kto od lat pustoszy moje spichlerze, wpędzając w głód moje królestwo? Rujnując ludzkie życia? — Przy każdym pytaniu Snydewinder skrecał i wił się, jakby dźgnięty długim, zaostrozonym patykiem. Przewracał oczami, tak jak sztorm przewraca złotymi rybkami.

— Co? — Klayth zszedł z tronu i ruszył w jego stronę. — Co sprawia, że cranachański brzmi dla ciebie tak cudownie? Może o czymś ci przypomina? O czymś za górami? — Wskazał ręką w stronę Gór Talpejskich.

Wargi lorda kanclerza drżały, gdy na gwałt próbował coś wymyślić. By uniknąć katastrofy, potrzebny był generalny remont i dodanie wsporników.

— Słucham! — warknął Król.

— Kłamstwa. Same kłamstwa. Wszystkiemu zaprzeczam. . .

Snydewinder drżał, jakby walczył ze zbyt mocno naciągniętą sprężyną rozrywającą mu wnętrzności. Błyskawicznie przegrywał tę walkę. W jego głowie nastąpił psychiczny ekwiwalent całkowitego osunięcia ziemi, które spowodowała erozja podtrzymujących ją niższych warstw. Opuściły go resztki odwagi, trzymającej go pewnie na nogach. Ciało miał przesiąknięte adrenaliną, niemal ociekał nią. Nagle zrozumiał, że nie ma innego wyjścia. Paniczny strach otworzył i przytrzymał mu drzwi. Snydewinder wybiegł, dzwoniąc okutymi buciorami i wzniesając iskry. Wymachiwał nad głową rękami i wykrzykiwał rozliczne cranachańskie przekleństwa i wyzwiska. W ułamku sekundy znalazł się za drzwiami i zatrzasnął je. Dał się słyszeć dźwięk szybkich kroków i wysoki, cienki śmiech, czystym szaleństwem odbijający się od gołych kamiennych ścian.

\* \* \*

Gdy przebrzmiały już krzyki, tuż po tym, jak Bartosz i Matusz doszli do wniosku, że niegłupim pomysłem byłoby spróbować powstrzymać Snydewindera, mała eksplozja, po której pozostał obłoczek błękitnego dymu, otworzyła szeroko dębowe drzwi.

— Natychmiast przerwać tę parodię procesu! — krzyknął, szeleszcząc przy tym melodyjnie wysoki osobnik stojący we framudze. Na jego ramieniu siedziała sowa.

— Arbutus! — jęknęła Cukinia.

— Merlot! — odetchnął z ulgą Firkin.

— Sowa? Merlot? A więc to prawda — stwierdził król.

Arbutus podleciał do Cukinii i usiadł na łożu w pobliżu jej ramienia. Dziewczynka uśmiechnęła się po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

— Ci ludzie są niewinni! — krzyknął Merlot.

— Ci ludzie są niewinni! — w tejże samej chwili krzyknął król. — Uwolnić ich natychmiast!

Strażnicy, czując prawdziwą satysfakcję ze swojej pracy, zajęli się oswoBADZIANIEM byłych więźniów.

— Snydewinder! — wrzasnął Firkin, gdy uwolniono mu jedną rękę. — Ucieka! Złapcie go, zatrzymajcie!

— Tak, zatrzymajcie! To wszystko jego wina! — poparł go Beczka.

Merlot stał w bezruchu. Jego wpatrujące się w dal oczy zaszyły mgłą, brwi się nastroszyły.

Odwiązując Cukinię, Bartosz uśmiechnął się niepewnie.

— Przepraszam — wyszeptał. — Musiałem!... Rozkazy.

— Wiem. — Dziewczynka popatrzyła na niego zażawionymi oczyma i także się uśmiechnęła.

Merlot zaszleścił w E-dur i z zadowoleniem zwrócił się do Firkina.

— W porządku, znajdzie się. Zaufaj mi.

Cukinia objęła ojca i wtuliła twarz w jego brzuch, szlochając z ulgi. Val Jambon głaskał ją po główce, szepcząc kojąco.

Firkin podniósł się z łoża i przytulił do czarodzieja.

— Och, Merlot, kiedy zauważyłem, że nie ma cię z nami, pomyślałem, że nie żyj. . .

— Co to, to nie. Nie ja! Uspokój się, wszystko w porządku, czyż nie? No już dobrze, dobrze. — Czarodziej sprawiał wrażenie z lekka zakłopotanego, poprawił pelerynę.



Kilka minut później wszyscy zgromadzili się na podłodze wokół Merlota i króla. Na twarzach Firkina i Beczki można było dostrzec napięcie wywołane przeżyciami ostatnich kilku dni. Rozmasowywali sobie kostki i nadgarstki, bliscy szaleństwa od nagromadzonych w ich głowach pytań.

— Kim jest Snydewinder? — zapytał Klayth, pragnąc znaleźć potwierdzenie swoich podejrzeń.

— Po prostu, mówiąc pokrótce, najzwyczaj, jak się da, bez zbędnych wstępów...

— Kiiiiim?!? — przerwał czarodziejowi Arbutus.

Merlot spiorunował sowę spojrzeniem.

— ...obmierzłą kreaturą, czyż nie? Jest szpiegiem. Agentem, przysłanym tu z Cranachanu.

Firkin i Beczka wyglądali na skołowanych. Klayth przytaknął.

— Trzyście lat temu — ciągnął Merlot — toczyliście z Cranachanem wojnę o lemingi. Wojnę, jak przekonuje historia, przez was przegraną. Z tego, co wiem, w dwie i pół minuty. Zgodnie z normalną kolejną rzeczy Cranachanie powinni byli wtedy najechać Rhyngill *en masse*, zająć jego ziemie i cieszyć się gwałtami i rozbojami. Ale dostali już to, czego chcieli — lemingi. Cranachanie są z natury leniwi, a ich królestwo przeludnione, w związku z czym wszystkie ich gospodarstwa są niewielkie i niewydolne, czyż nie? Dodatkowy ciężar, konieczność wykarmienia jeńców, okazał się ponad ich siły. Nie potrzebowali twojego królestwa, tylko jego upraw. Wiedząc, że twój ojciec, wyruszając na wojnę, zostawił na tronie ciebie, człeka młodego i podatnego na wpływy, postanowili przysłać tu agenta mającego ułatwić przejmowanie żywności dostarczanej do zamkowych spichlerzy. Ponieważ zamek był opustoszały, okazało się to nadzwyczaj łatwe. Przez ostatnie trzyście lat cała pobierana przez ciebie dziesięcina była wywożona przez góry i nikt, poza tobą, młody władco, niczego nie podejrzewał.

— Ale co z Czarną Strażą? — spytał Firkin spoglądając z zainteresowaniem na Matusza i Bartosza.

— Rozwiązana trzyście lat temu. Funkcjonuje wyłącznie jako legenda, podtrzymywana przez plotki i Snydewindera.

Klayth siedział, podpierając głowę rękoma.

— Czuję się strasznie. Głupio mi. Byłem wykorzystywany, oszukiwany i...

— Wszyscy byliśmy — wtrącił się Beczka.

— Ale co teraz zrobimy? — zapytał rozpaczliwie Firkin.

— Nie martw się — odparł stanowczo Merlot. — Mamy pewien plan, czyż nie, Arbutusie?

Siedząca na ramieniu Cukinii sowa potaknęła z dumą.

\* \* \*

Biegł na oślep, ciężko dysząc, a jego oddech niósł się echem po zimnych kamiennych korytarzach. Jego świat zaczął się pruć jak kaszmirowy szal schwytyany w tryby jakiejś dziwacznej maszyny rolniczej. Tylko szybciej. Po trzynastu latach gwałtownie skończyło się bezpieczne manipulowanie, manewrowanie i kontrolowanie mieszkańców zamku Rhyngill. Zupełnie jakby odhodowany przez ciebie pudel zaczął nagle warczeć, ślinić się i przystąpił do systematycznego rujnowania wszystkiego, co masz, nie wykluczając twoich kostek. Nie mógł uwierzyć w to, co się wokół niego działo. Gdy został nakryty, paniczny strach zagościł w nim niczym uparty dziki lokator. Okute żelazem buty uderzały o podłogę mrocznych korytarzy, niosąc go jak najdalej od izby tortur. Pracujący na zwiększonych obrotach umysł wypełniały liczne pytania: Co robić? Dokąd iść? Jak się tam dostać? Czy... łup!

Minąwszy ostry zakręt, gwałtownie porzucił rozmyślenia. Jego twarz spotkała się ze ścianą ozdobnego metalu. Nie przypominał sobie, by ją tu wcześniej widział. Ściana spojrzała na niego parą przesywających błękitnych oczu. Ku ogromnemu zaskoczeniu Snydewindera dźwignęła wielki i sprawiający wrażenie bardzo ostrego dwuręczny miecz, którego ostrze lśniło w półmroku korytarza. Były lord kanclerz szybko jął zastanawiać się nad następnym posunięciem, w jego głowie pojawiały się coraz to inne plany. Zdecydował się na jeden z wielu i błyskawicznie wprowadził go w życie: wziął głęboki oddech i krzyknął tak głośno, jak tylko potrafił. Paniczny strach właśnie otworzył piwo i zabrał się do dobrej książki. Snydewinder próbował rzucić się do ucieczki, ale rycerz złapał go i ścisnął niczym w imadle potężnymi metalowymi dłońmi, obejmując jego ramiona jak pobudzany wstrząsami elektrycznymi skorupiak zaciskający się na bucie norka.

— Pochwalony! — powiedział książę Chandon. — A niech to licho, gdzieśwa pochowali wszystkie wasze panny?!

— L... l... l... l... — brzmiała najlepsza odpowiedź, na jaką stać było Snydewindera.

— Cóż ty chcesz powiedzieć? Licho wie... ?

— ...l...l...l...l...l...

— Laboga... ?

— ...l...l...l...l...ll...lo...

— A dyć mówże normalnie, jestem noga z alfabetu Morse'a!

— ...l... l... l... ll... llo... loch...

— Juści, cza było od razu gadać, że w lochach!

Kompletnie ogłupiały Snydewinder przytaknął żałośnie.

— No to, bratku, prowadź do tych lochów!  
Krzyś obrócił bełkoczącego chudzielca i siłą poprowadził go wzdłuż korytarzy z powrotem do lochu i izby tortur.

\* \* \*

Król Klayth, słuchając Firkina opowiadającego o biedzie i głodzie rujnującym królestwo, zmarkotniał na twarzy i osunął się na krześle.

— Nic o tym nie wiedziałem — powiedział, kręcąc powoli głową. — Dorastałem wśród tego. Myślałem, że to normalne, że tak powinno to wyglądać.

— To nie twoja wina — starał się pocieszyć go Firkin.

— Muszę to naprawić — ciągnął król, nie zwracając na niego uwagi. — Tylko że nie wiem jak! — zakończył, zrywając z głowy sądową perukę i ciskając ją na podłogę. — Nie wiem jak.

— Jesteś królem. Możesz wszystko! — pisnęła Cukinia.

Klaytha zastanowiły te słowa. „Jesteś królem. Możesz wszystko!”. W kółko powtarzał je w myślach. „Jesteś królem” — smakował je, bezgłośnie wymawiając. „Możesz wszystko! Możesz wszystko!”.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że jest królem. Że on tu rządzi. *Le Grand Fromage!* Ciężar władzy spoczywa na jego barkach. Może podejmować decyzje. On, nie Snydewinder. Przyszłość królestwa spoczywa w jego rękach. Jego, nie Snydewindera. Ostatnie wątpliwości z niego uleciały. Wiedział, że może ludziom rozkazywać, jeśli uzna to za stosowne. Wiedział, że może oddać ludziom wyhodowaną przez nich żywność, że ma możliwość przywrócić królestwu Rhyn-gill jego dawną chwałę. Jest królem! Może wszystko!

Ale...

Drzwi otwarły się z hałasem i wpadł przez nie Snydewinder, gwałtownie przerywając tok myśli Klaytha.

Widok zdrajcy wzbudził w królu gniew, nienawiść, chęć odegrania się i kilka innych niezbyt eleganckich uczuć.

— Brać go! — krzyknął Klayth, wskazując na żałośnie rozpląszczonego na podłodze Snydewindera.

Bartoszowi i Matuszowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Od lat czekali na okazję odegrania się na przełożonym. Błyskawicznie, o wiele szybciej, niż spodziewaliby się po samych sobie, nabrali rozpędu i rzucili się w stronę skomlącego mężczyzny. W zwolnionym tempie, niczym rugbyści skoczyli w górę, zawisli w powietrzu jak dwa wieloryby w alaskańskim przesmyku, a gdy zadziałała grawitacja, runęli potężnie, z zatrważającą precyzją w dół...

Gdy opadł kurz, przebywający w sali ludzie odważyli się wyrzeć spomiędzy palców lub zza krzeseł. Ujrzeni uśmiechniętych od ucha do ucha wielkich strażników, którzy siedzieli obok siebie na podłodze. Spod połączonych potęg stróżów zamkowego porządku wystawała, podrygując co jakiś czas, jedna stopa i jedno kościste ramię.

Matusz, dla lepszego efektu, podskoczył z raz czy dwa.

— Nie gniewajta się, możny panie, cosik mi się zdaje, że to nie najlepsza chwila, ale czy wy nie mata tu żadnych panien do ratowania, dam w opresji cy coś? — dobiegło z korytarza nieśmiałe pytanie Krzysia.

Klayth spojrział na potężnego rycerza, potem na wyszczerzonych Bartosza i Matusza. Jego ramiona zadrżały, na twarzy pojawił się uśmiech. Klayth całym swoim młodym ciałem odczuł ulgę, po raz pierwszy od lat widząc przed sobą przyszłość. Dostrzegł cel życia. Otworzył usta i zaśmiał się. Pozostali, zdumieni, przyglądali mu się w milczeniu. Król wciąż się śmiał, zamknawszy oczy i chwycił się za brzuch.

Na twarzy Merlota zagościł ukradkowy uśmiech. Firkin zachichotał, Beczka parsknęła i po chwili izba tortur trzęsła się od śmiechu.

Połączone uczucie ulgi wszystkich znajdujących się w prywatnym piekle Snydewindera osób (z wyjątkiem jednej) zaatakowało napięcie kilku ostatnich godzin, zdarło je ze ścian, podarło na strzępy i wesoło skakało na jego szczątkach.

\* \* \*

Kilka dni później, po drugiej stronie Gór Talpejskich, w Wielkiej Auli Cesarzkiego Pałacu Fortecznego króla Grimzyna dobiegały końca negocjacje handlowe.

Delegacja Rhyngill zasiadała naprzeciw przedstawicieli Cranachanu przy eleganckim drewnianym stole. Mężczyźni w długich, czarnych płaszczach pilnie i skutecznie dbali o zaopatrywanie delegatów w kawę i ciastka, a skończywszy, znikali szybko i bezszelestnie w małych drzwiach w odległym końcu auli.

— Nim zarysujemy naszą końcową propozycję — oznajmił jego królewska mość, król Rhyngill Klayth — mój doradca handlowy pokrótce przedstawi dotychczas omówione kwestie, by przypomnieć nam fakty.

Korpulentny jegomość przemówił, uprzednio lekko skłoniwszy się obu władcom:

— W ciągu ostatnich dziesięciu lat Rhyngill ucierpiało na skutek znaczącego spadku produkcji rolnej. Panowie zresztą doskonale zdają sobie z tego sprawę, nie?

Starannie unikał najmniejszej choćby uwagi na temat niedawnej działalności Cranachanu. Obie strony wiedziały, że ta druga strona wie. Obie wiedziały też, że ta druga strona wie, kogo ostatecznie należy o to winić.

— W głównej mierze zostało to spowodowane niedoinwestowaniem na rynku maszyn rolniczych i ziarna, jak również spadkiem wydajności siły roboczej — starzejącej się i podupadającej na zdrowiu. Nadażamy, nie?

Pasztetnik przerwał, popatrzył znacząco na osiem wiszących nad mahoniowym stołem żyrandoli, oświetlających kunsztowne gobeliny na ścianach okazałej auli, po czym wziął kolejny kęs piernika podanego wraz z kawą.

— Znaczący zastrzyk finansowy — ciągnął — na wprowadzenie w życie starannie zaplanowanego projektu usprawnienia wydajności rolnictwa, w połączeniu z zasileniem siły roboczej o blisko trzy tysiące zdrowych pracowników, w szybkim czasie umożliwi znaczny wzrost produkcji rolnej Rhyngill, tym samym stwarzając podstawy do ustanowienia pomiędzy naszymi krajami bilateralnej, korzystnej dla obu stron wymiany handlowej. Wszystko jasne?

Król Grimzyn zmarszczył brwi i popatrzył na energicznie skrobiącego na karcie pergaminu Patafiana, skrybę Handlu i Przemysłu.

— No i...? — wyszeptał.

Patafian wzruszył ramionami i ponownie obrzucił wzrokiem pergamin. Frundle pstrykał palcami. Cranachańska strona stołu emanowała atmosferą nieufności.

— I jak wam się to widzi? — ponaglił Pasztetnik.

Klayth zauważył, że Frundle pochyla się i szepcze coś na ucho Patafianowi, który po chwili zastanowienia potaknął, zapisał coś na pergaminie, ponownie potaknął, nachylił się do ucha króla Grimzyna i zaczął szeptać, gestykulując przy tym z ożywieniem. W auli zapadła gęsta cisza, przerywana jedynie równomiernym chrupaniem pustoszącego talerz pierniczek Pasztetnika.

— No dalej. Nie będziemy tu siedzieć do północy!

Król Grimzyn uniósł dłoń i nadal słuchał doradczego szeptu Patafiana, raz czy dwa razy potakując i od czasu do czasu wtrącając pytanie. W końcu obaj skinęli głowami — najwyraźniej zapadły ustalenia.

Cranachański skryba Handlu i Przemysłu spojrział na swojego rhyngillskiego odpowiednika, odchrząknął i przemówił:

— Czy sugerujecie, że jeśli damy wam trochę pieniędzy i zwrócimy jeńców, to wyhodujecie mnóstwo rzeczy i sprzedacie nam je?

— No — odparł Pasztetnik — o to nam biega.

— To dobrze.

— No i co wy na to?

— To wspaniały pomysł. Zgadzam się w imieniu Cranachanu.

— Wspaniale, wspaniale! — ucieszył się Grimzyn, w duchu wdychając z ulgą. Trzydzieści lat utrzymywania trzech tysięcy mężczyzn jako jeńców wojennych poważnie nadszarpnęło budżet królestwa. — Ugodziwszy się w tej sprawie,

sądę, iż możemy pozostawić naszych doradców handlowych samym sobie, by uzgodnili szczegóły. Eee... młody królu, może partyjkę krokietu?

— Z prawdziwą przyjemnością!

Obaj władcy wstali i wolnym krokiem wyszli przez otwarte drzwi wprost w ciepłe promienie południowego słońca.

\* \* \*

Wysoko, na półce skalnej gdzieś w Talpach chudy, kościsty osobnik z opaską na oku zmagał się z kilofem. Pocił się, przeklinał i wylewnie złorzeczył. W tej kolejności. Przepadły przywileje przysługujące mu z urzędu, nie nosił już czarnego, skórzanego pancerza ni rękawic, nie krzyczał na ludzi i nie rozkazywał im. Minęły dni chwały!

Jego całodzienny wysiłek zaowocował jedynie niewielkim wgłębieniem w kamienistym podłożu. Podniósł wzrok ku górom, ocenił czekającą go pracę i splunął siarczyście na czerwoną ziemię.

Dwaj siedzący na sporym głazie strażnicy zamkowi kończyli kolację — pieczonego indyka — z zaciekawieniem przyglądając się więźniowi.

Snydewinder, były lord kanclerz itd., stanowił najmniej liczną w dziejach królestwa karną brygadę; w osiągalnym dla niego tempie pracy poprawienie standardu Transtalpejskich Szlaków Handlowych między Rhyngill i Cranachanem istotnie mogło zająć bardzo dużo czasu.

Bartosz wskazał widoczny u ujścia doliny zamek Rhyngill. Ukryta za murami czerwona tarcza słoneczna podkreślała strzelistość wież i iskrzyła w zarośniętej lilią wodną fosie. Obrazek żywcem wyjęty z bajki.

— Ojej, jak ślicznie! — stwierdził Bartosz.

— No — zgodził się dzierżący w ręku indyckie udko Matusz. — To po prostu...

Popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się.

— ...Pieeeenkne!!! — zakrzyknęli chórem.

\* \* \*

— Jutrzenko, ktoś chce się z tobą widzieć — zwróciła się do dziewczynki wstrząśnięta matka. Stała w drzwiach do jej pokoju, wskazując drogę gościowi. Ten wszedł, stąpając ciężko po podłodze butami do konnej jazdy.

Jutrzenka usiadła z trudem. Najgorszy etap choroby miała już za sobą; prezent wykradzony przez Firkina i Beczkę zdziałał cuda, ale dziewczynka wciąż była słaba.

— Specjalna przesyłka — powiedział z uśmiechem jeździec.

Postawił na podłodze dużą paczkę, po czym wręczył Jutrzence kopertę z pieczęcią odcisniętą w czerwonym wosku i błękitną wstążką. Dziewczynka popatrzyła na rodziców, którzy wzruszyli ramionami, i podekscytowana zabrała się do otwierania koperty.

Po chwili wysiłku złamała pieczęć i wyjęła z koperty pergamin. Wyglądał bardzo ładnie, miał złote brzegi, fantazyjną obwódkę i pokrywały go dwa rodzaje pisma, z których jedno było nieco niechlujne. Jutrzenka przeczytała drżącym głosem, wiadomość napisaną ładnymi, dużymi literami, wodząc palcem po każdym słowie:

„Mamy za... szczyt zap... rosić wszy... stkich do zamku Rhyngill na bal dla ucz... cz... cz... enia za... war... cia so... już... już z król... est... wem Carachanu... Cranachanu. Ereswupe”.

Rozradowana Shurl zapiszczała, wkrótce jednak spoważniała.

— Nie mam co na siebie włożyć. I właściwie — dlaczego my?

— To Firkin, mam. On to zrobił. Wszyscy są zaproszeni — powiedziała Jutrzenka, po czym zwróciła się do jeźdźcy: — Co to jest ereswupe?

— To znaczy, że musicie potwierdzić udział w balu.

— Tak, tak, ja chcę iść. Chcę zobaczyć się z Firkinem.

— Mam rozumieć, że zamierzacie uczestniczyć w balu?

— Nie, zamierzamy na niego pójść! — odparła dziewczynka. — Co to jest? — zapytała ze wzrastającą ciekawością, wskazując paczkę.

— Niewielki drobiazg, z najlepszymi życzeniami od gospodarza — odparł jeździec.

Paczka szybko znalazła się na łóżku, a po chwili kawałki postrzępionego i niebywale poplątanego sznurka wały się w okolicy. Jutrzenka spojrzała na wieko, odchyliła je i zajrzała do wnętrza paczki. Wzięła głęboki oddech.

— Czy to...? — spytała jeźdźca.

Ten wzruszył ramionami.

Dziewczynka odchyliła wieko bardziej i pochwyciła dochodzący z wnętrza delikatny zapach.

— Czyżby to był. . .

Jej palec wślizgnął się do ciemnego wnętrza paczki. Gdy go wyciągnęła, niósł na czubku ładunek pianistej białej substancji. Jutrzenka włożył palec do ust.

— Tak, to jest Lemingowy Mus! Firkin przysłał mi Lemingowy Mus! — Dziewczynkę ogarnęła radość.

— Czuję się zobowiązany do pewnych wyjaśnień — wtrącił się jeździec. — Podarek pochodzi od waszego gospodarza, króla Klaytha. Przesyła przeprosiny i z niecierpliwością oczekuje uwag.

— Króóó. . . — wyszeptęła, mdlejąc, Shurl. Osuwającą się żonę podtrzymał Wyllf.

— Muszę wziąć się do pracy i przypiąć to obwieszczenie do waszego słupa. — Jeździec odszedł, ostrożnie przestępując nad Shurl i Wyllfem. Jutrzenka uśmiechnęła się, zlizując z palca kolejną porcję musu.

Spojrzała na zaproszenie i przeczytała cicho drugą wiadomość.

„Misja katastrofa. Niech żyje król! Do zobaczenia wkrótce. Niech żyje bał. Całusy, Firkin. PS. Zajrzyj do koperty”.

Rozchyliła i przechyliła kopertę. Na łóżko wypadły dwa dość sponiewierane, lecz wciąż piękne przebiśniegi.

Jutrzenka uśmiechnęła się i po raz kolejny zanurkowała palcem w misce musu.

\* \* \*

Na jednym z najniższych szczytów Gór Talpejskich niewielka grupka stała w krępującej ciszy. Nikt nie był do końca pewien, co powinien powiedzieć. Firkin wiedział, że już niedługo trzech przyjaciół, którzy pomogli jemu i Beczce w najtrudniejszym momencie życia, będzie musiało odejść. Na zawsze. Chłopiec w swoim dotychczasowym krótkim życiu nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Żegnał się już wielokrotnie, ale za każdym razem wiedział, że znów spotka się z tym kimś — za pół roku, rok, może dłużej, ten ktoś wejdzie przez drzwi, wybiegnie zza rogu, zejdzie ze wzgórza. Wróci.

Tym razem miało być inaczej.

W dole w stronę zamku ciągnęły nieprzebrane tłumy tych, którzy bezzwłocznie odpowiedzieli na zaproszenie. Nadciągali ze wszystkich stron we wszelkiego rodzaju wozach, konno, pieszo — we wszystkim, co mogło zabrać ludzi na pokład i poruszać się. Niektóre wozy były przystrojone wstążkami, ukwiecone niczym łąki, pokryte akrami kolorowego pergaminu. Zdawało się, że wszyscy ludzie wdziali na tę okazję swe najjaskrawsze i najkrzykliwsze ubiory. Z góry, ze wzgórza stanowiło to wspaniały widok, mogący rozradować nawet cyniczne serce



zatwardziałego pesymisty. W rzeczy samej, widok ten powinien wyprężyć piersi Firkina i Beczki w poczuciu bezwstydnego dumy i napełnić ich serca nieskrępowaną radością. W normalnych okolicznościach tak by było, ale na tym owiewanym wieczornym wietrzykiem i dogładanym przez samotnie śpiewającego skowronka wzgórzu nie docierało do nich nawet najłżejsze echo myśli o szczęściu.

— Ale dlaczego? — zaprotestował Firkin, z trudem dobywając głos ze ściśniętego gardła.

— Zostać oni na zawsze nie mogą — wyjaśnił O'szst. — Historii niepełnych zbyt wiele byłoby.

— Ale oni są teraz naszymi przyjaciółmi! — rzekł Beczka.

Firkin pociągnął nosem.

— Kiej ja tak nie lubię pożegnań! — oznajmił stłumionym głosem potężny rycerz, przestępując z nogi na nogę. Przez moment iskra w kąci jego oka lśniła bardziej niż cała zbroja.

— Ta. Po prostu już idźmy — nadzwyczaj cicho zgodził się z nim naciągający nerwowo szelki fartucha Pasztetnik.

Merlot patrzył na Firkina. Promienie późnopołudniowego słońca odbijały się majestatycznie od jego gwiazdek i księżyców i jakimś cudem sprawiły, że lśniła nawet jego długa, siwa broda. Peleryna szeleściła delikatnie w E-dur. Tak, był czarodziejem w każdym calu. Arbutus otworzył oczy i także wlepił wzrok w chłopca.

Firkin przełknął z trudem ślinę, zamrugał i pociągnął nosem.

— Wciąż nie wierzysz w magię, czyż nie? — wyszeptał Merlot, uśmiechając się urzekająco, a w jego oku zaślniła iskierka.

Zmieszany Firkin zmusił się do uśmiechu. Szybko przetarł oczy wierzchem dłoni, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

Trzy decybele poniżej ludzkiego pułapu słyszalności rozległ się dźwięk. Był niezapowiedziany, niezamierzony i wysoce niepożądany przez wszystkich zgromadzonych. Powróciły cykady wydające odgłosy pocieranych palcem koniakówek. Do wtóru komarzego chóru zaczęły się snuć delikatne srebrne smużki, których pojawieniu się towarzyszyło denerwujące uczucie swędzenia. W jednej chwili smużki były wszędzie. Nikt nie uchwycił chwili ich pojawienia się; zdało się, że ich istnienie eksplodowało z nicości: w jednej chwili ich nie było, a potem...

Zataczały kręgi wokół trzech mężczyzn, błyskając i iskrząc się w mrocznym świetle wieczoru oraz magii. Czwórka młodzieńców i dziewczynka obserwowała, jak blask zaczyna się zbiegać, gromadzić, koncentrować w miejscu leżącym tuż pod sercem każdej z trzech postaci. Jakby miliony srebrnych pszczoł roiły się w ulu znajdującym się w próżnym wnętrzu klatek piersiowych tej trójki. Rój rozrastał się stopniowo, rozprzestrzeniając się we wszystkich kierunkach. Dzieci z rozdziawionymi buziami wpatrywały się w mężczyzn. Smużki okrywały po-

staci, jak gdyby osiągający prędkość światła pająk pracowicie rozciągał wokół nich swą sieć. Dzieci z rozdziawionymi buziami patrzyły przez mężczyzn, których srebrny rój okrył całkowicie, aż stali się półprzeźroczyści, i w końcu powoli, niemal boleśnie, przestali tam być. Nie sposób było stwierdzić dokładnie, kiedy odeszli w kontinuum tomowoprzestrzenne, tak jak nie sposób stwierdzić, który błysk jest ostatnią iskrą kryjącego się za horyzontem słońca, ale Firkin i jego przyjaciele zdali sobie sprawę, że patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali czarodziej, rycerz i Paszтетnik — patrzą w pustkę. Pozostał po nich tylko lekki zapach ozonu, delikatne dźwięczenie w uszach i jaśniejące powidoki na siatkówkach.

Oraz dojmujące uczucie wszechogarniającej pustki.

Ich przyjaciele odeszli.

Beczka pociągnął nosem, Firkin wytarł łzy, a Cukinia cicho jęknęła.

— Szkoda, że nie mogli zostać — szepnął Firkin.

— Och, Arbutusie — westchnęła bliska łez dziewczynka.

— Brak mi będzie pasztecików — jęknął Beczka, starając się kiepską ironią rozpogodzić nieco nastrój. Jednakże nastrój, niczym brezent w zimowy dzień, mroczny i ciężki, nie uległ zmianie. Klayth milczał, starając się wyglądać dostojnie.

Nie wiedzieli, jak długo stoją na wzgórzu, ale pozostali tam, aż zaczęli przyjmować do świadomości, że tamte postaci ostatecznie odeszły. Wreszcie stało się coś niezwykle rzadkiego: mimo iż każde z nich było pogrążone we własnych myślach, we własnym świecie, w jakiś sposób razem odwrócili się i w milczeniu ruszyli w stronę zamku.

— Oj! Wszyscy wy! Na mnie zaczekajcie, nie łaska?

Jak we śnie, niemal niechętnie, Beczka odwrócił się i ujrzał O'szsta, z całych sił wymachującego skrzydełkami i usiłującego ich dogonić. Chłopiec schwycił mola i ostrożnie, delikatnie poniósł w dłoni.

— Och, Arbutusie — westchnęła, pociągając nosem Cukinia, starająca się nie dopuścić do siebie myśli, że nie ma już wśród nich pięknej sowy.

Znacznie uszczuplona grupka niepoczyszonych awanturników zmierzała w stronę zamku.

— Och, Arbutusie! — pisnęła dziewczynka, tym razem jednak zupełnie innym tonem. — Patrzcie, patrzcie! — Był to ton zupełnie niepasujący do nastrojów panujących wśród przyjaciół. Szczerze ucieszona Cukinia radośnie podskakiwała.

— Patrzcie wszyscy! — Wyciągnęła z kieszeni duże, brązowe pióro i zaczęła nim radośnie wymachiwać. — Ojej, jakie ono śliczne!

Pozostali milczeli, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

Beczka zawył zaskoczony, gdy w jego rękę, wprost z górskiego powietrza zmaterializował się gorący, parujący pasztecik. Firkin podskoczył, kiedy pojawiła

się przed nim mała aksamitna brzoskwinia. Cała trójka uśmiechnęła się szeroko, zaskoczona i uradowana. Cukinia pomachała swoim piórem.

Klayth nagle posmutniał. Pozostali, zakłopotani, uspokoili się. Beczka usiłował ukryć pasztecik. Klayth, ich nowy przyjaciel i towarzysz, nie dostał nic. O'szst z zażenowaniem popatrzył na swoje stopy. Nie wiedzieli, jak się zachować. Naprawdę lubili Klaytha.

Na krótką chwilę w miejscu, gdzie wcześniej stał Merlot, pojawiło się brodate oblicze.

— ...i ty, młody człowieku, nie zostałeś pominięty. Co dostałeś, hę?

Młody Król obejrzał swoje ręce i przegrzebał kieszenie: nic. Podniósł wzrok na półprzeźroczystą twarz i wzruszył ramionami.

— Gdzie nie sprawdzałeś?

Klayth spojrzał z głupkowskim wyrazem twarzy na pobliski kamień i spróbował pod niego zajrzeć.

— Nie wygłupiaj się — rzekła unosząca się w powietrzu twarz Merlota. — Spróbuj jeszcze raz.

— Nie wiem — odparł kompletnie zagubiony chłopiec.

— Szczerość — oznajmił czarodziej. — To u króla przydatna zaleta, czyż nie?

Brodate oblicze niczym czujący balon spłynęło ze wzgórza ku grupce i zawisło przed Klaythem

— Rozejrzyj się wokół siebie — szepnęło konspiracyjnym tonem. — No dalej, rozejrzyj się, i powiedz mi, co widzisz.

Młody władca zmrużył oczy i spojrzał w dal. Widział zamek Rhyngill, lecz on już wcześniej należał do niego. Widział ciągnących doń zewsząd ludzi, ale czuł, że Merlotowi chodzi o coś innego. Firkin uśmiechnął się pod nosem, po czym szturchnął Beczkę i Cukinię i wykonał ręką gest. Tamci zaśmiali się.

— O co chodzi? — zapytał Klayth, słysząc ich śmiech. — Czy to jest za mną?

— Tak! — zawołali chórem zza jego pleców.

Oblicze czarodzieja rozpromieniło się.

— Nie widzę! — jęknął król.

— Oni — odparł Merlot. — Nie widzisz ich.

Nie zmieniając układu stóp, Klayth obrócił się w pasie i uśmiechnął rozbijając do trojga swoich nowych przyjaciół.

Troje nowych przyjaciół. Podobało mu się brzmienie tych słów.

— Masz teraz przyjaciół, o których zawsze marzyłeś — powiedział czarodziej głosem gasnącym jak kolor więdnącej róży.

Oczy Klaytha nabiegły łzami, gdy pojął, ile prawdy niosły w sobie słowa Merlota. Serce w nim urosło. Pragnął krzyzczeć, wrzeszczeć, skakać. Zrozumiał, że od tej pory królowanie będzie wspaniałe.

Oblicze zniknęło bezgłośnie.

Młody władca podbiegł do Cukinii i uściskał ją serdecznie.

O'szt rozpromienił się. Beczka delikatnie schował go do kieszeni.

— Chodźmy. Czeka na nas bal — ponaglił Firkin, patrząc w dół na napęniającą nadzieją wizję.

Tłumy wciąż ciągnęły ze wszystkich stron, niczym mrówki na bankiet, niosąc z sobą zapowiedź nowych czasów. Klayth czuł, że rozpiera go niesamowita duma. Firkin z niecierpliwością oczekiwał spotkania Jutrzenką.

Z sercami pełnymi radości ruszyli w dół wzgórza, na bal do bajkowego, zalanego promieniami zachodzącego słońca zamku. Zdawało się, że ich stopy ledwie dotykają ziemi, jakby kroczyli po chmurach wirującej mgły. Milczeli, ale to miało się wkrótce zmienić, na razie po prostu rozkoszowali się swoimi uczuciami. Czuli się spełnieni. Po prostu szczęśliwi.

Pochód zamykali Cukinia i Beczka, którzy szli wolno i uśmiechali się do siebie nawzajem.

Ona trzymała swoje pióro i myślała z czułością o Arbutusie.

On trzymał ją za rękę i myślał z czułością o niej.